Krzysztof Wielicki
poleca

JON KRAKAUER

Autor bestsellera „Wszystko za Everest"

EIGER WYŚNIONY

„Czyta się lekko i... «kolorowo»"
KRZYSZTOF WIELICKI

360°
człowiek
na krawędzi

Krzysztof Wielicki
poleca

JON KRAKAUER

Autor bestsellera „Wszystko za Everest"

EIGER WYŚNIONY

„Czyta się lekko i... «kolorowo»"
KRZYSZTOF WIELICKI

360°
człowiek
na krawędzi

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Trawers na północnej ścianie Eigeru 2000 m nad ziemią? Wspinaczka po zamarzniętym wodospadzie bez zabezpieczeń? A może haust rozrzedzonego powietrza na górze wyższej niż Everest? Ta książka – zastrzyk skoncentrowanej alpinistyki – pozwala czytelnikowi pokochać albo znienawidzić ten ekstremalnie trudny sport. Treść tak mocna i ekscytująca, że powinno się ją wydawać wyłącznie na receptę.

Kacper Agnieszczak

Gazeta Co Jest Grane

Tylko dziennikarz może tak fotograficznie, dokumentalnie i jednocześnie z pasją opisać, czym jest wspinaczka wysokogórska. Po lekturze jego książki łatwiej zrozumieć, dlaczego ten sport jest jak uzależnienie. Mało tego, ma się ochotę w taki nałóg wpaść...

Monika Janusz

Rzeczpospolita

Jak on to robi? Realizuje marzenia, zdobywa świat i jeszcze potrafi tak się tym podzielić, że stawia mnie w całkowitej bezradności. Po lekturze Krakauera mogę tylko z podziwem milczeć i kontemplować.

Marcin Kowalski

Gazeta Wyborcza

To nie jest książka o mistyce wspinaczki, o bohaterach czy filozofach uciekających w odosobnienie samotnej walki ze ścianą. To raczej próba wyjaśnienia niewtajemniczonym, dlaczego ludzie w ogóle wspinają się i dlaczego góry zasłaniają wspinaczom świat...

Krzysztof Rąpała

Onet Podróże

Powstało wiele książek o wspinaczce i himalaizmie. Jednak tylko o nielicznych z nich da się powiedzieć, że są dziełem prawdziwie utalentowanego człowieka pióra. Jon Krakauer, amerykański alpinista, dziennikarz i pisarz, spełnia ten warunek z nawiązką. W jego reportażach znajdziemy nie tylko dynamiczne relacje z ekstremalnych zmagań człowieka z przyrodą i własną słabością, lecz także – fascynujący, tragiczny, często bardzo zabawny – portret całej społeczności zaangażowanej w wyczynowe zdobywanie gór, skał i wąwozów.
Jeśli wspinaczka, nie tylko wysokogórska, wyszła z niszy i stała się współcześnie szczególnym stylem życia, zawdzięcza to w dużej mierze Krakauerowi, który zjadł zęby na lodowych zboczach Alp czy gór Alaski, a jednocześnie potrafił z dziecięcą ciekawością outsidera przypatrywać się temu osobliwemu światu rządzącemu się własnymi prawami.

Piotr Kofta

Dziennik Gazeta Prawna

Wspinaczka, jako działanie cokolwiek nonsensowne, nie jest łatwa do ogarnięcia. Wiele jej aspektów praktycznie pozbawionych jest logiki, przez co wymyka się analizie zero-jedynkowej, tak lubianej przez umysły o typologii matematyczno-przyrodniczej. Coś jednak jest takiego we wspinaczce, że staje się nie tyle częścią życia, ile sposobem życia lub nawet

samym życiem, spychając na dalszy plan działania, które mieszczą się o wiele bardziej w ramach zachowań społecznie pożądanych i logicznych...

JACEK TRZEMŻALSKI

Magazyn Górski

Jon Krakauer

Eiger wyśniony

W przekładzie
Janusza Ochaba

Mayfly
Warszawa 2010

Tytuł oryginału:
EIGER DREAMS:
VENTURES AMONG MAN AND MOUNTAINS

This translation published by arrangement with Doubleday,
an imprint of The Knopf Doubleday Publishing Group,
division of Random House, Inc.

Zdjęcie na okładce:
Ciało Toniego Kurza, lipiec 1936

Grafika i skład wydania:
Wojtek Wilk

Redakcja:
Olo Sawa
Marcin Majdecki

Korekta:
Jolanta Kucharska

ISBN 978-83-929483-7-7

Wydawca:
Mayfly sp. z o.o.
02-093 Warszawa, ul. Pasteura 4/6/54

Dla LINDY, z miłymi wspomnieniami Green Mountain Falls,
Wind Rivers i Roanoke Street

SPIS TERŚCI:

Przedmowa
Od autora
1. Eiger wyśniony
2. Gill
3. Lodowe Valdez
4. Uwięzieni w namiocie
5. Piloci z Talkeetna
6. Klub Denali
7. Chamonix
8. Kanioning
9. Góra wyższa niż Everest?
10. Bracia Burgessowie
11. Feralne lato na K2
12. Devils Thumb

Północna ściana Eigeru

Przedmowa
Krzysztofa Wielickiego

„Eiger wyśniony" to nie opowieść o historii zdobywania Eigeru, to luźno powiązane ciekawe historie z życia ludzi, dla których pasją były i są góry oraz wspinanie.

Autor „odwiedza" więc kultowe dla alpinisty miejsca na świecie, np. Chamonix, Denali Park czy K2 w Karakorum, przywołując ciekawe postaci, często kontrowersyjne. Wspomina wydarzenia, które mogą być nieznane polskiemu czytelnikowi, przez to poszerzają naszą wiedzę o środowisku ludzi gór.

Czyta się lekko i... „kolorowo".

KRZYSZTOF WIELICKI

Krzysztof Jerzy Wielicki (ur. 1950) – polski wspinacz, taternik, alpinista i himalaista. Jest piątym człowiekiem, który zdobył Koronę Himalajów i Karakorum. Na trzy z nich: Mount Everest, Kanczendzongę i Lhotse wszedł zimą jako pierwszy.

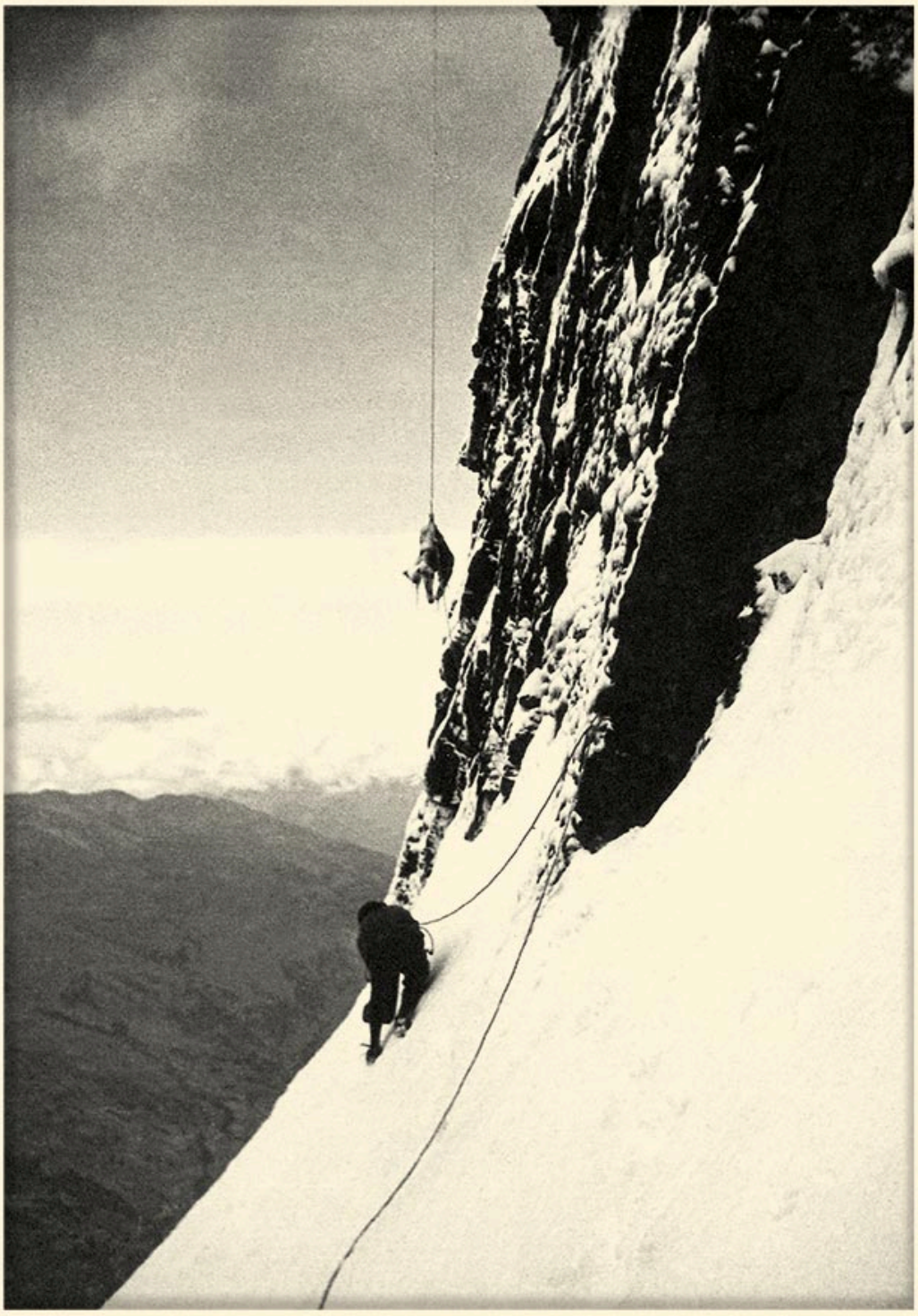

Ciało Toniego Kurza, lipiec 1936

Od autora

Większość ludzi, która nie zajmuje się wspinaczką wysokogórską, ma o niej co najwyżej mgliste pojęcie. To ulubiony temat kiepskich filmów i fałszywych metafor. Marzenie o wejściu na jakiś strzelisty poszarpany szczyt to coś, co z lubością będzie analizował każdy psychiatra. Alpinizm jest otoczony aurą zuchwałości i śmiertelnego zagrożenia, przy których inne sporty wydają się trywialnymi gierkami; łączy się w publicznej świadomości z motywami tak przerażającymi jak atak rekinów lub zabójczych pszczół.

Celem tej książki jest przycięcie tej rozrośniętej nad miarę mistyki, wpuszczenie światła do tego mrocznego pokoju. Większość alpinistów nie jest szalona, można jedynie powiedzieć, że zarazili się oni wyjątkowo zjadliwą odmianą Ludzkiej Kondycji.

Aby nie wprowadzać czytelnika w błąd, powinienem od razu stwierdzić jasno, że w żadnym fragmencie tej książki nie odnoszę się bezpośrednio do najważniejszego pytania: Dlaczego normalny człowiek chciałby robić coś takiego?, lecz nieustannie krążę wokół niego, od czasu do czasu dźgam je długim patykiem i nigdy nie próbuję wskoczyć prosto do klatki, by stanąć z tą bestią do otwartej walki, *mano a mano*. Myślę jednak, że pod koniec lektury tej książki czytelnik będzie nieco lepiej rozumiał nie tylko to, dlaczego wspinacze się wspinają, ale i dlaczego mają na tym punkcie tak wielką obsesję.

W moim przypadku początki tej obsesji sięgają roku 1962. Byłem wówczas zwykłym dzieciakiem, mieszkałem w Corvallis, w stanie Oregon. Mój ojciec był rozsądnym, sztywnym rodzicem, który nieustannie namawiał piątkę swoich dzieci, by uczyły się rachunków i łaciny, by tyrały jak woły i starały się ze wszystkich sił zrobić karierę lekarza lub prawnika. Jednak z sobie tylko wiadomych powodów, w dniu moich ósmych urodzin, ten surowy i wymagający człowiek podarował mi mały czekan i zabrał mnie na pierwszą wspinaczkę w góry. Wciąż nie mogę zrozumieć, co nim wówczas kierowało; nie mógłby storpedować skuteczniej swoich rodzicielskich planów nawet gdyby podarował mi harleya i członkostwo w gangu Aniołów Piekieł.

Gdy kończyłem osiemnaście lat, wspinaczka była jedyną rzeczą, na jakiej mi naprawdę zależało: praca, nauka, przyjaźnie, kariera, seks,

sen – wszystko to dostosowywałem do moich planów wspinaczkowych albo – zazwyczaj – całkiem zaniedbywałem. W 1974 roku ta mania przybrała jeszcze na sile. Decydującym wydarzeniem była moja pierwsza ekspedycja na Alasce, miesięczna wyprawa z sześciorgiem przyjaciół do rejonu Arrigetch, grupy smukłych granitowych wież o surowej, zjawiskowej urodzie. Pewnej czerwcowej nocy, o wpół do trzeciej nad ranem, po nieprzerwanej dwunastogodzinnej wspinaczce, wspiąłem się na szczyt góry zwanej Xanadu. Był to wąski skrawek nagiej skały, prawdopodobnie najwyższy punkt w całym łańcuchu. Byliśmy pierwszymi ludźmi, którzy kiedykolwiek postawili na nim stopę. Daleko w dole iglice i ściany pozostałych szczytów lśniły na pomarańczowo, jakby ktoś podświetlał je z dołu, choć w rzeczywistości był to blask niesamowitego, wielogodzinnego zmierzchu arktycznego lata. Od strony Morza Beauforta, przez tundrę, dął przenikliwy zimny wiatr, który zamieniał moje dłonie w dwa kawałki drewna. Nigdy wcześniej nie byłem tak szczęśliwy.

W grudniu 1975 roku cudem skończyłem studia. Przez następnych osiem lat pracowałem jako wędrowny cieśla i rybak w Kolorado, Seattle i na Alasce. Mieszkałem w klitkach o ścianach z pustaków, jeździłem samochodem za sto dolarów i zarabiałem tylko tyle, by opłacić czynsz i uzbierać fundusze na następną wyprawę wspinaczkową. Po jakimś czasie zaczęło mi to powszednieć. Podczas bezsennych nocy odtwarzałem w myślach wszystkie niebezpieczne sytuacje, które przeżyłem podczas wspinaczek. Przycinając w deszczu belki na jakimś błotnistym placu budowy, rozmyślałem o moich kolegach z klasy, którzy założyli rodziny, inwestowali w nieruchomości, kupowali meble ogrodowe i wytrwale gromadzili majątki.

Postanowiłem zrezygnować ze wspinania i powiedziałem o tym kobiecie, z którą byłem wówczas związany. Była tak zaskoczona tą decyzją, że zgodziła się za mnie wyjść. Nie miałem jednak pojęcia, jak mocno wrosłem w ten świat; powstrzymanie się od wspinania było znacznie trudniejsze, niż przypuszczałem. Ta abstynencja trwała zaledwie rok, a kiedy dobiegła końca, wydawało się, że wraz z nią zakończy się również mój związek małżeński. Jednak wbrew

wszelkim przeciwnościom zdołałem ocalić małżeństwo i nadal się wspinać. Nie czułem już jednak potrzeby balansowania na krawędzi życia i śmierci, oglądania Boga na każdym szczycie, szukania coraz trudniejszych i radykalniejszych wyzwań. Dziś czuję się jak alkoholik, który zdołał zamienić tygodniowe wódczane ciągi na kilka piw w sobotni wieczór. Z radością stałem się częścią świata alpinistycznej przeciętności.

Moje ambicje wspinaczkowe zawsze były odwrotnie proporcjonalne do moich wysiłków literackich. W 1981 roku sprzedałem pierwszy artykuł do ogólnokrajowej gazety; w listopadzie 1983 kupiłem edytor tekstów, zdjąłem pas z narzędziami i zacząłem zarabiać pisaniem na życie. Od tej pory nie podejmowałem już żadnej innej pracy. Ostatnio coraz częściej zajmuję się tematami takimi jak architektura, historia naturalna czy pop kultura – pisałem o chodzeniu po ogniu do „Rolling Stone", o perukach dla „Smithsonian" i stylu regencji[1] dla „Architectural Digest" – lecz opowieści związane z alpinizmem pozostają najbliższe mojemu sercu.

Jedenaście spośród dwunastu esejów zgromadzonych w tej książce ukazało się wcześniej w różnych czasopismach (ostatnią opowieść, „Devils Thumb", napisałem specjalnie na potrzeby tej publikacji). W związku z tym każdy z nich wzbogacony został – a w kilku przypadkach zubożony – uwagami małej armii redaktorów, którzy pierwotnie przygotowywali je do druku. Szczególnie wdzięczny jestem Marcowi Bryantowi i Johnowi Rasmusowi z „Outside" oraz Jackowi Wileyowi, Jimowi Doherty'emu i Donowi Moserowi ze „Smithsonian", którzy wnieśli nieoceniony wkład do najlepszych spośród tych historii. Wszyscy są znakomitymi pisarzami i redaktorami, a ich wielkość przejawiała się również we wrażliwości i cierpliwości, z jaką wielokrotnie starali się pokierować mnie we właściwą stronę, gdy ja zmierzałem uparcie w kierunku niewłaściwym.

Na moją wdzięczność mogą liczyć również następujące osoby: Larry Burke, Mike McRae, Dave Schonauer, Todd Balf, Alison Carpenter Davis, Marilyn Johnson, Michelle Stacey, Liz Kaufmann, Barbara Rowley, Susan Campbell, Larry Evans, Joe Crump, Laura

Hohnhold, Lisa Chase, Sue Smith, Matthew Childs i Rob Story z „Outside”; Caroline Despard, Ed Rich, Connie Bond, Judy Harkison, Bruce Hathaway, Tim Foote i Frances Glennon ze „Smithsonian”; Phil Zaleski i David Abramson z „New Age Journal”; H. Adams Carter z „The American Alpine Journal”; Michael Kennedy i Alsion Osius z „Climbing”; Ken Wilson z „Mountain”; Peter Burford, który pomógł mi nadać ostateczny kształt temu zbiorowi; Deborah Shaw i Nick Miller, którzy udzielili mi gościny; mój agent John Ware; i kolega po piórze Greg Child, z którym współpracowałem podczas tworzenia pierwszej wersji „Fatalnego lata na K2”.

Za wspólną wspinaczkę i niezapomniane dni spędzone w górach winien jestem podziękowania takim osobom jak Fritz Wiessner, Bernd Arnold, David Trione, Ed Trione, Tom Davies, Marc Francis Twight, Mark Fagan, Dave Jones, Matt Hale, Chris Gulick, Laura Brown, Jack Tackle, Yvon Chouinard[2], Lou Dawson, Roman Dial, Kate Bull, Brian Teale, John Weiland, Bob Shelton, Nate Zinsser, Larry Bruce, Molly Higgins, Pam Brown, Bill Bullard, Helen Apthorp, Jeff White, Holly Crary, Ben Reed, Mark Rademacher, Jim Balog, Mighty Joe Hladick, Scott Johnston, Mark Hesse, Chip Lee, Henry Barber, Pete Athans, Harry Kent, Dan Cauthorn i Robert Gully.

Przede wszystkim chciałbym podziękować Lwu i Carol Krakauerom, którzy wbrew rozsądkowi zabrali swego ośmioletniego syna na południowy wierzchołek Trzech Sióstr; Steve’owi Rottlerowi, który przez tyle lat dawał mi zajęcie w Boulder, Seattle i Port Alexander; Edowi Wardowi, najbardziej utalentowanemu wspinaczowi, jakiego kiedykolwiek znałem, człowiekowi, który pokazał mi, jak się wspinać i nie stracić przy tym życia; Davidowi Robertsowi, który pokazał mi Alaskę i nauczył mnie pisać; oraz Lindzie Mariam Moore, mojej najlepszej redaktorce i przyjaciółce.

[1] Styl regencji narodził się w połowie XVIII w. podczas regencji Filipa Orleańskiego we Francji; występował przede wszystkim w meblarstwie i dekoracji wnętrz – meble fornirowane, zdobione złoconymi brązami; motywy ornamentalne: muszle, kwiaty, romboidalna kratka z różyczkami, atrybuty pastoralne i miłosne, smoki i chimery, chinoiserie i singerie.

[2] Książka Yvona Chouinarda „Dajcie im popływać. O wychowaniu niepoprawnego przedsiębiorcy” ukazała się w serii 360 stopni.

ROZDZIAŁ 1

Eiger wyśniony

W jednej z pierwszych scen „Akcji na Eigerze” Clint East-wood wchodzi do słabo oświetlonej kwatery głównej bezlitosnej agencji C-2, by dowiedzieć się, kogo ma zabić w następnej kolejności. Dragon, zły albinos, który dowodzi organizacją podobną do CIA, mówi Eastwoodowi, że choć nie zna jeszcze nazwiska celu, to odkrył, że „nasz człowiek będzie tego lata wspinał się w Alpach. Wiemy też na którą górę: Eiger”.

Eastwood bez trudu domyśla się, którą drogą wejdzie tam rzeczony obiekt zamachu – „północną ścianą, oczywiście” – i nie ukrywa, że dobrze zna tę ścianę: „Dwukrotnie próbowałem na nią wejść, a ona dwukrotnie próbowała mnie zabić… Posłuchajcie, jeśli obiekt próbuje wejść na Eiger, to całkiem możliwe, że tę robotę mamy już z głowy”.

Problem z wejściem na północną ścianę Eigeru polega na tym, że trzeba pokonać nie tylko ponad tysiąc osiemset metrów pionowej popękanej wapiennej skały i czarnego lodu, ale i onieśmielający mit. Najtrudniejsze elementy każdego wejścia to praca umysłu, psychologiczna gimnastyka, która pozwala zapanować nad strachem, a ponura legenda otaczająca Eiger jest dość przerażająca, by pozbawić pewności siebie nawet najodważniejszych. Epickie historie, które rozgrywały się na Nordwand, znalazły stałe miejsce w zbiorowej podświadomości rodzaju ludzkiego dzięki makabrycznym opisom zamieszczonym w ponad dwóch tysiącach artykułów i książek. Obwoluty książek z tytułami takimi jak „Eiger: ściana śmierci”[3], przypominają nam, że Nordwand „pokonała setki alpinistów i zabiła czterdziestu czterech… Ciała tych, którzy spadli – czasami znajdowano je wiele lat później – były wysuszone i rozczłonkowane. Zwłoki jednego z włoskich alpinistów wisiały na linie – niedostępne, lecz widoczne z dołu – przez trzy lata, okryte lodową skorupą w zimie i kołysane wiatrem w lecie”[4].

Historia tej góry obejmuje zmagania postaci tak znanych jak Buhl, Bonatti, Messner, Rebuffat, Terray, Hastson i Harlin, nie wspominając już o Eastwoodzie. Nazwy charakterystycznych punktów tej ściany – Trawers Hinterstoissera, Lodowy Szlauch, Biwak Śmierci, Biały Pająk – znane są doskonale wszystkim alpinistom, zarówno tym aktywnym, jak i tym, którzy zakończyli już karierę, od Tokio do Buenos Aires. Na

samą wzmiankę o tych miejscach większości z nich pocą się ręce. Kamienne lawiny, które bez ustanku schodzą wzdłuż Nordwand, przeszły już do legendy, podobnie jak niezwykle trudne warunki atmosferyczne. Nawet gdy w całej Europie świeci słońce, nad Eigerem szaleją gwałtowne burze, zupełnie jak ciemne chmury, które wiszą nad zamkami Transylwanii w filmach grozy.

Nie trzeba chyba dodawać, że właśnie z tych powodów północna ściana Eigeru to jedna z najbardziej obleganych tras wspinaczkowych na świecie.

Pierwsze udane wejście na Nordwand miało miejsce w 1938 roku. Od tej pory dokonano tej sztuki ponad sto pięćdziesiąt razy – jeden ze zdobywców ściany wspiął się na nią samotnie, a zajęło mu to pięć i pół godziny – nie próbujcie jednak wmawiać sierżantowi sztabowemu Carlosowi J. Ragone'owi z sił lotniczych USA, że wejście to zamieniło się w zwykłą wycieczkę po malowniczej okolicy. Zeszłej jesieni siedziałem wraz z Markiem Twightem przed naszymi namiotami nad Kleine Scheidegg, skupiskiem hoteli i restauracji u podnóży Eigeru, kiedy do obozu wszedł Ragone obarczony wielkim plecakiem i oświadczył, że przyjechał, by wspiąć się na Nordwand. Podczas rozmowy wyjawił nam, że oddalił się samowolnie z bazy lotniczej w Anglii. Jego dowódca odmówił mu wydania przepustki, kiedy dowiedział się, co Ragone zamierza robić w wolnym czasie, ale ten i tak pojechał. „Pewnie stracę przez to wszystkie paski na pagonach", mówił, „ale jeśli uda mi się tam wejść, mogę nawet dostać awans".

Niestety, Ragone nie dostał awansu. Tamten wrzesień zapisał się w szwajcarskich annałach jako najwilgotniejszy od 1864 roku. Ściana była w fatalnym stanie, gorszym nawet niż zazwyczaj, oblepiona szronem i niestabilnym śniegiem. Prognozy pogody mówiły o stałych opadach śniegu i silnym wietrze. Dwaj partnerzy wspinaczkowi, którzy mieli wejść z Ragone'em na ścianę, wycofali się ze względu na niesprzyjające warunki. Ragone'a nie mogła jednak powstrzymać taka drobnostka jak brak towarzystwa. Trzeciego października rozpoczął samotną wspinaczkę. W dolnej części ściany, w pobliżu szczytu turni zwanej Pierwszym Filarem, wykonał niewłaściwy krok. Jego raki i czekany wyrwały się ze zwietrzałego lodu, a on sam

znalazł się nagle w powietrzu. Sto pięćdziesiąt metrów niżej uderzył w ziemię.

Choć trudno w to uwierzyć, warstwa świeżego śniegu zgromadzonego u podnóża skały zamortyzowała upadek, a Ragone mógł wstać i odejść stamtąd o własnych siłach, narzekając jedynie na kilka siniaków i ból w plecach. Pomimo śnieżycy dokuśtykał jakoś do Bahnhof buffet, poprosił o pokój, wyszedł na piętro i położył się spać. Okazało się, że podczas upadku ze ściany zgubił nie tylko jeden z czekanów, ale i portfel ze wszystkimi dokumentami i pieniędzmi. Rankiem, kiedy przyszło do płacenia za pokój, Ragone mógł jedynie zaoferować drugi czekan. Kierownik Bahnhof nie był rozbawiony. Nim Ragone wymknął się ze Scheidegg, zawitał jeszcze do naszego obozu, by zapytać, czy nie kupilibyśmy reszty jego sprzętu wspinaczkowego. Odparliśmy, że chętnie byśmy mu pomogli, ale sami nie śmierdzieliśmy wtedy groszem. Ragone, stwierdziwszy, że na jakiś czas stracił serce do wspinaczki, oznajmił, że tak czy inaczej da nam ten sprzęt. „Ta góra to kanalia", splunął ze złością, spoglądając po raz ostatni na Nordwand. Potem ruszył nierównym krokiem w stronę Anglii, by stawić czoło rozgniewanemu dowódcy.

Podobnie jak Ragone, Marc i ja przyjechaliśmy do Szwajcarii, by wspiąć się na Nordwand. Marc, młodszy ode mnie o osiem lat, ma dwa kolczyki w lewym uchu i fioletowe włosy ułożone we fryzurę, której nie powstydziłby się żaden punk. Jest także zapalonym wspinaczem. Jedną z dzielących nas różnic był fakt, że Marc bardzo chciał wspiąć się na Eiger, podczas gdy ja bardzo chciałem mieć to już za sobą. Marc jest w wieku, w którym przysadka wydziela nadmiar hormonów neutralizujących subtelniejsze emocje, takie jak strach. Wciąż zdarza się mu mylić rzeczy takie jak wspinaczka na granicy życia i śmierci z dobrą zabawą. W geście przyjacielskiej życzliwości zamierzałem pozwolić, by Marc prowadził na wszystkich najzabawniejszych częściach trasy Nordwand.

W odróżnieniu od Ragone'a Marc i ja nie zamierzaliśmy wchodzić na ścianę do czasu, aż poprawi się pogoda. Ze względu na wklęsły kształt Nordwand, kiedy pada śnieg, tylko nieliczne miejsca na tej ścianie nie są wystawione na lawiny. Latem, jeśli wszystko dobrze się układa, sprawna ekipa potrzebuje dwóch, może trzech dni, by

wspiąć się na Nordwand. Jesienią, gdy dni są krótsze, a ściana bardziej oblodzona, norma wynosi dwa do trzech dni. Uznaliśmy, że jeśli chcemy mieć realne szanse na bezproblemowe wejście i zejście, potrzebujemy przynajmniej czterech kolejnych dni dobrej pogody; pierwszy dzień potrzebny był po to, by lawiny zabrały ze sobą świeży śnieg, a pozostałe trzy miała zająć wspinaczka na ścianę i zejście zachodnim zboczem.

Każdego ranka naszego pobytu w Scheidegg wyczołgiwaliśmy się z namiotów, brnęliśmy przez zaspy śnieżne do Bahnhof i dzwoniliśmy do Genewy albo Zurychu po czterodniową prognozę pogody. Dzień po dniu otrzymywaliśmy te same informacje – pogoda zmienna, z opadami deszczu w dolinach i śniegu w górach. Mogliśmy jedynie kląć i czekać, a oczekiwanie było okropne. Legenda Eigeru ciążyła nam szczególnie w bezczynne dni, gdy mieliśmy zbyt dużo czasu na myślenie.

Pewnego dnia, dla rozrywki pojechaliśmy do Jungfraujoch, korzystając z górskiej kolejki zębatej, która łączy Kleine Scheidegg z siodłem położonym wysoko w masywie Eiger-Jungfrau. Pomysł ten okazał się niewypałem. Kolejka przejeżdża przez wnętrzności Eigeru, czyli tunel wydrążony w górze w 1912 roku. W połowie drogi znajduje się stacja z wielkimi oknami wychodzącymi na pionową płaszczyznę Nordwand.

Widok ten jest tak oszałamiający, że na parapetach okien leżą worki na wymiociny, takie jak w kieszeniach foteli lotniczych. Kiedy tam przyjechaliśmy, tuż za oknami przesuwały się chmury. Czarna skała Nord-wand, oblepiona szronem i soplami, opadała pionowo w dół, ku gęstej mgle. Co jakiś czas w dół spadały z sykiem małe lawiny. Gdyby nasza trasa miała wyglądać jak to, na co właśnie patrzyliśmy, wpakowalibyśmy się w poważne tarapaty. Wspinaczka w takich warunkach byłaby aktem prawdziwej desperacji, jeśli w ogóle byłaby możliwa.

Na Eigerze twory wyobraźni często mieszają się z rzeczywistością, a stacja Eigerwand przypominała scenę ze snu, który nawiedzał mnie od lat. Walczę w nim o życie w burzy śnieżnej na jakiejś niekończącej się ścianie i nagle natykam się na drzwi osadzone w skale. Prowadzą one do ciepłego pokoju z kominkiem, stołem zastawionym gorącym

jedzeniem i wygodnym łóżkiem. Zwykle jednak drzwi te pozostają zamknięte.

W odległości czterystu metrów od wielkich okien środkowej stacji, w ścianie tunelu rzeczywiście znajdują się drewniane drzwi – zawsze otwarte – które wychodzą prosto na Nordwand. Standardowa trasa wspinaczki przechodzi w pobliżu tychże drzwi, a niejeden wspinacz skorzystał z nich, uciekając przed burzą.

Tego rodzaju ucieczka niesie jednak inne zagrożenia W roku 1981 Mugs Stump, jeden z najznakomitszych amerykańskich alpinistów, przeszedł przez drzwi, gdy burza zmusiła go do przerwania samotnej wspinaczki na ścianę, i ruszył w stronę wejścia do tunelu, odległego o około półtora kilometra od tego miejsca. Wkrótce jednak zrozumiał, że nim tam dotrze, napotka na swej drodze kolejkę. Eiger zbudowany jest z twardego czarnego wapienia, w którym trudno drąży się otwory, budowniczy tunelu starali się więc nie poszerzać go bardziej, niż było to konieczne. Wkrótce Stump uświadomił sobie również, że wolna przestrzeń między wagonikami a ścianami tunelu to nie więcej niż około trzydziestu centymetrów. Szwajcarzy szczycą się tym, że ich pociągi jeżdżą zawsze punktualnie, a wszystko wskazywało na to, że maszynista tej kolejki także nie zamierzał się spóźniać tylko dlatego, że jakiś przeklęty alpinista wlazł mu na tory. Jedyne, co mógł zrobić Stump, to wstrzymać oddech, przytulić się do ściany i wcisnąć jakoś głowę w szczeliny skały. Przeżył przejazd kolejki, ale było to doświadczenie bardziej wstrząsające niż najtrudniejsze momenty jego licznych wspinaczek[5].

Podczas trzeciego tygodnia bezczynnego oczekiwania na zmianę pogody pojechaliśmy z Markiem do Wengen i Lauterbrunnen, by odpocząć trochę od śniegu. Po miłym dniu, który spędziliśmy na oglądaniu widoków i popijaniu rugenbrau, udało nam się spóźnić na ostatni pociąg do Scheidegg, a to oznaczało, że czeka nas długa piesza wędrówka do naszych namiotów. Marc ruszył żwawym tempem, by dotrzeć do obozu przed zmrokiem, ja jednak uznałem, że wcale jeszcze nie chcę wracać w cień Eigeru i strefę śniegu i że jeszcze jeden lub dwa kufle piwa pomogą mi znieść ten nieunikniony powrót.

Nim wyszedłem z Wengen, zrobiło się już ciemno, ale szlaki w Oberland, choć strome (zdaje się, że Szwajcarzy nie uznają czegoś takiego jak serpentyny), są szerokie i dobrze utrzymane. Co ważniejsze, na tej ścieżce nie było elektrycznych bramek, na które natknęliśmy się z Markiem pewnej deszczowej nocy tydzień wcześniej (również spóźniliśmy się wtedy na pociąg), wracając na piechotę z Gridelwald do Scheidegg. Bramki mają zatrzymywać zabłąkane krowy, ale nocą są zupełnie niewidoczne – szczególnie dla kogoś, kto wcześniej wypił kilka piw. Kiedy uderzają w ciało mierzące sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, trafiają w niezwykle czułe miejsce położone dokładnie piętnaście centymetrów pod pasem i przeszywają pechowca w przemoczonych butach prądem o napięciu na tyle wysokim, że pechowiec ów gotów jest przyznać się do niepopełnionych zbrodni.

Spacer z Wengen przebiegał bez zakłóceń, aż dotarłem do linii drzew, kiedy to usłyszałem przybierający na sile ryk, przypominający odgłos pracy silników boeinga 747. Pierwszy podmuch wiatru uderzył we mnie w chwili, gdy obchodziłem boczną grań Lauberhorn i skręcałem ku Wengernalp. Wiatr pojawił się znikąd i posadził mnie na ziemi. Był to foehn, wiejący od strony Eigeru.

Foehn (fen) z berneńskiego Oberland – kuzyn wiatrów Santa Ana, które co jakiś czas podpalają południową Kalifornię, oraz chinooków smagających Góry Skaliste w Kolorado – mogą osiągać niespotykaną moc. Podobno zawierają nieproporcjonalną liczbę pozytywnych jonów i doprowadzają ludzi do obłędu. „W Szwajcarii – pisze Joan Didion w „Slouching Towards Bethlehem” (Wlokąc się w stronę Betlejem) – gdy wieje foehn, wzrasta liczba samobójstw, a w sądach niektórych szwajcarskich kantonów obecność tego wiatru uważana jest za okoliczność łagodzącą”. Foehn zajmuje znaczące miejsce w opowieściach o Eigerze. To suchy, stosunkowo ciepły wiatr, który topi śnieg i lód na Eigerze i sprowadza zabójcze lawiny. Zwykle natychmiast po foehnsturm następuje gwałtowne ochłodzenie, a ściana pokrywa się zdradliwą gołoledzią. Wiele nieszczęśliwych wypadków, jakie wydarzyły się na Eigerze, można przypisać właśnie foehn; w „Akcji na Eigerze” to właśnie foehn omal nie pokonuje Eastwooda.

Z najwyższym trudem radziłem sobie z foehn na ścieżce prowadzącej przez krowie pastwiska. Wzdrygałem się na myśl o tym, jakie byłyby konsekwencje spotkania z tym wiatrem na Nordwand. Foehn sypał mi piaskiem w oczy i raz po raz zwalał z nóg. Kiedy w końcu dowlokłem się do Bahnhof w Scheidegg, zastałem tam tłum robotników drogowych, kucharzy, pokojówek, kelnerek i turystów, których zagnała tu wichura. Ta sama wichura wypełniła wszystkich jakąś dziwną, szaloną energią, w Bahnhof trwała więc w najlepsze rozbuchana, huczna zabawa. W jednym rogu ludzie tańczyli w rytm muzyki z szafy grającej, w innym stali na stołach i ryczeli jakieś niemieckie piosenki; wszyscy domagali się kolejnych porcji kiełbasy i piwa.

Miałem już przyłączyć się do zabawy, gdy zobaczyłem Marca, który zmierzał do mnie z dzikim obłędem w oczach.

– Jon – zawołał. – Nasze namioty przepadły!

– Hej, nie mam ochoty zajmować się tym teraz – odparłem, próbując przywołać kelnera. – Wynajmiemy tu pokój na noc, a rano rozbijemy namioty z powrotem.

– Nie, nie rozumiesz. Nie chodzi o to, że wiatr je przewrócił, on je po prostu zabrał. Znalazłem żółty jakieś pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym był rozbity, ale brązowego po prostu nie ma. Szukałem go, ale nie mogłem nigdzie znaleźć. Teraz jest już pewnie w Grindelwald.

Namioty były przymocowane do drewnianych bali, betonowych pustaków i śrub wkręconych w lód. Znajdowało się w nich co najmniej sto kilogramów jedzenia i sprzętu. Nie mogłem uwierzyć, że porwał je wiatr, ale tak się właśnie stało. Brązowy namiot, który zniknął bez śladu, zawierał nasze śpiwory, ubrania, moje buty do wspinaczki, maszynkę z naczyniami, trochę jedzenia i Bóg wie, co jeszcze. Gdybyśmy go nie znaleźli, długie tygodnie czekania pod Nordwand poszłyby na marne, zapiąłem więc kurtkę i wyszedłem ponownie na zewnątrz, prosto w objęcia foehnsturm.

Tylko dzięki czystemu zbiegowi okoliczności znalazłem namiot czterysta metrów od miejsca, w którym był rozbity – leżał na środku torów prowadzących do Grindelwald. Nie wyglądał wtedy jak namiot, lecz jak poszarpana masa nylonu, linek i połamanych, wygiętych

masztów. Kiedy już zawlekliśmy go do Bahnhof, odkryliśmy, że z maszynki wyciekł cały butan, a tuzin jaj pokrył nasze ubrania i śpiwory paskudną lepką masą, wyglądało jednak na to, że podczas krótkiej podróży namiotu po Scheidegg nie zginęło nic ważnego. Rzuciliśmy wszystko w róg sali i przyłączyliśmy się do ogólnej zabawy.

Pomiary wykazały, że tego wieczoru wiatr w Scheidegg wiał z prędkością stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Oprócz tego, że spustoszył nasz obóz, przewrócił również wielki teleskop na balkonie sklepu z upominkami i zrzucił wielką jak ciężarówka gondolę wyciągu narciarskiego na tory przed Bahnhof. O północy jednak wichura przycichła. Temperatura gwałtownie spadła, a rankiem lód roztopiony przez foehn pokryła trzydziestocentymetrowa warstwa świeżego śniegu. Kiedy zadzwoniliśmy do stacji meteorologicznej w Genewie, przeżyliśmy prawdziwy szok: okazało się, że wkrótce ma się zacząć kilkudniowy okres dobrej pogody. „Słodki Jezu – pomyślałem. – My naprawdę będziemy musieli wyjść na tę ścianę".

Ósmego października pojawiło się słońce, któremu towarzyszyły obietnice meteorologów, że przynajmniej przez pięć dni nie dojdzie do załamania pogody. Rankiem daliśmy Nordwand kilka godzin, by zrzuciła z siebie śnieg nagromadzony podczas foehn, a potem przeszliśmy przez sięgające pasa zaspy do bazy na początku trasy, gdzie rozbiliśmy naprawione w pośpiechu namioty. Wpełzliśmy do nich wczesnym wieczorem, ale ja byłem zbyt przerażony, by nawet udawać, że śpię.

O trzeciej nad ranem, gdy mieliśmy ruszyć w drogę, padał deszcz, a ze ściany spadały kawałki lodu i kamienie. Musieliśmy odłożyć wspinaczkę na później. Odetchnąłem w duchu z ulgą, wróciłem do namiotu i natychmiast zapadłem w głęboki sen. O dziewiątej obudził mnie świergot ptaków. Znów się wypogodziło. Spakowaliśmy się w pośpiechu. Gdy ruszaliśmy w górę Nordwand, czułem się tak, jakby jakiś pies przez całą noc przeżuwał mój żołądek.

Przyjaciele, którzy wspinali się już kiedyś na Nordwand, mówili nam, że pierwsza jedna trzecia trasy jest „całkiem zwyczajna". Nie jest, a przynajmniej nie w warunkach, w których my ją pokonywaliśmy. Choć nie musieliśmy wykonywać zbyt wielu trudnych

technicznie operacji, wspinaczka była naprawdę niebezpieczna. Pod cienką lodową skorupą leżała głęboka warstwa niestabilnego śniegu. Nietrudno było zrozumieć, dlaczego Ragone spadł ze ściany; wydawało się, że wystarczy jeden nieostrożny ruch, by śnieg pod naszymi nogami się załamał. Tam, gdzie ściana robiła się bardziej stroma, warstwa śniegu miała zaledwie kilka lub kilkanaście centymetrów grubości, a nasze czekany odbijały się od skały. Trudno było znaleźć jakikolwiek punkt zaczepienia w wietrzejącym śniegu i lodzie lub też pod nim, więc przez pierwszych sześćset metrów wspinaczki nawet nie wyjmowaliśmy lin z plecaków i po prostu szliśmy razem „solo".

Obaj mieliśmy nieporęczne ciężkie plecaki, które mogły nas przeważyć i pociągnąć do tyłu, gdy odchylaliśmy się, by znaleźć dalszą drogę. Przed wyjściem w trasę staraliśmy się ograniczyć bagaż do naprawdę niezbędnych rzeczy, ale strach przed Eigerem kazał nam dorzucić do plecaków dodatkowe jedzenie, paliwo i ubrania na wypadek, gdyby dopadła nas burza śnieżna, a także dość sprzętu wspinaczkowego, by zatopić statek. Trudno było nam zdecydować, co powinniśmy wziąć, a co zostawić. Marc postanowił w końcu zabrać walkmana i dwie ulubione kasety zamiast śpiwora, doszedł bowiem do wniosku, że kiedy znajdziemy się w naprawdę trudnej sytuacji, spokój umysłu osiągnięty dzięki słuchaniu Dead Kennedys i Angry Samoans okaże się cenniejszy niż odrobina ciepła.

O czwartej po południu, gdy dotarliśmy do przewieszki zwanej Rote Flush, mogliśmy w końcu umocować haki, pierwsze w czasie tej wspinaczki. Przewieszka zapewniała ochronę przed niezidentyfikowanymi obiektami spadającymi, które co jakiś czas przemykały obok nas ze świstem, postanowiliśmy więc zatrzymać się pod nią na noc, choć do zmierzchu pozostała jeszcze ponad godzina. W miejscu, gdzie śnieg stykał się ze skałą, wykopaliśmy długi wąski podest, dzięki czemu mogliśmy ułożyć się w miarę wygodnie, zwróceni do siebie głowami, które rozdzielała maszynka.

Następnego ranka wstaliśmy o trzeciej i opuściliśmy naszą małą półkę godzinę przed świtem, oświetlając sobie drogę czołówkami. W odległości liny za biwakiem Marc zaczął prowadzić w górę odcinka

trasy o stopniu trudności równym 5.4[6]. Marc jest alpinistą, który ma na koncie trasy 5.12, zaniepokoiłem się więc, kiedy zaczął mruczeć coś pod nosem, zwolnił, a potem się zatrzymał. Próbował przejść na lewo, potem na prawo, ale warstwa kruchego lodu, cienka jak skorupa jajka, przesłaniała wszelkie możliwe punkty zaczepienia. Przesuwał się irytująco powoli, po kilkanaście centymetrów w górę, zaczepiając kolce raków i czekany o wapienne występy ukryte pod powierzchnią lodu. Pośliznął się pięć razy, za każdym razem jednak zatrzymywał się, przeleciawszy tylko kilkadziesiąt centymetrów.

Minęły dwie godziny, a Marc wciąż miotał się bezsilnie nade mną. Wyszło słońce. Zacząłem się niecierpliwić.

– Marc! – wrzasnąłem. – Jeśli nie chcesz prowadzić, zejdź tutaj, a ja spróbuję to zrobić.

Blef podziałał: Marc zaatakował trudny odcinek ze wzmożoną determinacją i wkrótce go pokonał. Kiedy jednak dołączyłem do niego przy punkcie asekuracyjnym, byłem zaniepokojony. Przejście dwudziestu pięciu metrów zajęło nam prawie trzy godziny. Na Nordwand trzeba pokonać prawie dwa i pół tysiąca metrów (biorąc pod uwagę wszystkie trawersy), a wiele odcinków było znacznie trudniejszych niż ten, który właśnie przeszliśmy.

Po krótkim odpoczynku musieliśmy się zmierzyć z następnym fragmentem, okrytym złą sławą Trawersem Hinterstoissera, czterdziestometrowym obejściem wokół kilku niezdobytych przewieszek, które stanowiło klucz do zdobycia górnej części Nordwand. W 1936 roku jako pierwszy pokonał ten odcinek Andreas Hinterstoisser; jego przejście przez wypolerowane skalne płaszczyzny było prawdziwym wspinaczkowym majstersztykiem. Jednak nieco wyżej Andreasa i trójkę jego towarzyszy zaskoczyła burza śnieżna, która zmusiła ich do powrotu. Śnieżyca przykryła trasę warstwą lodu, wspinacze nie mogli więc zejść po własnych śladach. Wszyscy czterej zginęli. Od czasu tej tragedii wszyscy alpiniści zostawiają w tym miejscu linę, by zapewnić sobie bezpieczny powrót.

Przekonaliśmy się, że skalne płyty Hinterstoissera pokrywa pięć centymetrów lodu. Choć dość cienka, warstwa ta była na tyle mocna, by utrzymać nasze czekany. Co więcej, miejscami spod lodu

wystawała stara postrzępiona lina. Przesuwając się powoli po lodzie i bezwstydnie czepiając się starej liny, gdy tylko było to możliwe, bez przeszkód pokonaliśmy osławiony trawers.

Nad Hinterstoisserem trasa prowadziła prosto w górę, obok punktów, które pojawiały się w moich koszmarach, odkąd skończyłem dziesięć lat: Jaskółczego Gniazda, Pierwszego Pola Lodowego, Lodowego Szlaucha. Wspinaczka nie była tak trudna jak na odcinku przed Hinterstoisserem, na którym prowadził Marc, ale rzadko mieliśmy okazję zamocować haki. Gdyby którykolwiek z nas się pośliznął, zlecielibyśmy obaj na dół.

W miarę upływu czasu uspokajałem się i nabierałem pewności siebie. W pewnym momencie, gdy prowadziłem po kruchym pionowym lodzie Lodowego Szlaucha, uświadomiłem sobie nagle z pełną mocą, że jedyna rzecz, która powstrzymuje mnie przed upadkiem w przepaść, to dwa cienkie metalowe dzioby wbite w dwucentymetrową warstwę czegoś, co przypominało wnętrze mojej lodówki tuż przed rozmrożeniem. Spojrzałem w dół, na ziemię odległą o tysiąc metrów, i nagle zrobiło mi się słabo, jakbym miał zemdleć. Musiałem zamknąć oczy i wziąć kilka głębokich oddechów, nim mogłem podjąć wspinaczkę.

Pięćdziesięciometrowy odcinek trasy wiodący obok Lodowego Szlaucha doprowadził nas do Drugiego Pola Lodowego, punktu położonego nieco wyżej niż połowa wysokości ściany. Najbliższym miejscem, w którym mogliśmy bezpiecznie spędzić noc, był Biwak Śmierci, półka, na której zginęli Max Sedlmayer i Karl Mehringer w burzy śnieżnej, podczas pierwszej próby wejścia na Nordwand, w 1935 roku. Pomimo ponurej nazwy Biwak Śmierci jest prawdopodobnie najbezpieczniejszym i najwygodniejszym miejscem na całej ścianie. Jednak by się do niego dostać, musieliśmy pokonać dwustuczterdziestometrowy trawers przez Drugie Pole Lodowe, a potem przejść jeszcze kilkaset trudnych metrów w górę, na szczyt turni zwanej Żelazkiem.

Była pierwsza po południu. W ciągu ośmiu godzin, czyli od czasu, gdy opuściliśmy poprzedni biwak na Rote Fluh, udało nam się przejść zaledwie jakieś czterysta trzydzieści metrów. Choć Drugie Pole Lodowe wydawało się dość łatwe, Żelazko wyglądało na

zdecydowanie trudniejsze, a ja miałem poważne wątpliwości, czy zdołamy dotrzeć do Biwaku Śmierci – odległego o ponad sześćset metrów – w ciągu pięciu godzin, które pozostały nam do zmierzchu. Gdyby nam się to nie udało, musielibyśmy spędzić noc w odsłoniętym miejscu, bombardowanym lawinami i kamieniami opadającymi z owianego złą sławą fragmentu Nordwand: pola lodowego zwanego Białym Pająkiem[7].

– Marc – powiedziałem. – Powinniśmy zejść.

– Co?! – odparł zszokowany. – Dlaczego?

Przedstawiłem mu moje argumenty; powolne tempo wspinaczki, odległość od Biwaku Śmierci, kiepski stan ściany, rosnące zagrożenie lawinowe. Kiedy o tym rozmawialiśmy, spadła na nas mała lawina śnieżna z Białego Pająka. Po piętnastu minutach Marc przyznał z niechęcią, że mam rację, i obaj ruszyliśmy w drogę powrotną.

Tam, gdzie udało nam się znaleźć haki, zjeżdżaliśmy; w innych miejscach po prostu szliśmy w dół. O zachodzie słońca, pod odcinkiem zwany Trudną Rysą, Marc znalazł dobre miejsce na biwak. W tym momencie obaj domyślaliśmy się już, że nasza wyprawa zakończy się fiaskiem i przez cały wieczór prawie nie odzywaliśmy się do siebie.

O świcie, tuż przed rozpoczęciem kolejnego odcinka zejścia, usłyszeliśmy jakieś głosy z dołu. Wkrótce pojawiło się dwoje wspinaczy, mężczyzna i kobieta, którzy przesuwali się szybko w górę, korzystając z pozostawionych przez nas stopni. Obserwując ich płynne, swobodne ruchy, można było bez trudu odgadnąć, że oboje są wytrawnymi wspinaczami. Okazało się, że mężczyzna to Christophe Profit, słynny francuski alpinista. Podziękował nam za przygotowanie drogi, po czym oboje ruszyli w stronę Trudnej Rysy z zadziwiającą prędkością.

Wyglądało na to, że dzień po tym, jak się spietraliśmy, bo ściana była „w złym stanie", dwoje francuskich alpinistów wejdzie na nią z taką łatwością, jakby to był niedzielny spacer. Spojrzałem na Marca, który miał taką minę, jakby lada moment miał wybuchnąć płaczem. W tym miejscu rozdzieliliśmy się i każdy z nas kontynuował zejście samodzielnie.

Dwie godziny później stanąłem na śniegu u podnóża ściany. Ogarnęło mnie przemożne uczucie ulgi. Imadło, które ściskało moje skronie i wnętrzności, nagle zniknęło. Boże, przeżyłem! Usiadłem na śniegu i zacząłem się śmiać.

Marc był kilkaset metrów dalej, siedział na skale. Kiedy do niego dotarłem, zobaczyłem, że płacze – a z pewnością nie był to płacz radości. W odczuciu Marca samo przetrwanie wspinaczki na Nordwand nie było żadną sztuką.

– Hej – przemówiłem do niego, jakby wbrew własnej woli. – Jeśli te żabojady wejdą na górę, zawsze możemy pojechać do Wengen, dokupić trochę jedzenia i spróbować jeszcze raz.

Marc natychmiast poweselał, a nim zdołałem wycofać się z tej pochopnej propozycji, popędził do namiotu, by śledzić postępy francuskich wspinaczy przez lornetkę.

W końcu jednak szczęście uśmiechnęło się do mnie: Christophe Profit i jego partnerka dotarli zaledwie do Rote Fluh, miejsca naszego pierwszego biwaku, gdy obok przeszła potężna lawina śnieżna, która porządnie ich nastraszyła i skłoniła do powrotu. Następnego dnia, by nie kusić losu, tak kapryśnego na Eigerze, siedziałem już w samolocie, który wiózł mnie do domu.

[3] Ściana od 1935 r. zabrała życie co najmnie 65 wspinaczom i nosi niemiecki przydomek „Mordwand".

[4] Wiszącym był Stefano Longhi, dla którego wyprawa z Claudio Cortim zakończyła się śmiercią w 1957 r.

[5] Mugs Stump, właśc. Terry Stump, zginął pod oberwanym serakiem na Denali w 1992 r.

[6] W Europie najczęściej używana jest skala francuska (I–III cyfry rzymskie, później arabskie od 4 do 9 z plusami (bez minusów) i UIAA (cyfry rzymskie I–XI, z plusami i minusami od IV). W USA używa się YDS (Yosemite Decimal System): skala od cyfrowa od 5.2 do 5.14, z arabskimi literami a, b, c, d, począwszy od 5.10. W Polsce powszechnie przyjęła się skala krakowska, zwana też skalą Kurtyki. Stosuje się w niej cyfry rzymskie od I do VI, od IV używa się w niej dodatkowo oznaczeń +, – . Od VI wprowadzone zostało dodatkowe oznaczanie cyframi arabskimi od 1 do 7, np. VI.3+. Podobne zróżnicowanie obowiązuje w przypadku wyceny trudności bulderów – na świecie najczęściej stosuje się skale Bleau i Vern, w

Polsce bulderowego klona skali krakowskiej. I tak 5.4 YDS to polskie II+, a 5.12 YDS to polskie VI.3.

[7] Jak określił to Heinrich Harrer w swojej książce „Biały pająk", pole lodowe o tej nazwie jest „kluczowe dla wspinaczki północną ścianą Eigeru. Każdy, bez względu na zmęczenie, musi przejść Białego Pająka, gdyż przez niego – jak przez naturalną rynnę – spływają szczątki skał i okruchy lodu w bezlitosnych lawinach".

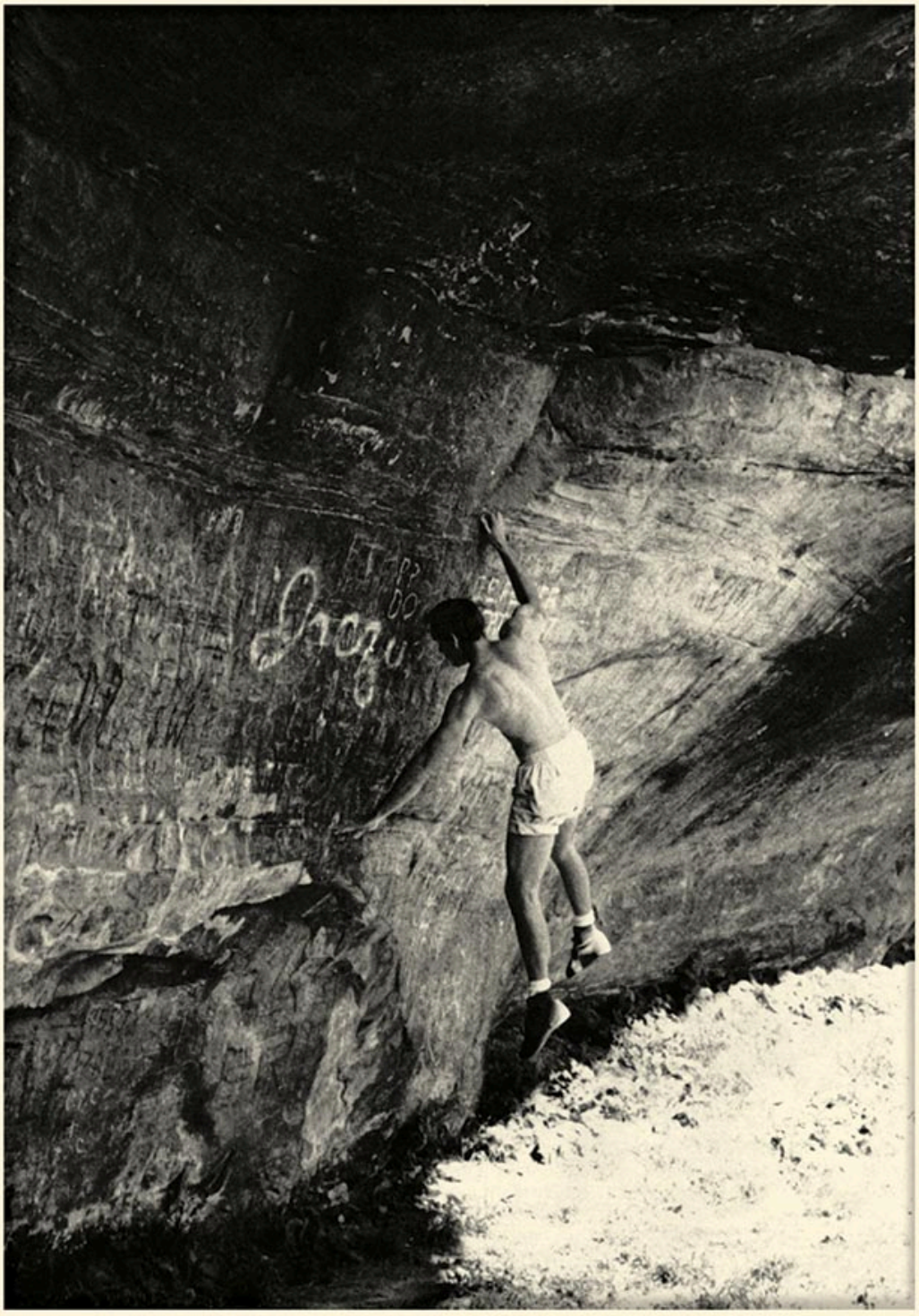

John Gill

ROZDZIAŁ 2

Gill

Na zachód od Pueblo w stanie Kolorado płaskie połacie Wielkich Równin ustępują powoli pierwszym bruzdom Gór Skalistych. Tutaj, pośród karłowatych dębów i kaktusów, wznosi się potężny głaz o barwie i fakturze starej cegły, który sięga pięć metrów ponad wypaloną ziemię. Skała jest znacznie dłuższa niż wyższa, ma lekko przewieszony bok, który wysuwa się z piasku niczym rdzewiejący kadłub statku, który osiadł przed laty na mieliźnie. Dla nieprawnego oka ściana ta wydaje się niemal idealnie gładka; tu i tam widać jedynie obłe wybrzuszenie, kilka małych otworów, kilka półek szerokości ołówka. Można śmiało zakładać, że nikt nie jest w stanie wspiąć się na ten wielki kawał piaskowca. I to właśnie przyciąga do niego Johna Gilla.

Gill naciera palce kredą i podchodzi pewnym krokiem do głazu. Czepiając się maleńkich wgłębień na powierzchni skały i balansując na występach skalnych wielkości ziarnka grochu, odrywa swe ciało od podłoża, jakby lewitował. Dla Gilla stroma ściana głazu jest łamigłówką, którą należy rozwiązać za pomocą wyćwiczonych palców, pomysłowych przechwytów i siły woli. Składa tę łamigłówkę w jedną całość, kawałek po kawałku, delikatnie przerzucając ciężar ciała z jednego punktu zaczepienia do drugiego, aż zawiśnie na czubkach palców metr pod grzbietem głazu. Wydaje się, że w końcu trafił na przeszkodę nie do pokonania: jego stopy dyndają bezużytecznie w powietrzu, wisi w tak trudnej pozycji, że jeśli poruszy którąkolwiek ręką, spadnie na ziemię.

Z błogą miną, która nie pozwala się nawet domyślać, w jak wielkim napięciu pracują teraz jego mięśnie, Gill wbija wzrok w wierzchołek głazu, opuszcza lekko ramiona, a potem wyskakuje nagle w górę, odpychając się od tych żałosnych uchwytów, na których wisiał przed momentem. Zawieszony w powietrzu, wzlatuje kilka lub kilkanaście centymetrów, osiąga najwyższy punkt lotu i w tej samej chwili, nim zacznie opadać, jego lewa ręka przesuwa się błyskawicznie na grzbiet kamienia, niczym wąż atakujący szczura, i chwyta go mocno. Kilka sekund później Gill stoi już na górze.

John Gill to żywa legenda wśród wspinaczy na trzech kontynentach, człowiek, którego podziwiają najlepsi w tym sporcie.

Zazwyczaj do panteonu alpinizmu wchodzą ludzie, którzy dokonali mrożących krew w żyłach czynów w Himalajach, Alpach, na Alasce czy na olbrzymich granitowych ścianach Yosemite. Sława Gilla opiera się jednak na wejściach mierzących nie więcej niż dziesięć metrów: dołączył do elitarnego towarzystwa Hermanna Buhla, sir Edmunda Hillary'ego, Royal Robbinsa i Reinholda Messnera, zdobywając jedynie wielkie głazy.

Nie dajcie się zwieść pozorom: liczby nie wydają się w tym przypadku imponujące, ale wejść dokonanych przez Gilla nikt nie nazwałby łatwymi. Ściany głazów, na które się wspina, zwykle są przewieszone i niewiele jest na nich szczelin czy fałd, które pomniejsi wspinacze mogliby chociaż zobaczyć, nie mówiąc już o wykorzystaniu ich podczas wejścia. W gruncie rzeczy Gill kumuluje wszystkie wyzwania, jakie można znaleźć na wielkiej górze, w jeden kawał granitu lub piaskowca wielkości śmieciarki czy podmiejskiej willi. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że większość wspinaczy prędzej weszłaby na Mount Everest niż na szczyt któregokolwiek z głazów zdobytych przez Gilla.

Właściwie w mniemaniu Gilla szczyty nie są wcale istotne. Prawdziwa przyjemność wspinaczki na głazy, czyli „boulderingu", leży w dążeniu do celu, a nie w jego osiągnięciu. „Forma wspinaczki interesuje wspinacza niemal w takim samym stopniu jak jej końcowy sukces – mówi Gill. – Bouldering tak naprawdę nie jest sportem. To aktywność wspinaczkowa z metafizycznymi, mistycznymi i filozoficznymi podtekstami".

Gill ma niewiele ponad pięćdziesiąt lat, jest wysokim, szczupłym mężczyzną o smutnych oczach, który porusza się w płynny i ostrożny sposób. W taki sam sposób mówi – powoli, świadomie, starannie dobierając słowa, które układa w idealnie poprawne zdania. Gill mieszka wraz ze swoją żoną Dorothy oraz chmarą dobrze odżywionych zwierzaków, które traktuje z udawanym lekceważeniem, w prostym piętrowym domu w Pueblo, miasteczku, które najlepsze czasy ma już za sobą i leży na spalonych słońcem południowych równinach Kolorado. Kiedy Gill stoi na ziemi, nic w jego zachowaniu czy wyglądzie – może oprócz nieco za dużych rąk i ramion – nie wskazuje na to, że jest postacią mityczną, człowiekiem,

który ze względu na niezwykłe poczynania na pionowych skałach podejrzewany jest o to, że odkrył jakąś lukę w prawie grawitacji. Lekko łysiejący, ze starannie przystrzyżoną kozią bródką Gill przypomina raczej łagodnego, lekko roztrzepanego profesora matematyki, którym jest w istocie.

Fakt, że Gill jest zarówno doskonałym wspinaczem, jak i matematykiem, to nie zwykły zbieg okoliczności; on sam widzi wiele podobieństw między tymi dwiema na pozór zupełnie odmiennymi dziedzinami. „Kiedy zacząłem się wspinać, spotkałem kilku innych wspinaczy, którzy również zajmowali się zawodowo matematyką – wspomina Gill. – Zastanawiałem się, dlaczego pośród tak niewielu wspinaczy, których spotykam podczas swoich wypraw, tak wielu to matematycy. Choć jedna z tych czynności zajmuje niemal wyłącznie umysł, a druga to domena fizyczności, istnieje coś, co je łączy. Myślę, że ma to coś wspólnego z rozpoznawaniem wzorów, z naturalnym instynktem analitycznym".

Najtrudniejsze dowody matematyczne, jak twierdzi Gill, rozwiązuje się „w znacznej mierze dzięki intuicji, a to samo dotyczy wspinaczki". To nie przypadek, że w żargonie wspinaczy wejścia na głazy nazywa się „problemami" („Słyszałeś, że Kauk w końcu rozpracował ten paskudny problem za rzeką, no wiesz, ten, na którym wszyscy łamali sobie zęby?").

Bez względu na to, czy chodzi o przewieszoną ścianę piaskowca, czy też o udowodnienie jakiejś nieprawdopodobnej teorii, najwięcej radości dają Gillowi te problemy, które nie zostały jeszcze rozwiązane. „Uwielbiam wyszukiwać skały, na które nikt się jeszcze nie wspiął, wyobrażać sobie różne drogi wejścia, a potem rzeczywiście wspinać się na nie. Oczywiście im trudniejsza droga, im bardziej przerażający wygląd skały, tym większa satysfakcja. Jest w tym coś, co można stworzyć dzięki pełnemu zrozumieniu problemu i intuicji. Człowiek odkrywa po pewnym czasie, że właściwą drogę wspinaczki można wytyczyć nie poprzez wyszukiwanie poszczególnych szczelin, krok po kroku, lecz poprzez całościowe spojrzenie na problem".

Gill podkreśla, że zarówno ambitnym wspinaczom boulderowym, jak i ambitnym matematykom nie chodzi jedynie o rozwiązanie

samego problemu. „Jednym z celów obu tych grup jest osiągnięcie interesującego rezultatu – najlepiej nieoczekiwanego – w elegancki, płynny sposób, przy użyciu zaskakująco prostych metod. To kwestia stylu". Poza tym jednak Gill dodaje: „Aby zostać wspinaczem boulderowym albo matematykiem, musisz mieć tę naturalną skłonność do poszukiwania, silną, wewnętrzną potrzebę bycia na czele, odkrywania rzeczy. Nagrodą, w obu przypadkach, jest niemal nieustające oświecenie, a to naprawdę cudowne uczucie".

Będąc jedynym dzieckiem nauczyciela akademickiego, który co kilka lat przenosił się do innego miasta, Gill wspomina swoje dzieciństwo jako „czasami nieco samotne. Nigdy nie byłem sportowcem, nie brałem udziału w zorganizowanych rozgrywkach". Spędzał mnóstwo czasu na samotnych wędrówkach po lesie i uwielbiał wspinać się na drzewa. Rodzice opowiadali mu potem, że podczas rodzinnych wakacji, kiedy miał siedem czy osiem lat, zawsze prosił ich, by zatrzymywali się przy mijanych skarpach, bo chciał się na nie wspinać.

„W gimnazjum i liceum – opowiada Gill – śpiewałem w chórze. Czasami bywałem naprawdę nudnym człowiekiem". Jednak w liceum w Atlancie Gill poznał dziewczynę, która wcześniej zajmowała się trochę wspinaczką na Zachodzie. Pewnego razu zaprosiła go, by towarzyszył grupie studentów, którzy wybierali się na wyprawę wspinaczkową do Georgii Północnej. Gill najpierw przyglądał im się przez jakiś czas, a potem sam spróbował. „Byłem dość niezdarny – wspomina – ale ogromnie mnie to zaintrygowało. Była to najbardziej ekscytująca rzecz, jaką zajmowałem się do tej pory. Umożliwiała zmianę perspektywy. Coś w tych skałach ciągnęło mnie do siebie".

Latem 1954 roku, po ukończeniu szkoły średniej, pojechał z przyjacielem do Kolorado, by się powspinać. Gill był może niezdarny, ale też bardzo odważny: pewnego dnia przeszedł samotnie większość trasy na urwistej wschodniej ścianie Long Peaks, nim miejscowy przewodnik górski, uznawszy go za szalonego turystę, ruszył mu na ratunek. Kiedy już dogonił Gilla w górnych partiach zbocza i zamienił z nim kilka zdań, „uznał, że nie jestem aż takim wariatem, jak wydawało mu się z dołu. Resztę drogi na szczyt

pokonaliśmy razem". Później miały miejsce kolejne, równie ekscytujące wejścia, a pod koniec lata Gill wiedział już, że znalazł swoje powołanie.

Następnej jesieni, jako student pierwszego roku Politechniki stanu Georgia, Gill musiał zaliczyć kurs gimnastyki. Podczas zajęć studenci obejrzeli film, na którym gimnastycy, zawodnicy olimpijscy, ćwiczyli na kółkach. Gill, który nigdy wcześniej nie widział tego sportu, był „zdumiony łatwością, z jaką gimnastycy wykonywali te skomplikowane ewolucje. Robili niezwykle trudne rzeczy, a wydawało się, że są zrelaksowani i mają wszystko pod kontrolą". Film ten zrobił na nim duże wrażenie; był objawieniem. Czy wspinanie się na skały, rozmyślał Gill, nie jest rodzajem gimnastyki? Natychmiast zaczął używać środków stosowanych w gimnastyce – naukowo opracowanego reżimu treningowego, dyscypliny umysłowej, sproszkowanej kredy ułatwiającej chwyt – by pokonać tradycyjne ograniczenia alpinizmu.

Gill przeczesywał górzyste okolice Georgii i Alabamy, szukając grani, na które mógłby się wspinać. Ponieważ w tych stanach brakuje wysokich i stromych skał, siłą rzeczy zaczął zwracać większą uwagę na głazy i mniejsze skałki. By się nie nudzić, wykorzystał świeżo nabyte umiejętności gimnastyczne oraz wszelkie możliwe wyzwania, jakie oferowały mu te miniaturowe Alpy. I tak narodził się sport zwany boulderingiem[8]. (Alpiniści ćwiczyli na głazach na długo przed tym, zanim Gill przyszedł na świat, zwykle jednak uważali tego rodzaju wspinaczkę jedynie za uzupełnienie treningu koniecznego do wchodzenia na „prawdziwe" góry; Gill był pierwszą osobą, która traktowała wspinanie się na głazy jako cel sam w sobie).

W czasach studenckich Gill często spędzał letnie wakacje w parku narodowym Grand Teton i innych rejonach Gór Skalistych. Podczas pierwszych wypraw na Zachód wspiął się, co prawda, na kilka dużych szczytów, takich jak Grand Teton, jednak coraz więcej uwagi poświęcał coraz mniejszym (i coraz trudniejszym) skałom. W monografii Pata Amenta o Gillu, zatytułowanej „Master of Rock", Yvon Chouinard wspomina czasy, gdy wraz z Gillem wspinał się pod koniec lat pięćdziesiątych w Grand Teton. Zdaniem Chouinarda Gill

był jednym z garstki ekscentrycznych wspinaczy, którzy latem mieszkali w Grand Teton i zajmowali się wyłącznie wspinaniem, „żyjąc za pięćdziesiąt centów dziennie i żywiąc się wyłącznie owsianką". W tamtych czasach Gill nie wchodził już na wysokie szczyty, lecz „zajmował się wyłącznie wspinaczką w czystej postaci. Z punktu widzenia Amerykańskiego Klubu Alpinistycznego jego wejścia nie miały żadnego sensu".

Wkrótce Gill porzucił całkowicie konwencjonalną wspinaczkę przy użyciu lin i skupił się wyłącznie na samotnym zdobywaniu niskich głazów o niezwykle trudnych ścianach, co narażało go na nieustanne drwiny alpinistów hołdujących tradycji. Ci, którzy w ogóle zwracali uwagę na Gilla, podejrzewali, że obleciał go strach i nabawił się lęku wysokości, który uniemożliwiał mu wspinaczkę na wysokość większą niż sześć metrów. W rzeczywistości Gill oddał się całkowicie osobistym poszukiwaniom – badał możliwości i granice grawitacji, kamienia, mięśni i umysłu, by przekonać się, dokąd, poza zwykłą wysokością topograficzną, może zaprowadzić go wspinanie.

Alpinizm jest sportem niemal całkowicie wolnym od formalnych organów zarządzających i oficjalnych reguł. Mimo to – a być może właśnie dlatego – ściśle zintegrowana społeczność amerykańskich wspinaczy zawsze dawała wyraźnie do zrozumienia, jak należy uprawiać ten sport, i starała się za pomocą różnych nacisków przekonać swoich członków, by stosowali się do tych niepisanych reguł.

„Już w 1975 roku – mówi Gill – zrozumiałem, że ogólnie obowiązująca filozofia jest bardzo sztywna i może uwięzić cię w jednej perspektywie, a mnie wcale się to nie podobało. Wolność jest właśnie tym, co lubię we wspinaniu najbardziej. Wychowałem się na dalekim Południu, gdzie wszędzie otaczają cię wielkie grube drzewa, a ze względu na wilgotność trudno zobaczyć niebo. Krajobraz jest w większości zupełnie płaski. Praktycznie nie da się tam stanąć twarzą w twarz z naturą. Kiedy po raz pierwszy pojechałem na Zachód, była to dla mnie ogromna odmiana. Czułem się przytłoczony skałami, skalą tego wszystkiego, ogromną otwartą przestrzenią. Jako kogoś, kto w dużej mierze wychowywał się w izolacji od świata, zachwycała

mnie właśnie ta możność zjednoczenia się z naturą, stawiania czoła różnym wyzwaniom i korzystania z wolności".

„Kiedy po raz pierwszy zrozumiałem, jak wielka jest siła dominującej perspektywy – kontynuuje – jak wielki wpływ społeczność wspinaczkowa może wywierać na twoje doświadczenie alpinistyczne, uświadomiłem sobie, że chcę eksperymentować ze wspinaniem, że nie interesuje mnie dopasowywanie się do jakiejś kategorii, stąpanie po czyichś śladach i przestrzeganie całego zestawu reguł, nawet jeśli są to reguły niepisane. Doszedłem do wniosku, że najłatwiej uniknę pułapki tej dominującej perspektywy, jeśli będę wspinał się samotnie. Przekonałem się, że bardzo trudno jest eksperymentować ze wspinaniem w towarzystwie innych ludzi, nawet jeśli widuję ich tylko w obozie. Wkrótce odkryłem, że kiedy wspinam się samotnie, doświadczam cudownych wewnętrznych przeżyć".

Obecnie dość często zdarza się, że nastoletnie dzieciaki, które niegdyś spędzałyby czas na boisku do bejsbola lub softballa, biorą buty do wspinaczki, woreczki z kredą i idą wspinać się na głazy. Dzięki temu, że jest to sport łatwo dostępny i nieskomplikowany, a zarazem dostarczający bardzo intensywnych przeżyć, bouldering cieszy się dużą popularnością. Łatwo zapomnieć, że Gill był zupełnie sam, kiedy trzydzieści lat temu puszczał w ruch tę wielką machinę i specjalizował się w minimalistycznej wspinaczce. Teraz ostrzega innych wspinaczy boulderowych, by nie dali się całkiem uwięzić w ustalonej praktyce tego rodzaju wspinania; nieustannie namawia potencjalne gwiazdy alpinizmu, by szukały właściwego kierunku we własnym wnętrzu.

W artykule zatytułowanym „Uwagi o boulderingu – pionowa droga" Gill napisał:

> „Nieustannie zadawaj sobie pytania o swoje cele wspinaczkowe. Czy przywodzą mnie z powrotem do społeczności alpinistów, czy też prowadzą mnie drogą [wewnętrznego] samodoskonalenia? Takie rozmyślania budują napięcie, które przybiera jeszcze na sile, gdy czujemy się rozczarowani. W końcu doznajemy uczucia pustki, a tam właśnie nasza elementarna spontaniczna natura

szuka początku drogi… Potem można już na stałe oderwać się od zewnętrznego świata wspinaczkowego, a zarazem co jakiś czas gwałtownie się w niego angażować. Wymiary filozoficzne i mistyczne pojawiają się właśnie na styku tych dwóch światów".

Proza Gilla bywa miejscami równie abstrakcyjna i skondensowana jak jego dowody matematyczne, wydaje się jednak całkiem zrozumiała i autentyczna tym, którzy dzielą z nim obsesję na punkcie pionowych płaszczyzn. Nieraz można usłyszeć, jak nastoletnie gwiazdy rocka cytują dosłownie myśli zawarte w artykułach Gilla, publikowanych w czasopismach alpinistycznych. Dystyngowany naukowiec w średnim wieku stał się guru wspinaczy boulderowych, wzorem dla całego pokolenia młodych mężczyzn i kobiet, którzy ubierają się w kolorowe rajtuzy, noszą kolczyki w nosie i wspinają się w rytm muzyki Jane's Addiction czy Fine Young Cannibals dudniącej w słuchawkach ich walkmanów.

Warto zauważyć, że nikt nie zwróciłby uwagi na Gilla i jego nowatorskie idee, gdyby był po prostu wspinaczem, a nie wybitnym wspinaczem. Gill jest uważany za bohatera, a nie za maniaka, bo co jakiś czas schodzi ze swojej osobistej mistycznej drogi i „gwałtownie się angażuje" w paradygmat klasycznej wspinaczki, udowadniając wielokrotnie, że potrafi uprawiać ten sport zgodnie z klasycznymi regułami równie dobrze, jak robią to najlepsi alpiniści.

Wspinaczkę można traktować jako sport zmuszający do zażartej rywalizacji. Ze względu na brak sformalizowanych zawodów w tej dziedzinie trudno ustalić dokładną hierarchię alpinistów, ale w latach pięćdziesiątych, w południowej Kalifornii, opracowano zaskakująco precyzyjny, choć nieco skomplikowany system oceny trudności konkretnych tras i wejść, który pozwala wspinaczom ocenić własne umiejętności w stosunku do innych alpinistów. System ten nazywa się Yosemite Decimal System (System Dziesiętny Yosemite) i szacuje stopień trudności technicznej konkretnych wejść w skali, która oryginalnie sięgała od 5.0 do 5.9.

Już kilka lat po tym, jak zaczął swoją przygodę ze wspinaniem, Gill dokonywał konwencjonalnych wejść z linami o trudności sięgającej samego szczytu skali, czyli 5.9 – zdobywał wówczas Disappointment

Peak i inne szczyty w łańcuchu Teton. Pod koniec lat pięćdziesiątych, gdy zaczął się koncentrować wyłącznie na boulderingu, niemal wszystkie problemy, z którymi się „rozprawiał", były zbyt trudne, by w ogóle umieścić je w skali YDS. Gill pokonywał trasy o stopniu trudności sięgającym 5.12 na dwadzieścia lat przed tym, zanim w ogóle pojawiła się taka wielkość. (Standardy wspinaczkowe, podobnie jak standardy w wielu innych dziedzinach sportu, znacznie się podniosły w ciągu ostatnich trzydziestu lat. W latach sześćdziesiątych dodano do skali stopień 5.10, w latach siedemdziesiątych 5.11, a w latach osiemdziesiątych 5.12, 5.13 i 5.14).

W roku 1961 Gill dokonał wejścia, o którym do tej pory mówi się nabożnym szeptem: wspiął się na północną ścianę Thimble (Naparstka), dziesięciometrowej przewieszonej iglicy w regionie Needles w Dakocie Południowej[9]. Trasa Gilla na Thimble zawiera w sobie wszystko, co powinien mieć najtrudniejszy problem boulderowy – nieprawdopodobne sekwencje delikatnych, a zarazem niezwykle forsownych przechwytów na samych czubkach palców – i coś jeszcze: ściana wisi dokładnie nad ogrodzeniem otaczającym parking, upadek skończyłby się więc prawdopodobnie śmiercią albo czymś jeszcze gorszym. W chwili, gdy piszę te słowa, czyli prawie trzydzieści lat później, nikt jeszcze nie powtórzył tego wejścia w sposób klasyczny za pomocą lin.

Gill sam do końca nie wie, co skłoniło go do wejścia na Thimble. Ta formacja skalna, jak sam mówi, „była estetyczna i czysta. Było na niej niewiele punktów zaczepienia. W tamtym czasie przejmowałem się bezpieczeństwem znacznie mniej niż teraz. Teraz mam ochotę zakładać linę, kiedy przechodzę przez ulicę albo schodzę z krawężnika. Wtedy jednak czułem, że muszę zrobić coś ryzykownego, coś trudnego".

Gill przyjrzał się bardzo uważnie trasie na szczyt skały i zdecydował „jakich przechwytów potrzebowałby, gdyby zdecydował się na to wejście", po czym przez całą zimę trenował w sali gimnastycznej bazy sił powietrznych w Montanie, gdzie wówczas przebywał. „Wykonywałem głównie ćwiczenia polegające na ściskaniu – mówi –

bo zauważyłem, że w górze są występy skalne, których będę musiał się trzymać, gdy zabraknie poziomych uchwytów. A zwykle brakuje ich bardzo szybko. Przygotowałem sobie trasę wspinaczkową, zbudowaną z nakrętek i śrub wystających ze ściany sali. Ściskałem śruby i podciągałem się. Przez całą zimę myślałem o Thimble".

Wiosną Gill wrócił do Black Hills (Góry Czarne), gdzie znajdują się Needles, by spróbować wejścia. Wspinał się w górę i w dół dolnej połówki skały, zapamiętując poszczególne ruchy i nabierając pewności siebie. Gill mówi, że „chodząc w górę i w dół, w górę i w dół, wprowadziłem się w końcu w taki stan rozgorączkowania, że zabrałem się do wchodzenia na górną część skały i na całe szczęście zdołałem tego dokonać. Przypomina to wiele innych dokonań sportowych: nie tylko przygotowujesz się do czegoś psychicznie, ale wchodzisz niemal w stan hipnozy, w którym twój umysł całkowicie się oczyszcza, a ty kierujesz się jedynie doskonale wyćwiczonym instynktem".

Wejście na Thimble było punktem zwrotnym w życiu Gilla. Wkrótce potem ożenił się i zrezygnował z wejść, które uznawał za ryzykowne. „Uważam, że ryzyko może uzależniać – wyjaśnia – a ja nie chciałem się uzależnić. Intensywność doznań nie tylko się zwiększa, ale także nabiera innego charakteru, kiedy wspinasz się na rzeczy, z których po prostu nie możesz spaść. Trudno ująć to w słowa, ale znajdowałem się niemal w odmiennym stanie świadomości, gdy wspinałem się w niebezpiecznej sytuacji bez zabezpieczenia. Moje kończyny stawały się niezwykle lekkie, zmieniał się nieco oddech, jestem też pewien, że dochodziło do zmian naczyniowych, których wówczas nie byłem świadomy. Zauważyłem, że doświadczam takich odmiennych stanów psychologicznych podczas wspinaczek groźnych dla życia. Było to ekscytujące i bardzo intensywne, ale w intrygujący, niemal relaksujący sposób. Były chwile wielkiego napięcia, ale całej wspinaczce towarzyszyło też to uczucie rozluźnienia. To było naprawdę fascynujące, ale nie chciałem się od tego uzależnić".

To, że Gill był lepszy niż inni wspinacze z tamtych czasów, można przypisać jego eksperymentalnemu, wolnemu od uprzedzeń podejściu. Kiedy nie był w górach, trenował intensywnie na

przyrządach gimnastycznych, budując siłę, która pozwalała mu się podciągać do wysokości brody na jednym palcu. Przez wiele lat praktykował zen, co pomogło mu przygotować umysł równie dobrze jak mięśnie. Lubił medytować i odkrył, że jeśli przed samą wspinaczką skupi całą uwagę na jednym obiekcie, na przykład źdźble trawy lub górze, oczyści umysł, przygotuje ciało i zyska spokój konieczny do pokonania trudnej trasy. Według Gilla zachowanie wewnętrznego spokoju w chwilach największego stresu jest jednym z najważniejszych celów wspinaczki. „Dopiero wtedy, gdy twoje umiejętności techniczne osiągną taki poziom, że nie będziesz nawet zauważał wysiłku – tłumaczy – poczujesz, czym naprawdę jest wspinanie. Nie zaznasz tej radości, jeśli bez ustanku będziesz musiał zmagać się ze sobą. Musisz być dość dobry i dość lekki, by osiągnąć punkt, w którym czujesz tę cudowną lekkość. Oczywiście to tylko iluzja, ale miło móc się cieszyć taką iluzją. Nie czuję, że rzeczywiście rozwiązałem jakiś problem boulderowy, jeśli nie osiągnę tego stanu lekkości".

Choć w wieku pięćdziesięciu czterech lat Gill wciąż potrafi rozpracować problemy, które przerażają „totalnie wyżyłowanych" dwudziestodwuletnich wspinaczy skałkowych, przez ostatnich dwadzieścia lat coraz częściej szukał we wspinaczce czegoś więcej niż trudności, starając się, jak sam to ujmuje, „czerpać coraz więcej, z coraz mniejszych rzeczy". Wbrew powszechnej opinii, głoszącej, że nigdy nie wspiął się wyżej niż na dziesięć metrów, Gill regularnie pokonuje – sam i bez lin – łatwe jego zdaniem trasy na mierzących dwieście pięćdziesiąt metrów urwiskach w pobliżu jego domu. Traktuje to jako ćwiczenie „kinestetycznej medytacji".

„Doświadczyłem pewnych interesujących przeżyć – mówi – bo w pewnym sensie przetrenowałem się na tych długich, łatwych wejściach, które wykonuję po wielekroć. Opanowałem je do takiego stopnia, że nie muszę świadomie myśleć o wspinaniu. Angażuję się tak mocno w samą czynność wspinania, wykonywaną niemal automatycznie, że tracę kontakt z tym, kim jestem, i staję się częścią skały, właściwie czasami czułem się tak, jakbym się w niej zanurzał i wynurzał z niej".

„Nie wiem, czy powinienem o tym opowiadać – mówi Gill niepewnie łagodnym barytonem – bo nie chcę, by ludzie pomyśleli, że zwariowałem, ale uważam, że wszystkie te lata przygotowań umysłowych i fizycznych, przez które przeszedłem, rozwijając moje umiejętności wspinaczkowe i matematyczne – koncentrując się przez długie okresy na jednym kawałku skały lub zagłębiając się w jakimś problemie matematycznym – ułatwiły mi w znacznym stopniu doznawanie różnego rodzaju mistycznych doświadczeń.

W połowie lat siedemdziesiątych jeden z moich dobrych przyjaciół zainteresował się świetnymi książkami Carlosa Castanedy i wciąż namawiał mnie, bym je przeczytał. Nigdy nie zażywałem narkotyków i nigdy mnie one nie interesowały, odmawiałem więc w przekonaniu, że książki te dotyczą wyłącznie tego właśnie tematu. Przyjaciel przekonał mnie jednak, że to nieprawda, przeczytałem je więc i stwierdziłem, że są fascynujące. Chyba w drugiej książce, nie jestem pewien, główny bohater opisuje procedurę, która pozwoliła mu nauczyć się sztuki świadomego śnienia. Zaintrygowało mnie to do tego stopnia, że sam postanowiłem spróbować. I od razu mi się udało!

W tym stanie snu czy też stanie hypnagogicznym, w tej alternatywnej rzeczywistości istnieją różne etapy. Jesteś całkowicie świadomy, niemal bardziej świadomy niż w zwykłym realnym świecie. Czasami możesz fruwać nad miastem lub robić inne niesamowite rzeczy, a czasami czujesz się jak w zwykłych realiach, gdzie obowiązują prawa grawitacji; jesteś po prostu gdzie indziej.

Przekonałem się, że najłatwiej wejść mi w ten stan w środku nocy, kiedy się obudzę, a potem powoli z powrotem zanurzam się w sen, ale doświadczam również czegoś podobnego podczas wspinaczki, szczególnie pokonując samotnie długie łatwe trasy – kiedy czuję się tak, jakbym złączył się w jedno ze skałą. Wtedy właśnie mogę zbliżyć się najbardziej do tej drugiej rzeczywistości, do tego uczucia lekkości. I to jest, w istocie, transcendentalna poezja wspinaczki. Uważam, że doświadczanie tego hypnagogicznego stanu jest znacznie ważniejsze niż możność wspięcia się na niezwykle trudne problemy, na które nikt jeszcze dotychczas nie wszedł”.

Ostatnio Gill bardziej niż kiedykolwiek poddał się fascynacji metafizyczną stroną boulderingu, wewnętrznymi doświadczeniami towarzyszącymi wspinaczce. Pewnego razu, wypiwszy odrobinę wina, Gill zastanawiał się, czy to możliwe, by „doskonałe podejście umysłowe" wywoływało telekinetyczną umiejętność lewitacji, choćby w niewielkim stopniu. „Już kilka dekagramów miałoby ogromne znaczenie – rozmyślał. – Widziałem już ludzi, którzy wychodzili poza swoje ograniczenia". Setki, może tysiące doświadczonych wspinaczy mozoliły się u podnóży problemów zdobytych przez Johna Gilla, na próżno próbując oderwać stopy od ziemi. Wielu z tych wspinaczy w innych okolicznościach byłoby zapewne skłonnych wykpiwać teorie dotyczące telekinezy i temu podobnych zjawisk, kiedy jednak Gill mówi o lewitacji, słuchają go z ogromną uwagą.

[8] Źródeł boulderingu należy szukać we Francji, Wielkiej Brytanii i Włoszech przełomu XVIII i XIX w. Po raz pierwszy o boulderingu napisał Oscar Eckenstein, brytyjski inżynier i wynalazca, który nawet zorganizował pierwsze zawody boulderingowe dla mieszkańców okolic masywu Karakorum. Wkrótce mekką boulderingu stała się francuska gmina Fontainebleau, a John Gill, amerykański matematyk, stał się pierwszym wspinaczem, który całkowicie poświęcił się tej dyscyplinie.

[9] Warto nadmienić, że Gill dokonał tego wejścia bez specjalnego obuwia.

John Gill

ROZDZIAŁ 3

Lodowe Valdez

Valdez na Alasce to małe miasteczko, które zasłynęło z dwóch powodów. Pierwszy z nich to fakt, że w Wielki Piątek 1964 roku społeczność miasteczka, złożona z czterech tysięcy mieszkańców, wciśnięta między pasmo górskie Chugach Mountains a wąski skrawek morza, przeżyła najpotężniejsze trzęsienie ziemi, jakie kiedykolwiek odnotowano w Ameryce Północnej. Zginęły wówczas trzydzieści trzy osoby[10]. Drugi powód to oczywiście olbrzymia katastrofa ekologiczna, największy na tym kontynencie i najpoważniejszy w skutkach wyciek oleju – do Zatoki Księcia Williama trafiło wówczas ponad dziesięć milionów galonów ropy naftowej.

Wyciek, który miał miejsce w 1989 roku, był wynikiem nadmiernej pewności siebie i chciwości wielkiej korporacji, słabości kapitana do trunków i nieubłaganego prawa Murphy'ego. Fakt, że olej trafił właśnie do Zatoki Księcia Williama, to wynik wybryku natury: ropociąg Trans--Alaska prowadzi do terminalu w Valdez, a potężne supertankowce, takie jak „Exxon Valdez", wpływają tu, bo jest to najdalej wysunięty na północ i zarazem wolny od lodu port na całym kontynencie.

Fakt, że lód nie skuwa morza w pobliżu Valdez, nie oznacza wcale, iż nie ma go na lądzie. Wręcz przeciwnie, wielkie niebieskie jęzory kilku lodowców sięgają na teren samego miasta, a za sprawą niskich temperatur i wilgotnego morskiego powietrza ulice zimą są pokryte warstwą zdradzieckiego czarnego lodu. Jednak najbardziej niezwykłe formacje lodowe można znaleźć w niższych partiach półtorakilometrowych szczytów, które wznoszą się poszarpanymi rzędami tuż za granicami Valdez, groźne i ostre niczym zęby monstrualnego rekina.

Latem z przemoczonych deszczem zboczy tych gór spływają setki strumieni i wodospadów. W listopadzie wodospady zamarzają w locie, mróz przeobraża spadającą wodę w sople wielkości drapaczy chmur – olbrzymie filary i przedziwne lodowe zasłony, które lśnią w bladym subarktycznym świetle różnymi odcieniami błękitu, zieleni i szafiru.

Jakieś dwadzieścia pięć kilometrów od centrum Valdez jedyna droga z tego miasta zanurza się w kanionie Keystone; wąskiej szczelinie o głębokości dwustu pięćdziesięciu metrów, która przecina skalny grzbiet łańcucha górskiego Chugach. Tą samą drogą płynie do morza rzeka Lowe. Choć kanion ma tylko cztery kilometry długości, zimą z jego pionowych ścian zwiesza się ponad pięćdziesiąt zamarzniętych wodospadów.

Dziesięć lat temu pewien ekspedytor z Valdez, niejaki Bob Pudwill, jechał przez Keystone Canyon, wzdłuż tych złowrogich urwisk, kiedy – jak wspomina – „spojrzałem w górę i zobaczyłem maleńką postać stojącą na półce w połowie wysokości Bridal Veil Falls", jednej z największych kaskad kanionu, która od listopada aż do maja zamienia się w pięćdziesięciopiętrowy treliaż złożony z delikatnych niebieskich sopli. Postać na wodospadzie, opowiada Pudwill, „dreptała w miejscu dla rozgrzewki i jednocześnie podawała w górę linę, sięgającą drugiej małej postaci, jakby przyklejonej do lodu i wczepionej w nią nie wiadomo jak, nie mówiąc już o tym, dlaczego. Pomyślałem, że ktoś musiał im za to sporo zapłacić".

W rzeczywistości nikt im za to nie płacił, nie była to też, jak podejrzewał przez chwilę Pudwill, próba samobójstwa w całkiem nowatorskiej formie. Ci dwaj ludzie próbowali się wspiąć na wodospad z jednego, historycznie uzasadnionego powodu – bo tam był. Czynność, której przyglądał się Pudwill, choć na pierwszy rzut oka całkiem szalona, była w istocie najnowszą wersją znanego i szanowanego od lat sportu zwanego wspinaczką. Niecały rok później i Pudwill sam z zapałem oddawał się wspinaczce na wodospady.

Kiedy dwieście lat temu w Alpach wynaleziono wspinaczkę wysokogórską, był to zadziwiająco prosty sport: należało wyszukać górę, im wyższą, tym lepszą, i starać się wejść na jej szczyt. Jednakże po jakimś czasie wszystkie najważniejsze góry zostały już zdobyte, a alpiniści, którzy chcieli się jakoś zapisać w historii tego sportu, musieli zwracać się ku coraz trudniejszym ścianom i grzbietom tych szczytów. W końcu pogoń za coraz większymi wyzwaniami i dziewiczymi pionowymi ścianami sprawiła, że dla wielu dobrych wspinaczy wejście na znaczący geograficznie szczyt przestało mieć jakiekolwiek znaczenie; istotny był tylko fakt, czy

wspinaczka jest dość trudna i wymagająca, by pobudzić wydzielanie adrenaliny, bez względu na to, czy dany obiekt to wysoka góra w Himalajach, czy kamieniołom w Anglii – czy też zamarznięty wodospad w Valdez, na Alasce.

Dwudziestego piątego stycznia 1987 roku John Weiland i Bob Shelton postanowili wspiąć się na wodospad zwany Wowie Zowie. Ponieważ Wowie Zowie spływa z krawędzi przewieszonego urwiska i opada ku ziemi jednym nieprzerwanym jęzorem o długości stu dwudziestu metrów, a ich lina o grubości trzech ósmych cala miała tylko dziewięćdziesiąt metrów długości, postanowili podzielić wspinaczkę po olbrzymiej sopli na dwa etapy. Pierwszy z nich kończyłby się na wysokości sześćdziesięciu metrów, w małym zagłębieniu z tyłu wodospadu.

Shelton rozpoczął wejście o dziewiątej rano. W obu dłoniach trzymał czekany (cienkie stalowe ostrza o długości piętnastu centymetrów osadzone na czterdziestocentymetrowych trzonkach z włókna szklanego), a do butów przypiął raki (ramki z metalowymi kolcami o długości pięciu centymetrów, po dwanaście na stopę; dwa kolce na czubku każdego z raków są skierowane do przodu). Wbijając dzioby czekanów w lód i opierając się na przednich kolcach raków, również wbitych w lód na głębokość około półtora centymetra, Shelton podciągał się górę pionowej ściany Wowie Zowie niczym przerośnięty pająk. Tego rodzaju technika wspinaczki jest nazywana techniką frontalną (front-pointing).

Aby zabezpieczyć się w jak największym stopniu przed upadkiem, Shelton zatrzymywał się co kilka metrów, wkręcał w ścianę śrubę lodową (gwintowaną aluminiową lub tytanową tuleję z plakietką umożliwiającą wpięcie karabinka), wpinał karabinek (metalowy pierścień z otwieranym zamkiem) w plakietkę, a potem przeciągał przez niego linę przymocowaną do jego uprzęży.

Gdyby Shelton oderwał się od ściany na wysokości, powiedzmy pięciu metrów nad śrubą, spadałby jakieś trzynaście metrów, nim zatrzymałby go przyrząd asekuracyjny (asekuracja – a w tym przypadku autoasekuracja lub asekuracja dolna – polega na tym, że lina spadającego alpinisty zostaje natychmiast wyhamowana), Shelton spadałby pięć metrów dzielących go od śruby, kolejnych pięć

poniżej i około trzech metrów koniecznych do naciągnięcia liny, która pochłonęłaby energię upadku. Ponieważ trzynastometrowy upadek z repliką broni, która zabiła Trotsky'ego, w obu rękach może być niebezpieczny dla zdrowia i życia wspinacza, Shelton starał się za wszelką cenę trzymać zasady głoszącej, że „prowadzący nie może odpaść".

Trzydzieści metrów nad ziemią, po dwóch godzinach wyczerpujących zmagań z grawitacją i kruchym lodem Wowie Zowie, Shelton dotarł do miejsca, gdzie filar wznoszący się powyżej zwisał nad nim niczym poszarpany, zwietrzały daszek. „Schowałem się pod tą przewieszką – wspomina Shelton – i wkręciłem następną śrubę. Potem wysunąłem się za krawędź filara, wbiłem czekany w jego ścianę, krzyknąłem do Johnny'ego, żeby uważał, i zaryzykowałem: zawisłem na samych rękach, podciągnąłem się i zacząłem wspinaczkę po filarze".

Wkrótce Shelton odkrył z przerażeniem, że lodowa powierzchnia pionowego filara pełna jest pęcherzy powietrza i przypomina raczej styropian niż lód. Zejście do przewieszki, którą właśnie pokonał, było jednak niemożliwe, szedł więc dalej, licząc na to, że w górnej partii filara lód będzie wyglądał nieco lepiej. Tymczasem wyglądał jeszcze gorzej. Shelton niezmordowanie wymachiwał umęczonymi rękami, rąbiąc zwietrzały lód i na próżno szukając czegoś, w co mógłby wbić swój czekan. W miarę upływu czasu coraz większą trudność sprawiało mu utrzymanie trzonków w dłoni. Nagle, jak mówi Shelton, „wszystko odsunęło się ode mnie i odpadłem".

„Odpadnięcie", „odlot", „odpalenie" to zwroty, którymi wspinacze określają upadek. W tym konkretnym przypadku, gdy Shelton oderwał się od ściany i przeleciał głową w dół obok przewieszki, którą przed chwilą pokonał, a siła upadku wyrwała śrubę ze zwietrzałego lodu, wydawało się, że „zaliczy glebę", czyli będzie miał pecha i spadnie na ziemię. Okazało się jednak, że tej niedzieli szczęście sprzyjało Sheltonowi, bo następna śruba wytrzymała, a on sam zawisł na linie po dwudziestometrowym locie, posiniaczony, ale cały.

Należy zauważyć, że zamarznięte wodospady, takie jak Wowie Zowie, stosunkowo niedawno stały się obiektem wypraw alpinistycznych, a to z tego prostego powodu, że aż do lat sześćdziesiątych nie było sprzętu, który umożliwiałby tego rodzaju wspinaczkę. Oczywiście ludzie wchodzili na oblodzone ściany i żleby od czasu, gdy w ogóle powstał ten sport, ale tylko w przypadku, gdy pochyłość nie była nazbyt stroma.

W XIX wieku alpiniści wyposażeni w buty nabijane ćwiekami wspinali się na ściany o nachyleniu równym nawet czterdzieści lub pięćdziesiąt stopni, mozolnie wyrąbując stopnie w lodowych powierzchniach za pomocą ciężkich, prymitywnych czekanów. W 1908 roku możliwe stało się wchodzenie na ściany o nieco większym nachyleniu, a to dzięki angielskiemu alpiniście Oscarowi Eckensteinowi, który wynalazł raki wyposażone w dziesięć skierowanych w dół kolców.

W latach trzydziestych w rakach wyrosły dwa dodatkowe, poziome kolce z przodu, a od połowy lat sześćdziesiątych w dziobach czekanów zaczęto wycinać zęby. Dzięki tym udoskonaleniom wspinacze mogli rozwinąć i zastosować technikę frontalną; nie musieli już wyrąbywać stopni w lodzie, a wspinacze prowadzący na danym fragmencie trasy mogli wspinać się na lodowe żleby o nachyleniu równym siedemdziesiąt stopni, czy to w Alpach, czy w szkockich Highlands, czy też w Górach Skalistych.

Niestety, gdy wspinacze próbowali przesunąć tę granicę jeszcze dalej, przekonali się, że ich narzędzia zupełnie się do tego nie nadają. Na lodowych zboczach o nachyleniu większym niż siedemdziesiąt stopni, wyjaśnia Yvon Chouinard, Kalifornijczyk o kanadyjskich korzeniach, jeden z pionierów lodowej wspinaczki w latach sześćdziesiątych, „nawet najlepsze czekany wysuwały się z lodu i uderzały cię w oko, gdy chciałeś zawiesić na nich ciężar całego ciała”.

Chouinard, kowal-samouk, zarabiał w tym czasie na życie, sprzedając doskonałe karabinki, śruby lodowe i inne akcesoria wspinaczkowe własnego, innowacyjnego projektu i produkcji. W 1966 roku, zirytowany niedoskonałościami narzędzi, których używał podczas wspinaczki na lodowe ściany masywu Mont Blanc,

Chouinard postanowił wymyślić i wyprodukować coś lepszego: szczególnie zależało mu na czekanie, który nie wysuwałby się z pionowej lodowej ściany. „Pewnego deszczowego dnia tamtego lata – wspomina – wyszedłem na lodowiec Bossons, nad Chamonix, by wypróbować wszystkie dostępne wówczas czekany i przekonać się, czego im brakuje".

Od razu zauważył, że wszystkie testowane przez niego czekany mają proste dzioby ułożone prostopadle do trzonków. Wiedziony instynktem Chouinard opracował z pomocą swojego partnera wspinaczkowego, inżyniera lotnictwa Toma Frosta, czekan z dziobem zakrzywionym delikatnie w dół. Krzywa dzioba miała odpowiadać łukowi, jaki zatacza narzędzie, gdy alpinista uderza nim w lód.

Okazało się, że ten pomysł był przebłyskiem geniuszu. Stosując technikę frontalną, wspinacz o mocnych rękach i niezłomnym duchu uzbrojony w dwa czekany Chouinarda-Frosta może wejść na pionowe, a nawet przewieszone ściany lodowe. W 1970 roku czekan Chouinarda-Frosta pojawił się w sklepach ze sprzętem alpinistycznym na całym świecie, dając początek serii niewyobrażalnych do tej pory wejść na olbrzymie, surrealistyczne sople od Alaski po Kenię i od New Hampshire po Norwegię. Wielu spośród tych wejść dokonał zresztą sam Chouinard.

Od końca lat pięćdziesiątych, aż po koniec lat sześćdziesiątych, gdy Chouinard był dwudziestolatkiem i dopiero zdobywał sławę wynalazcy świetnego sprzętu wspinaczkowego, ten niezwykły człowiek spędzał znaczną część roku w drodze, jeżdżąc w różne górskie rejony Ameryki Północnej i wożąc ze sobą przenośną kuźnię. Jak wspomina, zajmował się wtedy głównie „wspinaniem i sprzedawaniem sprzętu własnej roboty". Jego zarobki były w owym czasie co najwyżej mizerne. Czasami jego finanse wyglądały tak kiepsko, że musiał wraz ze swoimi towarzyszami polować na wiewiórki i jeżozwierze. W nieco lepszych okresach „pozwalaliśmy sobie na szaleństwo i kupowaliśmy uszkodzone puszki z jedzeniem dla kotów. Jedna puszka kosztowała tylko dziesięć centów, a ich zapas wystarczał nam nieraz na całe lato". By ktoś nie wyrobił sobie o nim mylnej opinii, Chouinard dodaje szybko: „To było luksusowe

jedzenie dla kotów, o smaku tuńczyka. Nie jestem człowiekiem, który jadłby psie żarcie czy coś w tym rodzaju".

Chouinard, który obecnie ma pięćdziesiąt jeden lat, nadal wspina się na bardzo wymagające ściany i wciąż produkuje narzędzia do wspinaczki po lodzie, uważane przez wielu fachowców za najlepsze na świecie. Można jednak śmiało założyć, że nie jada już pokarmu dla kotów, nawet luksusowych odmian o smaku tuńczyka, bo firma produkująca sprzęt, którą założył w 1957 roku, gdy sprzedawał swoje produkty z bagażnika starego forda, rozrosła się do rodzinnego biznesu o rocznym przychodzie przekraczającym siedemdziesiąt milionów dolarów[11].

Większość tych dochodów nie pochodzi ze sprzedaży śrub lodowych, czekanów i raków, ale stylowych i oryginalnych ubrań – kurtek puchowych, kurtek przeciwdeszczowych, profesjonalnej bielizny i temu podobnych – wytwarzanych pod marką Patagonia. Chouinard twierdzi nawet, że nigdy nie zarobił na sprzedaży sprzętu do wspinaczki w lodzie, i nie przypuszcza, by kiedykolwiek miał na tym zarobić, bo tego rodzaju wspinanie jest czynnością tak przerażającą i wymagającą, że rynek zbytu na specjalistyczny sprzęt zawsze pozostanie ograniczony. Rzeczywiście, spośród stu pięćdziesięciu tysięcy Amerykanów, którzy nazwaliby siebie prawdziwymi alpinistami, tylko co najwyżej jeden procent regularnie wspina się na zamarznięte wodospady. „W zasadzie można powiedzieć, że ludzie, którzy wspinają się po lodzie – stwierdza Chouinard – to garstka nieprzystosowanych maniaków".

Nieprzypadkowo zaskakująco duża liczba tych maniaków mieszka w Valdez lub w okolicy tego miasta, na Alasce. Niektórzy spośród nich, jak doktor Andrew Embick, jeden z trzech lekarzy pracujących w miasteczku, byli zapalonymi alpinistami z innych stanów USA, którzy przyjechali w te okolice między innymi ze względu na obfitość lodowych obiektów wspinaczkowych. Inni to zwykli mieszkańcy, którzy przybywając do tego regionu, nie mieli pojęcia, że istnieje tak dziwaczne zajęcie jak wspinaczka na wodospady, a już na pewno nie przypuszczali, że sami kiedyś się tym zajmą.

Wspinanie po lodzie może być bardzo wciągającym hobby. Kiedy John Weiland – który w 1975 roku wprowadził do Valdez wspinaczkę na wodospady – mówi o swoich pierwszych doświadczeniach w tej dziedzinie, można odnieść wrażenie, że jego słowa nie dotyczą sportu, lecz jakiegoś narkotykowego uzależnienia. „Mój ojciec miał obsesję na punkcie alpinizmu – wspomina ten czterdziestojednoletni cieśla – więc już od wczesnego dzieciństwa miałem styczność z tym sportem i wkrótce też się od niego uzależniłem. Wspinaczka była dla mnie jak narkotyk, była wszystkim".

W 1976 roku, wkrótce po tym jak wraz ze swoim gościem z Kolorado, Jeffem Lowe'em, wszedł po trzech dniach na Keystone Green Steps, najwyższy dwustumetrowy wodospad w Valdez, Weiland stwierdził, że nie chce, by jego wspaniała obsesja nadal monopolizowała jego życie. Zmusił się do rezygnacji ze wspinaczki i zdołał wytrzymać w tym postanowieniu przez niemal sześć lat. Jednak w 1981 roku, w chwili słabości, odkurzył narzędzia i powspinał się trochę, by udowodnić sobie, że nad tym panuje. Od tej pory regularnie wchodzi na zamarznięte wodospady. Weiland twierdzi jednak z uporem: „Wracałem do tego bardzo powoli i uważałem, żeby znów nie zwariować. Teraz czuję, że mam wszystko pod kontrolą".

Uzależnienie nie jest oczywiście jedynym zagrożeniem, jakie niesie ze sobą wspinaczka po lodzie. Zajęcie to jest jednak tak niebezpieczne, że zwykle napędza strachu ludziom, którzy nie wiedzą, na co się porwali, nim jeszcze oddalą się od ziemi dość daleko, by mogli się zabić. Do tej pory w Valdez odnotowano zadziwiająco mało wypadków związanych ze wspinaczką po lodzie, w tym ani jednego śmiertelnego. „Z pewnością wspinaczka po lodzie nie jest bezpiecznym sportem – przyznaje Andy Embick – ale w ciągu ostatnich ośmiu lat mieliśmy w Valdez tylko osiem lub dziewięć wypadków, przy czym najpoważniejszym było złamanie nogi".

Doktor Embick – muskularny lekarz rodzinny po Harvardzie, czterdziestolatek z krótko przyciętą brodą i okularami w drucianej oprawie – jest tak zachwycony wspinaczką lodową, że przepisuje ją swoim pacjentom jako środek zapobiegawczy. „Mieszkańcy Alaski – tłumaczy – nie czują się zimą najlepiej. Wielu z nich przez całą tę

porę roku nie ma pracy, a brak zajęć, krótkie dni i paskudna pogoda sprawiają, że spędzają mnóstwo czasu w domu. Jeden z efektów takiego stanu rzeczy to znaczny wzrost urodzeń w październiku każdego roku; inny to fakt, że ludzie siedzą zamknięci w czterech ścianach, są nieszczęśliwi, za dużo piją, biją swoje żony lub swoich mężów. Ciemność działa destrukcyjnie na umysł, dlatego też co roku mamy tu przynajmniej jedno lub dwa samobójstwa. Wszystko, co zmusi cię do wyjścia na zewnątrz, do aktywności fizycznej, jest doskonałą formą psychoterapii, która rozwiązuje zimowe problemy. Wspinaczka po lodzie to jedna z form takiej aktywności, którą nasi mieszkańcy mogą zajmować się zimą".

Fakt, że tylko nieliczni spośród pacjentów Embicka rzeczywiście dali się namówić do skorzystania z tej osobliwej terapii, ani trochę nie studzi zapału doktora. Jego entuzjazm objawia się na wiele sposobów, a jednym z nich jest „Księga", *magnum opus*, które Embick tworzy od dziewięciu lat. Jeśli dzieło to zostanie kiedykolwiek opublikowane, będzie nosiło tytuł „Błękitny lód i czarne złoto: przewodnik wspinacza po zamarzniętych wodospadach Valdez na Alasce". Oprócz opisów wszystkich stu sześćdziesięciu czterech wodospadów, które zostały do tej pory zdobyte przez wspinaczy, „Księga" zawiera nazwiska pierwszych zdobywców (nazwisko Embicka pojawia się przy pięćdziesięciu pozycjach) oraz stopień trudności wejścia na każdy z wodospadów, w skali od I do VI[12].

Choć wspinaczka po lodzie to sport, który obchodzi się bez sędziów, oficjalnych zasad i zorganizowanych zawodów, nie brakuje w nim zażartego współzawodnictwa. Najlepsi wspinacze, którzy trenują co najmniej z takim samym zaangażowaniem jak zawodnicy olimpijscy, traktują „Księgę" i podobne jej wydawnictwa nie jako nieomylne przewodniki, lecz jako źródło informacji przydatne do ustalenia hierarchii: osoba, która wspięła się na wodospad oznaczony w „Księdze" stopniem trudności VI, ma więcej powodów do przechwałek niż osoba, która weszła na wodospad V+.

Szczególny prestiż wiąże się, oczywiście, z pierwszym wejściem na dany wodospad. Zdobywcy nie tylko zostają unieśmiertelnieni na stronach „Księgi", ale również mają prawo nazwać kaskadę według

własnego upodobania. Wystarczy przejrzeć pobieżnie „Księgę”, by przekonać się, że miejscowym wspinaczom nie brakuje inwencji, co znajduje odzwierciedlenie w takich nazwach, jak Killer Death Fang Falls (Zabójcze kły mordercy), Deo Gratias (Bogu dzięki), Never Again (Nigdy więcej), Necromancer (Nekromanta), Thrash & Bash (Balanga), Too Loose Lautrec (gra słów odnosząca się do francuskiego malarza Henriego Tolouse-Lautreca), No Way Jose (Nie ma mowy Jose), Dire Straits (Poważne tarapaty), Marginal Desperation (Marginalna desperacja). Sporo nazw, które nie nadają się do druku, ma bezpośredni związek z różnymi częściami ciała, funkcjami fizjologicznymi i fiksacjami seksualnymi typowymi dla nastolatków, co świadczy o niedorozwoju umysłowym większości wspinaczy chodzących po lodzie.

Aby promować wspinaczkę po wodospadach, a szczególnie wspinaczkę w okolicach Valdez, w lutym 1983 roku Embick zorganizował pierwszy Festiwal Wspinaczki Lodowej w Valdez, imprezę o dość swobodnym charakterze, dzięki której miejscowi wspinacze mieli okazję pogadać, napić się piwa i powspinać ze swoimi pobratymcami z innych okolic. Od tej pory miejscowa społeczność urządza ten festyn co roku. W minionych latach przyciągał on wspinaczy z miejsc tak odległych, jak Austria, Nowa Zelandia, Japonia i Kentucky.

Wspinacze z Valdez robią wszystko, by ich goście na długo zapamiętali tę wizytę, dlatego też zachęcają ich do zdobywania wodospadów, które nazywają „prawdziwymi klasykami”. I tak na przykład w 1985 roku miejscowy as wspinaczki, niejaki Brian Teale, namówił Shomo Suzuki – jednego z najlepszych japońskich wspinaczy – by wspiął się na Wowie Zowie. W owym czasie był to taki „klasyk”, że od roku 1981 roku, czyli pierwszego udanego wejścia, wspiął się na niego tylko Embick w towarzystwie świetnego wspinacza z Faribanks, Carla Tobina. Gdyby Suzuki miał okazję przejrzeć „Księgę”, przekonałby się, że wodospad ten jest opisany jako „potężny przewieszony filar” z lodu „o bardzo słabej konsystencji” i długich odcinkach, na których „nie da się ani zatrzymać, ani wycofać”. Po udanym wejściu, gdy zapytano pana Suzuki, jak Wowie Zowie ma się do wodospadów w jego rodzinnych

stronach, Japończyk odpowiedział bez wahania: „Nikt jeszcze nie wspinał się na taki lód w Japonii, a ja też nie mam zamiaru kiedykolwiek tego powtarzać".

W 1987 roku przyjechałem do Valdez na doroczny Festiwal Lodu i zastałem tam sześćdziesięciu trzech innych wspinaczy, z których czterdziestu, ściśniętych jak sardynki w puszce, spało na podłodze u Embicka. Przekonałem się też, że moi gospodarze, wykazując taką samą gościnność jak w przypadku pana Suzuki, starali się ze wszystkich sił, bym na długo zachował ten pobyt w pamięci. Podczas tygodniowego pobytu na Alasce wspiąłem się na osiem miejscowych klasyków, z których najbardziej klasycznym okazał się wodospad o niewinnej nazwie Love's Way (Droga Miłości).

Liczący sto dziesięć metrów wysokości wodospad został zdobyty po raz pierwszy w 1980 roku przez Embicka i Tobina – Embick nazwał go Drogą Miłości dla upamiętnienia związku małżeńskiego, w który miał wkrótce wstąpić – po raz drugi zaś dopiero na dwa miesiące przed moim przyjazdem. Kiedy już zgodziłem się wejść na ten wodospad w towarzystwie aroganckiego młodego wspinacza z Fairbanks, niejakiego Romana Diala, przeczytałem z przerażeniem w „Księdze", że Love's Way to „przewieszony, cienki sopel lodu oddzielony od ściany… Jak to zwykle w przypadku wiszącego luzem lodu, trudno znaleźć na nim miejsce do wbicia czekana i wkręcenia śrub". Dalej opis ostrzegał, że „sama siła i wytrzymałość" nie wystarczą do osiągnięcia sukcesu; że oprócz tego należy wykonać „skomplikowany stemming, jamming i laybacking[13] na kruchych soplach" – wyszukane techniki zapożyczone z repertuaru wspinaczy skałkowych.

Wspinacze atakujący trudną ścianę lodową robią to zazwyczaj w dwuosobowych zespołach. Jednak aby zachować towarzyskiego ducha Festiwalu Lodowego, Roman i ja przyjęliśmy również do zespołu Kate Bull, dwudziestosiedmioletnią geolog, oraz Briana Teala. Drogę Miłości przecinają dwie duże półki, dzieląc tym samym wspinaczkę na trzy odcinki. I Brian, i Roman, jak większość hardcorowych wspinaczy, wyrywają się zawsze do prowadzenia. Uważają wspinaczkę na drugim lub trzecim miejscu, z punktem

asekuracyjnym na górze, za równie niewdzięczną jak gra w pokera bez pieniędzy, dlatego też bardzo niechętnie oddają innym tak zwany ostry koniec liny.

Po długiej dyskusji postanowiliśmy, że Brian poprowadzi na pierwszym odcinku trasy. Okazało się, że jest on tylko umiarkowanie trudny, Brian więc szybko wspiął się na półkę, wkręcił trzy śluby lodowe, przyczepił się do nich, a potem asekurował wejście Kate, Romana i moje. Dokładnie nad naszymi głowami, niczym miecz Damoklesa, ciągnęła się trasa drugiego odcinka wspinaczki; filar wysokości dwunastu pięter, przy czym pierwszych siedem pięter składało się głównie z wiązek ciężkich, a zarazem kruchych sopli wyrastających z lodu i niewiele grubszych od pnia młodego drzewa.

Kiedy obaj hardcorowcy przyjrzeli się uważniej filarowi, z mniejszym już zapałem sprzeczali się o to, komu przypadnie zaszczyt prowadzenia na drugim odcinku. Wydawało mi się nawet, że gdy Brian nieoczekiwanie oświadczył „zgoda Romanie, skoro tak bardzo ci na tym zależy, pozwolę ci prowadzić", dostrzegłem kilka rys zwątpienia w nieustraszonej dotąd postawie Romana. Jego wahanie mogło mieć coś wspólnego z wypadkiem sprzed miesiąca, kiedy niewiele brakowało, by jego partner wspinaczkowy, Chuck Comstock, zginął na podobnym filarze w pobliskim łańcuchu górskim Wrangell Range.

Comstock, rudowłosy syn farmera z Iowa, który nie słyszał o wspinaczce lodowej do czasu, aż zaczął służbę w Straży Przybrzeżnej i został odesłany do Valdez, wspinał się śmiało na lodowy filar, gdy nagle olbrzymi sopel, na którym właśnie zawisł, zaczął złowieszczo trzeszczeć. Gdy trzeszczenie przybrało na sile, Comstock zrezygnował w końcu z prowadzenia i wycofał się w popłochu. Kilka sekund po tym, jak wrócił do podstawy filara i odsunął się na bok, sopel oderwał się pod własnym ogromnym ciężarem i runął z rykiem w dół, odprowadzany spojrzeniem zszokowanego Romana.

Pamiętając zapewne wciąż o tym, co spotkało niedawno jego przyjaciela, Roman wbił czekany w lód Drogi Miłości delikatniej niż szlifierz diamentów obrabiający drogocenny kamień. Wędrówka w górę wymagała trudnego połączenia siły z wielką delikatnością, trzymała wspinacza w nieustającym napięciu. Lód na filarze był tak

kruchy, że Roman nie tracił nawet czasu na wkręcanie śrub dopóty, dopóki nie znalazł się na dwunastu metrach nad półką. Okazało się, że i tutaj podłoże było tak niestabilne, że drgania jego liny wyrwały śrubę z lodu, gdy tylko zaczął dalszą wspinaczkę.

Roman nie mógł przygotować solidnego punktu asekuracyjnego aż do chwili, gdy wspiął się dwadzieścia pięć metrów ponad pierwszą półkę. Gdyby zabrakło mu sił lub gdyby popełnił choć jeden błąd – gdyby na przykład jego czekan wysunął się z lodu, jak w przypadku Boba Sheltona na Wowie Zowie – Roman najprawdopodobniej poniósłby śmierć. Większość ludzi na jego miejscu zapewne zdrętwiałaby ze strachu, co tylko przyspieszyłoby ich koniec. Jednak w przypadku Romana powaga sytuacji pomogła mu się bardziej skoncentrować i przezwyciężyć zmęczenie, dzięki czemu dotarł do drugiej półki bez wypadku, choć krańcowo wyczerpany fizycznie i umysłowo.

Przyszła kolej na mnie. Kiedy już Roman odzyskał nieco sił, pociągnął za linę i krzyknął: „Do mnie!", co oznaczało, że mam wejść na filar i ruszyć jego śladem. Lina zamocowana kilkanaście metrów nade mną dawała gwarancję, że nie muszę obawiać się o życie, jeśli tylko nie przetnę jej przypadkiem czekanem, starałem się więc wbijać oba czekany bardzo ostrożnie i precyzyjnie. Mimo to, za każdym razem gdy w lodzie zanurzał się dziób czekana lub zęby moich raków, cały filar wpadał w drżenie, a ja czułem się tak, jakbym siedział na drzewie, które właśnie ktoś ścina.

Starałem się unikać szarego, zwietrzałego lodu i uderzać tylko tam, gdzie filar był błękitno-zielony, a więc stosunkowo solidny. Jednak nawet zielony lód wypełniony był mnóstwem pęcherzyków powietrza, co praktycznie uniemożliwiało pewne zamocowanie narzędzi. Poza tym, bez względu na to, jak delikatnie uderzałem czekanami, co jakiś czas odłamek lodu – niektóre ważyły po dziesięć lub piętnaście kilogramów – odrywał się od podłoża, przelatywał obok mojej głowy, pędził ze świstem w dół i roztrzaskiwał się o ziemię dwadzieścia pięter niżej, podczas gdy ja przyglądałem się temu ze zgrozą.

Ze względu na niewielką średnicą filara musiałem wbijać raki obok siebie i ustawiać stopy palcami do środka, w dziwacznej, niezdarnej

pozycji, która utrudniała mi zachowanie równowagi. Za każdym razem, gdy wyciągałem jeden z czekanów, powiedzmy lewy, by wbić go wyżej, lewa część mojego ciała odchylała się od filaru, niczym drzwiczki szafki, które zostały krzywo zamocowane i nie chcą się zamknąć.

Ponieważ ściana lodowa była lekko przewieszona, przez większość spośród trzydziestu lub czterdziestu minut potrzebnych do wejścia na filar moje ręce musiały utrzymywać około osiemdziesięciu procent ciężaru ciała. Taki wysiłek fizyczny można porównać do podciągania się na drążku przez pół godziny, bez przerwy, przy czym po każdym podciągnięciu należałoby zawisnąć na jednej ręce, a drugą zamachnąć się kilkakrotnie kilogramowym ciężarem, niczym czekanem, który wbija się w lód. Gdy dotarłem do połowy drugiego odcinka Drogi Miłości, ręce drżały mi ze zmęczenia, dyszałem ciężko, a moje ubranie pod kurtką – pomimo dojmującego chłodu – było przesiąknięte potem. Nim opadłem w końcu na półkę, na której czekał na mnie Roman, miałem tak zdrętwiałe ręce, że tylko z najwyższym trudem zdołałem wcisnąć zamek karabinka.

Jako następna dołączyła do nas Kate, a potem Brian. Tuż przed zachodem słońca cała nasza czwórka spoglądała nerwowo na ostatni fragment trasy nad naszymi głowami. Wkrótce jednak wszyscy stwierdziliśmy z ulgą, że ściana w tym miejscu jest po prostu pionowa, a nie przewieszona – w porównaniu z wejściem na filar, była to miła wycieczka – a gdy nad Valdez zapadł zimny wieczór, nasz zespół ściskał sobie dłonie obok skarłowaciałych olch znaczących szczyt Love's Way.

Nie da się ukryć, że wspinaczka na wodospady jest zwykle przerażająca, czasami mozolna i przygnębiająca, a czasami wręcz groźna dla życia. Większość ludzi, którzy nigdy nie parali się alpinizmem, nie potrafi sobie wyobrazić, dlaczego może się to komukolwiek podobać. Jednak każdy, kto słyszał radosne okrzyki Kate Bull, odbijające się echem od ścian kanionu Keystone w chwili, gdy wspięła się w końcu na szczyt Drogi Miłości, zrozumiałby to bez trudu.

[10] Łącznie w trzęsieniu ziemi zginęło 131 osób, a drugie tyle w tsunami wywołanym wstrząsami. Samo miasteczko Valdez trzy lata po trzęsieniu przeniesiono o 7 km na zachód od pierwotnej lokacji.

[11] W 2008 r. roczne przychody Patagonii przekroczyły 300 mln USD.

[12] Andrew Embick jest autorem wydanego w 1994 r. przewodnika „Fast & Cold, A Guide to Alaska Whitewater".

[13] Stemming (zapieraczka), jamming (klinowanie), laybacking (nogi i ręce w rysie, wspinacz odchyla się, trzymając krawędź rysy).

Toni Kurz

ROZDZIAŁ 4

Uwięzieni w namiocie

Kiedy następnym razem będziecie planowali wyjazd w góry, zachwyceni lśniącym albumowym zdjęciem ośnieżonych szczytów na tle idealnie błękitnego nieba, zastanówcie się dobrze, skąd wzięły się tam te wspaniałe lodowe czapy. Góry mają to do siebie, że wyżymają z wiatrów wilgoć, którą te niosą ze sobą. Oczywiście wszyscy o tym wiemy, jeśli nie dzięki lekcjom w szkole, to za sprawą deszczowych wakacji w górach Adirondack i w North Cascades. Optymizm jest jednak niebezpiecznie odporny na fakty i przykre doświadczenia. Trudno nam przyznać, że spędzanie czasu na łonie natury często oznacza długotrwałe próżnowanie w celi o wilgotnych nylonowych ścianach – we wnętrzu namiotu.

Oczywiście w niektórych górach i porach roku można się spodziewać wyjątkowo paskudnej pogody, więc jeśli będziemy trzymali się z daleka od miejsc, takich jak Himalaje w porze monsunów lub Patagonii (gdzie, jak mówią miejscowi, „wiatr zamiata ziemię jak miotła Boga"), o każdej porze roku, być może uda nam się od czasu do czasu zobaczyć czyste niebo. Jednak moskity i meszki mogą zmusić nas do siedzenia w namiocie nawet w najpiękniejszą pogodę, podobnie jak burze piaskowe, więc przymusowy pobyt w nylonowej celi jest zawsze możliwy, bez względu na prognozę pogody.

To prawda, że w niższych górach, gdy dokuczy nam już bezczynność, przynamniej latem możemy włożyć ubrania przeciwdeszczowe i pomimo ulewy wyjść na zewnątrz, by czerpać wątpliwą przyjemność ze spacerów po mokrych zboczach. Jeśli jednak uwiedzie nas dziki i dramatyczny urok jakichś odległych, pokrytych lodowcami szczytów, możemy stać się zakładnikami żywiołów, które uwięzą nas w namiocie na wiele dni, a może i tygodni.

Przymusowy pobyt w namiocie nie zawsze jest męką. Kilka pierwszych godzin to często stan sennej euforii, gdy leżymy spokojnie w śpiworze i obserwujemy, jak krople wody spływają po zewnętrznej stronie półprzezroczystego tropiku albo układają się na niej płatki śniegu. Opatuleni puchem lub najnowszym produktem przemysłu chemicznego, osłonięci przed okrutnym światłem dnia

przez poły namiotu, które zamieniają je w przyjemny półmrok, sycimy się poczuciem ulgi. Burza obdarowała nas mocnym alibi, dzięki któremu nie musimy ryzykować życie podczas próby wytyczenia pierwszej *direttissimy*[14] na ten przerażający szczyt w górze doliny albo nie musimy wspinać się na kolejną przełęcz, by zrealizować część absurdalnego planu naszego partnera, marzącego o dotarciu do następnego przełomu na wschodzie. Nasze życie jest bezpieczne co najmniej przez następny dzień; odsunęliśmy w czasie niepotrzebną mordęgę; uratowaliśmy twarz – i to wszystko bez bólu lub wyrzutów sumienia. Nie musimy nic robić, możemy spokojnie pogrążyć się we śnie.

Po jakimś czasie możemy jednak mieć dość tego dobrego. Nawet ludzie obdarzeni talentem do nieróbstwa docierają w końcu do granicy, za którą nie da się już dłużej spać. Znałem wyjątkowo utalentowanych alpinistów, którzy potrafili drzemać szesnaście do dwudziestu godzin na dobę, dzień po dniu, lecz nawet w takiej sytuacji zostaje sporo czasu do zabicia. W jeszcze gorszym położeniu znajdują się mniej utalentowani pod tym względem wspinacze, którzy muszą czymś wypełnić dziesięć do dwunastu godzin dziennie.

Nuda stanowi bardzo rzeczywiste, choć na pozór niewinne zagrożenie. Blaine Harden z „Washington Post" napisał kiedyś: „Nuda zabija; tych, których nie zabija, okalecza, tych zaś, których nie okalecza, wykrwawia, wysysa jak pijawka, aż jej ofiara staje się blada, nijaka, ponura. Przykłady można mnożyć… Szczury przetrzymywane w odosobnieniu, w komfortowych warunkach, wkrótce stają się nerwowe, poirytowane, agresywne. Ich ciała drżą niekontrolowanie, ogony się łuszczą". Dlatego też każdy podróżnik, oprócz umiejętności, takich jak posługiwanie się mapą i kompasem, zapobieganie otarciom i opatrywanie ran, musi też przygotować się mentalnie i materialnie do walki z nudą, jeśli nie chce, by „łuszczył mu się ogon".

Jako istoty towarzyskie zwracamy się przede wszystkim ku naszym współlokatorom, szukając ratunku przed wszechogarniającą nudą w przemoczonym obozie. Trudno o przesadną ostrożność w doborze towarzyszy wyprawy. Repertuar anegdot i plotek, jakim dysponuje

dany kandydat, oraz poczucie humoru, którym potrafi się wykazać w trudnej sytuacji, powinny być dla nas co najmniej równie istotne jak jego wytrzymałość fizyczna i doświadczenie wspinaczkowe.

Jeszcze ważniejsza niż umiejętność rozbawiania jest mało irytująca osobowość. Nasz towarzysz może świetnie naśladować Franka Zappę, ale jak podziała na nas ten Zappa, jeśli będziemy go słuchać niemal bez przerwy przez dziewięćdziesiąt sześć godzin? Doświadczeni podróżnicy, którzy przeżyli niejedną wyprawę w dzikie pustkowia, zdecydowanie doradzają, by unikać nadaktywnych osobowości. Nazbyt nerwowi towarzysze podróży, którzy nie potrafią zrozumieć, jak ważne są spokój i niespieszna analiza sytuacji, mogą łatwo zaburzyć delikatną, niemrawą atmosferę obozu i uszczuplić i tak już poważny deficyt zajęć, którymi można wypełnić godziny wyczekiwania.

W przeciętnym namiocie górskim jest mniej więcej tyle przestrzeni, ile w budce telefonicznej, a podłoga ma powierzchnię dużego łóżka. Kiedy jesteśmy zmuszeni do przebywania w takiej bliskości, szybko puszczają nam nerwy, a drobne rozdrażnienie urasta do rozmiarów poważnego zdenerwowania. Wyłamywanie palców, dłubanie w nosie, chrapanie i naruszanie przestrzeni towarzysza przemokniętym śpiworem może zasiać ziarno przemocy. David Roberts, jeden z najlepszych wspinaczy Alaski w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, wspomina pewną burzową wyprawę na Mount Deborah, którą odbył ze swoim najlepszym przyjacielem:

> „Nasze rozmowy szybko zamierały albo prowadziły do kłótni. Pogoda frustrowała mnie do tego stopnia, że musiałem się na coś złościć; Don był najbliższym obiektem mojej irytacji, a do tego jedynym zdolnym do odpowiedzi… Wkrótce zacząłem reagować na wszelkie czynności i zachowania Dona – irytował mnie sposób, w jaki czyścił nóż, trzymał książkę czy nawet oddychał. Pojawiła się pokusa racjonalizacji tych reakcji: mówiłem sobie, że wścieka mnie sposób, w jaki je płatki, bo to wyraz jego metodyczności, która jest z kolei świadectwem umysłowej ociężałości, a właśnie ze względu na tę ociężałość nie podoba mu się moja niecierpliwość… Poddawałem się coraz większej agresji i obłędowi

zarazem. Starałem się więc odsuwać od siebie podobne myśli: zamiast tego rozmyślałem o przyjemnościach łatwiejszego, cieplejszego życia. Jednocześnie jednak wzbierała we mnie głucha wściekłość, wywołana odgłosem żucia Dona, który jadł właśnie baton".

Jeśli niepokoi nas charakter przyszłego towarzysza wyprawy, możemy zainwestować w namiot uszyty z różowej tkaniny. Psychologowie behawioralni przypuszczają, że w oku znajdują się hormonalne neuroprzekaźniki stymulowane długością fali niektórych kolorów. Zakłada się, że mają one wpływ na wytwarzanie hormonów w gruczołach podwzgórza, szyszynki i przysadki, które z kolei decydują o naszym nastroju. Podczas serii szeroko nagłośnionych eksperymentów badanych umieszczono w małym pokoju o ścianach pomalowanych na kolor zwany Baker--Miller Pink (róż Bakera-Millera)[15]. Jak twierdzą naukowcy, po piętnastu minutach od wejścia do pokoju mięśnie badanych ulegały rozluźnieniu i następowała znacząca redukcja „agresywnych, nieprzewidywalnych i gwałtownych zachowań" kryminalistów, schizofreników paranoidalnych oraz „kłótliwej młodzieży".

Wiele już napisano o dobrych stronach samotności na otwartej przestrzeni, ale gdy jesteśmy uwięzieni w namiocie, świat zewnętrzny i tak oddzielony jest od nas warstwą wilgotnej tkaniny. Dlatego też tak dużą popularnością cieszą się zatłoczone obozowiska, takie jak Lonesome Lake w Wind River Range czy Southeast Fork pod Mount McKinley. Wszechobecne widoki i zapachy śmieci oraz ludzkich odchodów, dudnienie magnetofonów i tłumy ludzi mogą skłonić słabszych charakterem lub niedoświadczonych wspinaczy do unikania takich miejsc, lecz dla tych, którzy sięgają wyobraźnią nieco dalej, obecność innego namiotu, do którego można wpaść z wizytą podczas sześciodniowej śnieżycy, będzie wartością oczywistą i trudną do przecenienia.

Fakt, że wyprawa w głuszę w poszukiwaniu tłumów nie ma większego sensu, nie powinien skłaniać nas do organizowania wypraw w pojedynkę lub we dwójkę. Jak twierdzą doświadczeni

podróżnicy, jeśli podczas dwuosobowej wyprawy dojdzie do dłuższego załamania pogody, praktycznie nie da się wyjść z tej sytuacji bez trwałych psychicznych urazów. Jeśli chodzi o samotne podróże, to jak ostrzegał w 1933 roku Victor F. Nelson (więzień skazany na dożywocie i ekspert w sprawach dotyczących długotrwałej samotności) „człowiek, w większości wypadków, jest bardzo kiepskim towarzyszem dla samego siebie; jeśli musi radzić sobie ze sobą przez dłuższy czas, nabiera głębokiej odrazy i pogrąża się w stanie dręczącego niepokoju, co sprawia, że szuka jakiegokolwiek wyjścia z tej sytuacji". Podczas samotnej wyprawy nie będziemy się sprzeczać o to, kto powinien myć naczynia, ale w gruncie rzeczy, jeśli zapowiada się paskudna pogoda, większość z nas woli nawet kiepskie towarzystwo niż brak towarzystwa. Kłótnie przynajmniej pozwalają zabić czas.

Wybór towarzysza z gatunku o nieco łagodniejszym usposobieniu to oczywiście dobry kompromis między samotnością wyprawy w pojedynkę i towarzystwem człowieka, który po kilku dniach wspólnego pobytu w namiocie może stać się nieznośnie irytujący. Umiejętności konwersacyjne psa pozostają co prawda sporo do życzenia, a mokry pies śmierdzi nawet gorzej niż mokry wspinacz, ale dobry pies będzie nas zawsze słuchał z życzliwością i współczuciem, a poza tym, co rozumie się chyba samo przez się, pies pozwala nam bezpiecznie dać upust największej nawet frustracji.

W miarę, jak upływają kolejne dni przymusowej niewoli, a przeciekające ściany namiotu opadają coraz niżej, mieszkańców ogarnia coraz większe znużenie i ospałość. Oczy zasnuwają się mgłą i spoglądają na świat z obojętnością zwaną aleuckim spojrzeniem. Brakuje sił nawet na rozmowę, chyba że przybiera ona formę kłótni. Nie jest to symptom właściwy jedynie współczesnym pokoleniom podróżników. W książce „The Worst Journey in the World" (Najgorsza podróż na świecie), relacji z niefortunnej wyprawy Roberta Falcona Scotta na biegun południowy (1910–1913), Apsley Cherry-Garrard w następujący sposób pisze o przetrwaniu antarktycznej zimy:

„Tym, co zawsze stanowiło wielkie zagrożenie dla posiłków spożywanych w chacie, był cag. Cag to kłótnia, czasami wymagająca sporej wiedzy, a zawsze zaciekła, dotycząca każdego możliwego tematu pod słońcem… Kłótnie te zaczynały się od byle pretekstu, ciągnęły przez bardzo szerokie obszary i wracały do nas po jakimś czasie, nawet po wielu miesiącach… Co spowodowało powstawanie kryształów lodowych… najlepsze raki do chodzenia po lodzie Antarktydy; najlepsza restauracja z ostrygami w Londynie; idealna derka dla kucyka; czy kelner podający wino w Ritzu byłby zaskoczony, gdybyś poprosił go o kufel piwa?”

Cherry-Garrard i jego towarzysze mogli rozstrzygnąć wiele z tych sporów, zaglądając do atlasu świata lub encyklopedii. Współcześni amatorzy wypraw na łono natury, zbyt leniwi, by nosić ze sobą tak przydatne, choć nieco ciężkie publikacje encyklopedyczne, zwykle uciekają się do prostej formuły („załóż się albo zamknij się”), która kładzie kres dyskusjom. Co rozsądniejsi zapisują wszystkie zakłady.

Kiedy improwizowane dyskusje stają się zbyt niebezpieczne, można uciec się do gier, bardziej usystematyzowanego sposobu dawania ujścia frustracji i spędzania czasu w cywilizowany sposób. Dobrą grą jest Botticelli, a jeśli zabierzemy ze sobą talię kart, możemy nawet grać w pokera, zastępując pieniądze zapałkami – musimy jednak uważać, by nie kłaść ich w kałużach na podłodze namiotu, jeśli chcemy zjeść jeszcze jakiś ciepły posiłek. Same pieniądze w takiej sytuacji są towarem zbyt abstrakcyjnym, gra może być więc bardziej ekscytująca, jeśli stawki będą obejmować jedynie artykuły cenne podczas podróży – dzienne racje żywnościowe, jeśli brakuje nam jedzenia, suche ubrania, jeśli takie w ogóle mamy, dodatkowe centymetry kwadratowe podłogi albo też cięższe elementy sprzętu, który musimy nieść podczas wyprawy.

Korzystając z długopisu, karimaty i różnych obozowych rupieci, można wymyślić niezliczoną wręcz liczbę gier planszowych. Zawsze świetnie się sprawdza odtworzenie Monopoly (same próby przypomnienia sobie właściwego układu planszy i treści kart zajmują mnóstwo czasu), ale ulubioną grą wspinaczy pozostaje Peak

Experience, długa i zawiła gra, która jest przy okazji perwersyjnie realistyczna, osiągnięcie „szczytu” może się bowiem okazać niemożliwe. Elektroniczne gry mogą dostarczyć sporo zabawy, ale wydawane przez nie dźwięki mają chyba sporo wspólnego z faktem, że gry te ulegają często przypadkowym i nieodwracalnym awariom, gdy ich właściciel wychodzi na zewnątrz za potrzebą.

Jednak choćby gra była najciekawsza, wcześniej czy później, podczas długiego uwięzienia w namiocie docieramy do punktu, w którym czujemy może nie tyle odrazę do naszych współtowarzyszy, ile przemożną chęć ograniczenia kontaktów do minimum. W takiej sytuacji potrzebujemy zajęcia, które pozwoli nam spędzić czas w samotności.

Choć książki nie są lekkie, współczynnik ciężaru do czasu, na jaki mogą nam zapewnić rozrywkę, stawia je nieco ponad napojami wyskokowymi. Według jednej szkoły życie w namiocie tak bardzo otępia intelekt, że pobudzić go może jedynie prosta, płytka literatura skupiająca się głównie na akcji: science fiction, pornografia, thrillery. Inne szkoły zalecają, by zabierać ze sobą ciężkie tomiska, które powinniśmy byli już dawno przeczytać, ale jakoś nam się dotąd nie udało. W końcu, kiedy jesteśmy już odpowiednio znudzeni, przeczytamy wszystko, co mamy pod ręką, i to pewnie kilka razy. Dlaczego więc nie wykorzystać nieopisanej nudy wypełniającej zasypany śniegiem namiot, by chociaż zacząć czytać Prousta?

Jednak najlepszą lekturą w nylonowym więzieniu bywa często literatura podróżnicza, która może okazać się zarówno ciekawa, jak i inspirująca. Kiedy użalamy się nad sobą tylko dlatego, że spędziliśmy jedyne w roku wakacje uwięzieni w przemoczonym namiocie, który śmierdzi jak brudne skarpetki, łatwiej przyjdzie nam wziąć się w garść, gdy poczytamy o budzących grozę przeżyciach badaczy polarnych, takich jak Nansen, Shackelton czy Scott. Spojrzymy na nasze własne problemy z innej perspektywy, zapoznając się z opisami wypraw, które trwały trzy lata, zimna, od którego dosłownie pękały zęby (Cherry-Garrard pisał, jak cieszył się w dniu, gdy „ociepliło się” do minus pięćdziesięciu), śnieżyc wiejących z siłą huraganu nieprzerwanie przez sześć tygodni, szkorbutu, głodu i ataków lampartów morskich.

Jeśli wzajemne urazy uniemożliwiają wspólne rozrywki, a my byliśmy na tyle lekkomyślni, że nie zabraliśmy ze sobą żadnych książek, mamy już naprawdę niewielkie pole manewru. Gotowanie i jedzenie ograniczają oczywiście zapasy pożywienia i paliwa, które zawsze są mizerne. Można studiować opakowania zup, ucząc się na pamięć wielosylabowych nazw środków konserwujących, albo liczyć nitki w dachu namiotu, ale takiej zabawy nie da się ciągnąć bez końca, wcześniej czy później możemy więc zapaść w stan opisywany przez Victora Nelsona: „Leżałem w łóżku, zwrócony twarzą do ciemnej strony celi, czepiając się myślami przeszłości i przyszłości… Teraźniejsza, otaczająca mnie rzeczywistość, była zbyt okropna, by dało się ją znieść".

W tak poważnej sytuacji nawet najszlachetniejsi osobnicy chwytają się czasem ostatniej deski ratunku i sięgają do apteczki. Jednak górskie burze i śnieżyce często trwają dłużej niż stan odurzenia wywołany percodanem lub kodeiną, a klaustrofobiczna, śmierdząca klitka z nylonu nie jest najlepszym miejscem na przeżywanie piekła, jakim może stać się wychodzenie z głodu narkotycznego.

Czasami los może się uśmiechnąć do więźniów złej pogody – nawet jeśli będzie to drwiący uśmieszek – i przerwać monotonię oczekiwania, uprzykrzając im życie do stopnia, w którym będą musieli walczyć o przetrwanie. Zejście lawiny, uderzenie pioruna, wybuch maszynki, który kompletnie spali namiot, zapalenie wyrostka robaczkowego w miejscu oddalonym o trzysta kilometrów od najbliższego szpitala, atak niedźwiedzia – nic nie leczy egzystencjalnej nudy równie szybko i skutecznie jak prawdziwe zagrożenie życia.

Należy jednak pamiętać, że tylko cienka linia dzieli zwykłą niedolę od ekscytujących, pełnych wrażeń męczarni. W 1967 roku pierwsza wyprawa wspinaczkowa w Revelation Mountains na Alasce, która w ciągu pięćdziesięciu dwóch dni pobytu w tych górach musiała przetrwać ponad czterdzieści burzowych dni, niemal przez cały czas potrafiła utrzymywać się po właściwej stronie tej cienkiej linii. Matt Hale wspomina, jak pod koniec wyprawy, po nieudanym wielodniowym polowaniu na różne gatunki motyli, wrócił w końcu do bazy, przemoczony do suchej nitki, tylko po to by przez kolejny

tydzień zmagać się z nieustannymi opadami deszczu i śniegu. Gnane potężnymi wiatrami krople deszczu przesiąkały ściany namiotu i opadały na niego w postaci nieustającej mżawki o temperaturze jednego stopnia Celsjusza. Ten ciągły prysznic przenikał go zimnem do szpiku kości i zamieniał jego śpiwór w przemoczoną bryłę puchu i nylonu.

Hale, bliski wychłodzenia, stwierdził w końcu, że uda mu się przespać w odrobinie ciepła tylko wtedy, jeśli zdejmie wszystkie mokre ubrania, wciśnie się do lekko oślizłego, lecz w miarę nieprzemakalnego plecaka (starając się przy tym ignorować fakt, że w jego wnętrzu walają się rozmoczone resztki miękkich ciastek z figami), okryje to płaszczem przeciwdeszczowym i dopiero wtedy wpełznie do mokrego śpiwora. „Noc w noc – wspomina – miałem ten sam deliryczny sen, w którym szedłem po lodowcu i natrafiałem na suchą ciepłą chatę. Gdy zaczynałem otwierać drzwi, zawsze się budziłem, mokry, drżący i oblepiony okruchami ciastek". Choć tydzień, który spędził wówczas w namiocie, obfitował w różnego rodzaju nieszczęścia, Hale twierdzi z uporem, że „nuda nie stanowiła problemu".

Rzeczywiście, dwadzieścia jeden lat po tej wyprawie Hale wspomina ją z wielką czułością; wróciłby w Revelation Mountains – bez względu na pogodę – bez chwili zastanowienia, gdyby tylko nadarzyła się taka okazja. Jak zauważył wybitny XIX-wieczny alpinista, sir Francis Younghusband: „Właśnie dlatego, że góry mają tak wiele do oddania i dają to tak hojnie… ludzie je kochają i wciąż do nich wracają".

[14] Najkrótsza droga przejścia.

[15] Nazwa odcienia różu Bakera-Millera pochodzi od dwóch pracowników więzienia stanowego w Seattle, którzy w ramach eksperymentu pomalowali jedno z pomieszczeń recepcyjnych w tym kolorze. Po 156 dniach eksperymentu stwierdzili, że więzień przebywający w pomieszczeniu 15 minut w kolejnych 30 nie wykazywał agresji, co pozwalało urzędników uporać się z robotą papierkową bez zakłóceń.

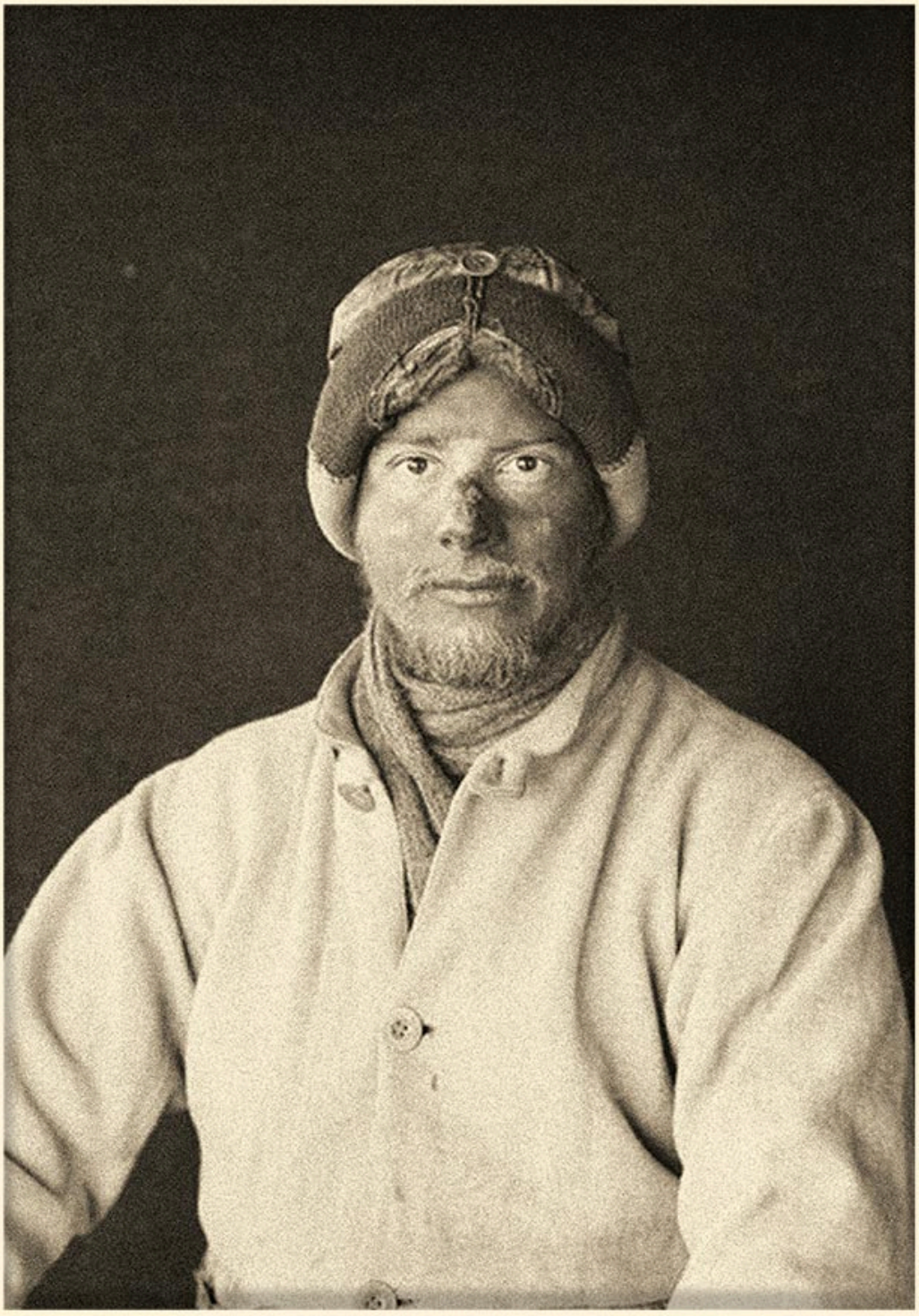

Apsley Cherry-Gerrard

ROZDZIAŁ 5

Piloci z Talkeetna

Jest zwykły czerwcowy poranek, słońce świeci jasno nad zabudowaniami miejscowości Talkeetna, centrum kulturalnego alaskijskiej doliny Sustina Valley, które w porywach liczy dwustu pięćdziesięciu mieszkańców. Poranna bryza niesie zapach świerczyny i mokrej ziemi; łoś snuje się leniwie po opustoszałej głównej ulicy i przystaje, by potrzeć głową o płot miejscowego stadionu. Nagle spokój poranka mąci dźwięk dobiegający z lotniska na skraju miasteczka: silnik małego czerwonego samolotu prycha dwa, trzy razy, a potem zaskakuje z rykiem.

Na fotelu pilota siedzi zwalisty kudłaty mężczyzna, Doug Geeting. Kołuje na skraj lotniska, włącza radio i podaje plan lotu, posługując się lapidarnym, enigmatycznym żargonem, *lingua franca* lotników na całym świecie:

– Talkeetna, cztery-siedem-fokstrot. Mamy trzech pasażerów do Southeast Fork przy Kahiltna. Paliwo na trzy godziny. Godzina trzydzieści na trasie.

– Cztery-siedem-fokstrot, przyjąłem. Wiatr trzy-pięć-zero na szóstej. Wysokościomierz dwa-dziewięć-osiem-dziewięć.

– Dwa-dziewięć-osiem-dziewięć, przyjąłem. Lecimy.

Trzydziestopięcioletni pilot kończy rozmowę i dodaje gazu, silnik wyje jak szalony, a samolot odrywa się po chwili od asfaltu i wzbija w olbrzymie alaskijskie niebo.

Za dwoma pasami startowymi lotniska w Talkeetna, kilkoma nieutwardzonymi ulicami i bezładną zbieraniną chat z bali, przyczep kempingowych, baraków z blachy falistej i sklepów z pamiątkami rozciąga się olbrzymia, podmokła i torfiasta równina, porośnięta nieprzebytym gąszczem świerków i olch – komarzy raj, płaski jak stół i położony zaledwie sto metrów nad poziomem morza. Jednakże już osiemdziesiąt kilometrów dalej z ziemi nieoczekiwanie wyrastają olbrzymie szańce Mount McKinley, najwyższej góry Ameryki Północnej. Geeting wzlatuje nad lotnisko, zakręca ostro w lewo i pędzi na zachód, ponad szeroką, zamuloną wstęgą rzeki Susitna, by potem skierować samolot prosto na olbrzymią sylwetkę góry.

Maszyna Geetinga to cessna 185, sześcioosobowy samolot o kabinie nie większej niż wnętrze małego japońskiego kombi. Podczas tego lotu wiezie trzech pasażerów, ściśniętych niczym sardynki

między stertami plecaków, śpiworów, nart i różnego rodzaju akcesoriów wspinaczkowych wypełniających samolot od podłogi po sufit. Pasażerowie to wspinacze, każdy z nich zapłacił po dwieście dolarów, by Geeting wywiózł ich na wysokość 2290 metrów, na lodowiec obok Mt. McKinley, gdzie zamierzają spędzić prawie cały miesiąc i wejść na mierzący 6194 metry szczyt.

Każdego roku na zbocza McKinley i pobliskich szczytów próbuje wspiąć się około tysiąca wspinaczy, a przewożenie ich na wysokie lodowce w górach Alaska to źródło utrzymania Geetinga. W lataniu na lodowce, które jest wymagającą, niebezpieczną i mało znaną dziedziną lotnictwa pasażerskiego, specjalizuje się tylko garstka pilotów na całym świecie, a ośmiu lub dziewięciu z nich pracuje na stałe w Talkeetna. W porównaniu z innymi zajęciami zarobki nie są powalające, a godziny pracy wręcz okropne, za to widok z biura trudny do przebicia.

Dwadzieścia pięć minut lotu od Talkeetna z doliny Susitna wyrastają pierwsze postrzępione fortyfikacje masywu McKinleya, które w całości wypełniają przednią szybę cessny Geetinga. Od samego startu samolot wspina się mozolnie w górę. Osiągnął pułap 2440 metrów, ale oblepione śniegiem skalne zęby majaczące z przodu sięgają dobrych czterysta pięćdziesięciu metrów wyżej. Geeting – który wylatał na lekkich samolotach piętnaście tysięcy godzin, a tą konkretną trasą lata już od ponad piętnastu lat – nie wydaje się ani trochę zaniepokojony, gdy jego samolot zmierza prosto na rosnącą w oczach ścianę góry.

Kiedy wydaje się, że katastrofa jest nieunikniona – wspinacze i tak ledwie już wtedy żyją ze strachu – Geeting kładzie samolot na prawe skrzydło, zakręca gwałtownie i przelatuje lotem nurkowym przez wąską szczelinę, która otwiera się niespodziewanie za jednym z potężniejszych szczytów. Górskie zbocza przesuwają się tak blisko samolotu, że można dostrzec poszczególne kryształki śniegu błyszczące w słońcu.

– Tak – kiwa leniwie głową Geeting. – To był przesmyk, który nazywamy Przełęczą Jednej Próby.

– Pierwsza zasada latania w górach – tłumaczy dalej pilot z leniwym akcentem rodem z jego ojczystej Kalifornii – polega właśnie

na tym, że nigdy nie nalatujesz prosto na przełęcz, bo jeśli jakiś podmuch ściągnie cię w dół i nie zdążysz się z niego wyrwać, to będziesz miał spore kłopoty. Zamiast atakować wysoką przełęcz na wprost, zbliżam się do niej, lecąc równolegle do grzbietu, aż prawie zrównam się z przełęczą, a wtedy zakręcam ostro i przelatuję przez nią pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Jeśli ściągnie mnie wtedy w dół i zorientuję się, że jestem już za nisko, żeby przebić się na drugą stronę, mogę jeszcze zawrócić w ostatniej chwili i uciec. Jeśli chcecie przetrwać trochę dłużej w tej branży, zawsze musicie zostawiać tylne drzwi otwarte.

Po drugiej stronie przełączy rozciąga się krajobraz żywcem wyjęty z plejstocenu, obcy świat czarnej skały, błękitnego lodu i oślepiająco białego śniegu, który ciągnie się po sam horyzont. Pod skrzydłami cessny leży lodowiec Kahiltna, lodowy jęzor o szerokości trzech i długości sześćdziesięciu pięciu kilometrów, poznaczony siatką szczelin i upstrzony lodową wysypką seraków. Skala tej niesamowitej scenerii wymyka się wyobraźni: szczyty ciągnące się wzdłuż Kahiltny wyrastają wprost z powierzchni lodowca na wysokość półtora kilometra i więcej; lawiny, które co jakiś czas schodzą z tych zboczy z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę przebywają tak długą drogę, że obserwując je z daleka, można odnieść wrażenie, iż poruszają się w zwolnionym tempie. Na tle tego ogromu samolot Geetinga jest maleńką czerwoną kropką, ledwie widzialnym mechanicznym komarem, który przesuwa się powoli po firmamencie w stronę McKinley.

Dziesięć minut później komar wykonuje zakręt o dziewięćdziesiąt stopni nad dopływ Kahiltny zwany Southeast Fork i zaczyna schodzić do lądowania. Prowizoryczny śnieżny pas startowy, wyznaczony plastikowymi workami na śmieci przywiązanymi do bambusowych tyczek, pojawia się nagle na środku lodowca, pośród labiryntu gargantuicznych szczelin. Kiedy samolot podlatuje bliżej, okazuje się, że lodowiec wcale nie jest tu płaski, jak wydawało się z większej odległości; w rzeczywistości pas leży na zboczu dość stromym, by wystraszyć początkującego narciarza.

Rozrzedzone powietrze znacznie ogranicza możliwości cessny, która będzie lądować w górę zbocza, na ślepej uliczce wśród wysokich na

półtora kilometra granitowych ścian. Dlatego też Geeting zauważa pogodnym tonem: „Kiedy tu lądujesz, nie ma czegoś takiego jak nawrót. Musisz idealnie trafić z podejściem za pierwszym razem". Aby uniknąć nieprzyjemnych niespodzianek, pilot przygląda się okolicznym grzbietom, wypatrując smug wiejącego śniegu, które mogą świadczyć o obecności silnego i niebezpiecznego wiatru. Kilka kilometrów dalej, na początku głównego strumienia lodowca, dostrzega warstwę strzępiastych, przypominających bawełnę chmur, które przesuwają się nad siodłem położonym na wysokości 3140 metrów, zwanym Kahiltna Pass.

– To chmury fenowe – wyjaśnia. – To znaczy, że pod nimi, w dół zbocza wieją bardzo turbulentne wiatry, nazywamy je śmigłami. Nie widzicie tego, ale powietrze kłębi się na tych zboczach jak łamiąca się fala. Jeśli podlecicie samolotem w pobliże tych chmur, narobicie w portki ze strachu.

Jakby na potwierdzenie tych słów, w cessnę uderza potężny podmuch wiatru, kołysząc nią na boki i do przodu, i do tyłu. Geeting przewidział jednak ten atak i zwiększył prędkość, by go odeprzeć. Spokojnie kontrolując nieco zachwiany lot, prowadzi samolot w dół, aż lodowiec wychodzi mu na spotkanie i przyjmuje krótkie aluminiowe płozy łagodnym pocałunkiem. Geeting przesuwa samolot na górny kraniec pasa startowego, dodaje gwałtownie gazu i obraca go w miejscu, kierując dziób w dół i przygotowując się do startu, po czym wyłącza silnik.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmia. – Oto Międzynarodowy Port Lotniczy Kahiltna.

Pasażerowie Geetinga wychodzą w pośpiechu na lodowe zbocze, a trzej inni alpiniści, o spalonych słońcem, łuszczących się twarzach, po miesięcznym pobycie na lodowcu skwapliwie wskakują do środka, by wrócić do świata piwa, toalet ze spuszczaną wodą i zielonych rosnących rzeczy. Po pięciu minutach spędzonych w Międzynarodowym Porcie Lotniczym Kahiltna Geeting salutuje oszołomionym alpinistom, których dopiero co wysadził na lodowiec, ponownie uruchamia silnik i pędzi w dół pasa startowego w chmurze podnoszonego śmigłem śniegu, by zabrać następną grupę pasażerów, którzy czekają już na niego w Talkeetna.

Od maja do czerwca, w najgorętszym okresie sezonu wspinaczkowego na McKinley, zdarza się nieraz, że niebo nad Talkeetna rozbrzmiewa piekielnym wyciem silników lotniczych od piątej rano aż do północy – latają tam nie tylko cessny, ale także helio-couriery i pokryte płótnem super-cuby. Jeśli nawet ten hałas przeszkadza komuś w odpoczynku i kontemplowaniu piękna natury, nikt jeszcze nie wniósł oficjalnej skargi, bo trudno sobie wyobrazić Alaskę bez samolotów, tak jak nie da się pomyśleć o Iowa bez kukurydzy.

„Alaskanie – pisze Jean Potter w książce „The Flying North", historii pilotów latających samotnie w najbardziej niedostępnych zakątkach świata – są chyba najbardziej rozlatanym narodem pod amerykańską flagą, a może i na całym świecie… W 1939 roku małe linie lotnicze Alaski przewiozły dwadzieścia trzy razy więcej pasażerów i tysiąc razy więcej ładunku na osobę niż linie lotnicze Stanów Zjednoczonych. Rząd federalny i wielkie korporacje mają z tym niewiele wspólnego". Potter zauważa również, że siłą napędową alaskijskiego lotnictwa była przypadkowa zbieranina niezależnych, działających w pojedynkę pilotów – postaci tak niezwykłych jak Carl Ben Eielson, Joe Crosson, Noel Wien i Bob Reeve, którzy codziennie igrali ze śmiercią, by dostarczyć pożywienie, lekarstwa i pocztę do miejsc położonych na samym krańcu świata. Doug Geeting i jego koledzy po fachu z Talkeetna to duchowi spadkobiercy tych herosów.

Mierzący 3800 metrów szczyt, który wznosi się nad prowizorycznym pasem startowym Międzynarodowego Portu Lotniczego Kahiltna, nosi obecnie imię Joe Crossona, i bardzo słusznie, bo to właśnie Crosson w kwietniu 1932 roku po raz pierwszy wylądował na powierzchni alaskijskiego lodowca, a konkretnie lodowca Muldrow obok McKinley. Przywiózł tam wówczas grupę naukowców, którzy zajmowali się pomiarami promieniowania kosmicznego. Jak opowiadał później jeden z członków tej ekspedycji, Crosson potraktował to pierwsze w swoim rodzaju lądowanie jak „najzwyklejszą rzecz na świecie i zapalił cygaro, nim wysiadł z samolotu". Jean Potter pisze jednak, że wyprawa wiązała się z tak „wielkim ryzykiem i uszkodzeniami samolotu", iż pracodawca

Crossona, Linie Lotnicze Alaski, zabronił mu dalszych wypraw na lodowce.

Zamiast Crossona sztukę latania na lodowce doskonalił Bob Reeve, nerwowy i gadatliwy bon vivant z Wisconsin. Dwudziestosiedmioletni Reeve został wprowadzony w świat górskiej awiacji w roku 1929, gdy dokonywał pionierskich, bardzo niebezpiecznych lotów długodystansowych nad Andami w Ameryce Południowej, rozwożąc pocztę między Limą, Santiago i Buenos Aires. Właśnie tam od czasu do czasu spotykał się przy butelce z wytwornym, romantycznym pilotem z Francji, niejakim Antoine de Saint-Exupérym, który wkrótce potem stworzył „Małego Księcia" i niezwykle liryczny, bardzo popularny zapis historii pierwszych lat lotnictwa zatytułowany „Ziemia, planeta ludzi".

Reeve opuścił Amerykę Południową w 1932 roku, gdy rozbił kosztowny samolot Lockheed Vega i ściągnął na siebie gniew pracodawców. Po powrocie do Stanów stracił wszystkie pieniądze na giełdzie i zaraził się chorobą Heinego-Medina. Pozbawiony środków do życia i poważnie chory, postanowił szukać szczęścia gdzie indziej, wsiadł jako pasażer na gapę na frachtowiec płynący do Alaski i trafił w końcu do portowego miasta Valdez.

Niestety, w tych trudnych latach kryzysu Alaska przyciągnęła już sporą grupę pilotów, dla których brakowało wypłacalnych klientów. Zdesperowany Reeve postanowił się wyspecjalizować w takiej dziedzinie lotnictwa, jaką nie odważyli się zająć nawet najdzielniejsi piloci Alaski; wozić górników wydobywających złoto oraz ich ciężki sprzęt na lodowce, które spływały z gęstwiny wysokich szczytów otaczających Valdez. Stosując metodę prób i błędów, Reeve wkrótce nauczył się bezpiecznie omijać ukryte szczeliny, odkrył, że nachylenie lodowego zbocza raczej ułatwia niż utrudnia lądowanie i start na krótkich pasach oraz że jeśli przed lądowaniem rozrzuci na śniegu w jednej linii świerkowe gałęzie lub jutowe worki, może ustalić położenie zbocza oraz jego nachylenie w pochmurne, mgliste dni, gdyż inaczej nie jest w stanie określić, gdzie dokładnie znajduje się grunt.

Reeve wymyślił również, jak kontynuować działalność swojej jednoosobowej firmy podczas wiosennych i letnich miesięcy, gdy

wysoko w górach nadal jest dość śniegu umożliwiającego lądowanie na płozach, ale nie ma go na poziomie morza, czyli na lotnisku w Valdez, z którego startował ten sam, przystosowany do warunków zimowych samolot. Pokrył drewniane płozy swego aeroplanu warstwą nierdzewnej stali, którą zabrał z porzuconego koktajl baru, a w letnich miesiącach wykorzystywał jako pas startowy równiny błotne miejscowej zatoki, która między przypływami zamieniała się w śliską płaszczyznę pokrytą mułem i zosterą.

Kiedy Bradford Washburn – energiczny wspinacz i geograf, który później został dyrektorem Muzeum Nauki w Bostonie – dowiedział się, że Reeve przez okrągły rok wykonuje loty na lodowce, natychmiast wysłał do niego list z zapytaniem, czy gotów byłby zawieźć ekspedycję wspinaczkową na odległy lodowiec położony u podnóży Mount Lucania (5226 metrów n.p.m), najwyższej niezdobytej wówczas góry w Ameryce Północnej. Było to naprawdę ryzykowne przedsięwzięcie, obejmujące siedemset siedemdziesiąt kilometrów lotu nad trudnym, niezbadanym terenem i lądowanie na powierzchni położonej o ponad sześćset metrów wyżej od najwyższego poziomu, na jakim kiedykolwiek dotychczas lądował obciążony samolot na płozach. Mimo to, jak opowiada Washburn, „dziesięć dni po wysłaniu listu dostałem telegram, który zacytuję tu w całości: Polecę gdziekolwiek się wybieracie. Bob Reeve”.

Pierwszy lot na Lucanię, podczas którego samolot przewiózł trzysta kilogramów sprzętu, odbył się na początku maja 1937 roku i przebiegł bezproblemowo. Kiedy jednak Reeve powrócił tam miesiąc później, wioząc Washburna i innego wspinacza, Boba Batesa, samolot Fairchild 51 zapadł się po sam brzuch w wilgotnym śniegu; niezwykle wysokie temperatury zamieniły lodowiec w morze grząskiej brei. Wspólnymi siłami trzej mężczyźni zdołali odkopać samolot i przeciągnąć go na nieco twardsze podłoże, ale przy każdej próbie startu Reeve grzązł w roztopionym śniegu i lodzie, tracąc przy tym tyle paliwa, że miał poważne wątpliwości, czy starczy mu go na lot powrotny do Valdez.

Tkwił tam przez cztery dni i noce. Rankiem piątego dnia, gdy wydawało się, że fairchild stanie się stałym elementem lodowca, temperatura nieco spadła, pokrywając breję cienką warstwą lodu.

Reeve wyrzucił wszystkie narzędzia i sprzęt ratunkowy, by jak najbardziej odciążyć samolot, kluczem francuskim odkształcił śmigło tak, by uzyskać jak największą moc, po czym ruszył w dół lodowca, prosto na skraj urwiska.

– Zniknął nam z oczu tuż za krawędzią lodowca – wspomina Washburn. – Zapadła cisza. Byliśmy pewni, że się rozbił. Nagle usłyszeliśmy warkot silnika, a na tle nieba pokazał się samolot Reeve'a. Cudem udało mu się wystartować.

Gdy fairchild wylądował w końcu na błotnistej równinie przy Valdez, silnik krztusił się właśnie resztkami paliwa.

Kiedy Washburn wrócił z wyprawy na Lucanię, był pod głębokim wrażeniem dokonań Reeve'a i zatrudnił go przy kilku kolejnych ekspedycjach. Jednak w latach pięćdziesiątych Reeve wyprowadził się z Valdez i nie latał już na lodowce, Washburn musiał więc szukać gdzie indziej pilota, który współpracowałby z nim podczas dziewięcioletnich badań kartograficznych McKinley. Polecono mu młodego nieustraszonego pilota z Talkeetna, niejakiego Dona Sheldona. Washburn wspomina, że gdy spytał Reeve'a, co sądzi o Sheldonie, ten odpowiedział: „Albo ten facet jest wariatem i wkrótce się zabije, albo będzie z niego cholernie dobry pilot". Czas pokazał, że to drugie przypuszczenie było trafniejsze.

Korzystając z nowego sprzętu, który pozwalał pilotowi startować na kołach, a później zakryć je płozami i lądować na śniegu, Sheldon latał zarobkowo z Talkeetna przez dwadzieścia siedem lat, każdego roku spędzając ponad osiemset godzin w powietrzu nad złowrogimi szczytami łańcucha górskiego Alaski. Pilotował przez ten czas czterdzieści pięć samolotów – cztery z nich uległy całkowitemu zniszczeniu w wypadkach – nigdy jednak nie zrobił krzywdy sobie ani żadnemu z pasażerów. Jego ryzykowne lądowania na dużych wysokościach i misje ratownicze były głośne nie tylko na Alasce, ale i na całym świecie. Gdy w 1975 roku Sheldon umierał na raka okrężnicy, jego nazwisko utożsamiano z heroicznymi lotami na lodowce.

Choroba Sheldona zbiegła się z ogromnym wzrostem popularności McKinley jako obiektu wypraw wspinaczkowych; w ciągu ostatnich dziesięciu lat życia Sheldon przewoził tylu alpinistów, że wiosną i

latem sypiał po cztery, pięć godzin na dobę. Jednak pomimo tak ogromnego nakładu pracy Sheldon zazwyczaj ledwie wiązał koniec z końcem.

– Nikt nie bogaci się na prowadzaniu lotniczej taksówki – wyjaśnia Roberta Reeve Sheldon, wdowa po Donie i córka Boba Reeve'a, która nadal mieszka w Talkeetna, w skromnym drewnianym domku obok lotniska. – Wszystkie pieniądze, które zarabiasz, trzeba z powrotem inwestować w samoloty. Pamiętam, jak kiedyś poszliśmy do banku i pożyczyliśmy czterdzieści tysięcy dolarów na nową cessnę 180. Trzy miesiące później Don rozbił ją na zboczu Mount Hayes. Mówię ci, to naprawdę boli, kiedy musisz płacić raty za samolot, którego już nie masz.

Sheldon musiał zmagać się nie tylko z chorobą, ale także z drugim równie utalentowanym pilotem, niejakim Cliffem Hudsonem, który zaczął pracować w Talkeetna kilka lat później niż Sheldon. Nie była to przyjacielska rywalizacja: Sheldon i Hudson bez przerwy podkradali sobie klientów, a długoletni mieszkańcy Talkeetny wciąż pamiętają walkę na pięści między pilotami, której owocem była zniszczona lada w sklepie ze słodyczami B & K oraz podbite oczy i rozkrwawione wargi zajadłych konkurentów. Sytuacja zaogniła się do tego stopnia, że Sheldon podobno przeleciał kiedyś tuż nad samolotem Hudsona, omal nie powodując wypadku; incydent znalazł finał w sądzie, a Sheldon o mały włos nie stracił licencji.

Sheldon – pewny siebie, ekskowboj z Wyoming o surowej męskiej urodzie – wyglądał jak archetypowy pilot awanturnik. Hudson – który wciąż zarabia na życie lataniem – mógłby z powodzeniem odgrywać rolę zabłąkanego żebraka z Bowery, a to za sprawą poplamionej wełnianej koszuli, lśniących poliestrowych spodni i tandetnych czarnych mokasynów, które stanowią jego standardowy uniform lotniczy. Niedostatki w ubiorze nie zaszkodziły jednak reputacji Hudsona, który nadal uchodzi za świetnego pilota.

Główny rękaw lotniskowy w Talkeetna znajduje się na dachu miejscowego przybytku Bachusa, okrytego nie najlepszą sławą lokalu o nazwie Fairview Inn. Przesiadując w mrocznym wnętrzu Fairview, nieraz można usłyszeć, jak knajpiani piloci dyskutują o wyższości Hudsona nad Sheldonem i odwrotnie, niczym kibice futbolowi

porównujący umiejętności dwóch znanych piłkarzy. Niektórzy spośród stałych bywalców Fairview twierdzą, że Hudson jest co najmniej tak dobrym pilotem, jakim był Sheldon, i zauważają, że Hudson – co jest wręcz nieprawdopodobne – nie rozbił jeszcze ani jednego samolotu, choć wylatał nad lodowcami więcej godzin niż jakikolwiek inny człowiek na świecie.

Po śmierci Sheldona Hudson, pozbawiony praktycznie konkurencji, przeżywał okres prosperity, który trwał jednak tylko kilka lat. W 1984 roku w Talkeetna działały już pełną parą cztery firmy oferujące transport lotniczy – Hudson Air Service, Doug Geeting Aviation, K2 Aviation i Talkeetna Air Taxi – wszystkie specjalizowały się w lotach na lodowce i należały do świetnych pilotów, którzy koniecznie chcieli wybić się ponad innych. Jim Okonek, właściciel K2 Aviation, przyznaje szczerze, że „każdy z nas uważa się za najlepszego pilota w mieście i nie może zrozumieć, dlaczego ktokolwiek chciałby latać z kimś innym".

Nic dziwnego, że nagromadzenie tylu silnych osobowości w jednym miejscu prowadzi czasem do zatargów. Piloci obrzucają się obelgami i podkradają sobie klientów, bez ustanku donoszą odpowiednim władzom na swoich konkurentów, zarzucając im rzeczywiste lub wyimaginowanie naruszanie przepisów. Konflikt przybrał ostatnio na sile do tego stopnia, że Geeting nie rozmawia już w ogóle z Okonkiem ani z Lowellem Thomasem Juniorem, właścicielem Talkeetna Air Taxi. Thomas – wytworny, sześćdziesięcioczteroletni dżentelmen, były gubernator, porucznik Alaski i syn słynnego prezentera – nie znosi Geetinga tak bardzo, że nie chce nawet wymawiać jego nazwiska. Kiedy podczas rozmowy Thomas zmuszony jest odnieść się do swego młodszego rywala, mówi o nim „ten facet".

Jedyna okazja, podczas której piloci odkładają na bok wzajemne animozje, to coroczna parada w dniu pamięci poległych na polu chwały, kiedy to samoloty ze wszystkich czterech firm przelatują w ciasnym szyku nad cmentarzem w Talkeetna, skrzydło w skrzydło, by oddać cześć obywatelom miasta poległym na wojnie. To poruszający widok. Jednak nawet w tak podniosłej chwili Geeting i Okonek nie raczą odezwać się do siebie.

Ostra rywalizacja, która panuje obecnie w Talkeetna, zmusiła pilotów do poszukiwania klienteli poza tradycyjnym kręgiem wspinaczy, badaczy, myśliwych i górników. Geeting, na przykład, zawarł umowę z Departamentem Leśnictwa i przewozi w odległe zakątki gór Alaski niesforne niedźwiedzie grizzly. Podczas jednego z takich lotów nafaszerowany środkami odurzającymi pasażer wybudził się nieco za wcześnie i, dając wyraz swemu niezadowoleniu, podarł na strzępy niemal całą tapicerkę, nim Geeting zdążył wylądować i wypchnąć go na zewnątrz.

Spośród czterech właścicieli lotniczych firm transportowych w Talkeetna największą pomysłowością w pozyskiwaniu nowych klientów wykazał się Okonek. Całkiem niedawno przewiózł fotografa i stadko młodych dziewcząt do wąwozu Great Gorge na lodowcu Ruth, jednego z najbardziej spektakularnych fragmentów masywu McKinley, gdzie młode damy natychmiast rozebrały się do rosołu i pozowały na lodzie do zdjęć, które później stały się głównym elementem artykułu „Kobiety Alaski" zamieszczonego na łamach „Playboya".

– Jeśli chcesz przetrwać w tym biznesie, musisz być naprawdę zaradny – mówi Okonek. – Kiedy w mieście jest tylu pilotów, sami wspinacze nie wystarczą.

Oprócz niedźwiedzi i króliczków wszyscy piloci wożą teraz regularnie turystów, zwykłych urlopowiczów z Filadelfii i Des Moines, którzy chcą obejrzeć niezwykłe krajobrazy Alaski. Tego rodzaju loty stały się na tyle rutynowe, że zdaniem niektórych cyników latanie na lodowce jest już pozbawione niemal całkowicie elementu ryzyka oraz romantyzmu i nie różni się niczym od prowadzenia taksówki. Okonek, pułkownik sił powietrznych w stanie spoczynku, który pilotował niegdyś śmigłowce w Wietnamie, nie zgadza się z takim twierdzeniem i utrzymuje, że „to zajęcie dla najlepszych pilotów na świecie. Niedawno zadzwonił do mnie pilot Jacques'a Cousteau z pytaniem o pracę: najlepsi piloci transportowi z całego świata wyrażają zainteresowanie pracą w tym miejscu. Czasami zabieram nad lodowce pilotów pasażerskich linii lotniczych, którzy mają akurat przerwę w lotach – kontynuuje Okonek – facetów pilotujących boeingi 747 dla Swissair czy Qantas. Nie mogą wyjść z podziwu,

kiedy widzą, gdzie lądujemy i nad jakim terenem latamy. Latanie nad lodowcami wciąż stanowi ogromne wyzwanie. Piloci, którzy nie mają doświadczenia w górskich lotach, wybierają się nad Kahiltnę, żeby pooglądać widoki, i tracą orientację wśród tych olbrzymich szczytów. Nagle ich małym samolocikom brakuje mocy, oni sami nie mają pomysłu, co z tym zrobić, i rozbijają się na lodowcu. Widzimy to co roku".

Ale nie tylko niewprawni piloci amatorzy rozbijają swoje maszyny w górach Alaski. W 1981 roku doświadczony pilot z Talkeetna, Ed Homer, zabrał dwójkę przyjaciół na krótki popołudniowy lot wokół McKinley. Kiedy przelatywał nad Kahiltna Pass, nagły podmuch wiatru ściągnął go w dół, a jego cessna uderzyła w zbocze góry. Kiedy cztery dni później dotarła do nich ekipa ratunkowa, jeden z pasażerów już nie żył, drugi stracił przez odmrożenia obie dłonie, a Homer obie stopy.

– Czasami stąpamy po bardzo cienkiej linii – podkreśla Lowell Thomas. – Trzeba wiedzieć, gdy wychodzi się zbyt daleko poza tę linię. A zdarza się nieraz, zwykle gdy musimy lecieć na ratunek wspinaczom, którzy wpakowali się w kłopoty, że przekraczamy ją na wiele sposobów i robimy rzeczy naprawdę ekstremalnie niebezpieczne.

Geeting wykonał wyjątkowo dużo takich ekstremalnych lotów. Kilka lat temu pewien alpinista spadł z wysokości dwudziestu metrów do ukrytej szczeliny na Mount Foraker – drugiego co do wysokości szczytu Alaski (5304 metry n.p.m.) – i doznał poważnych obrażeń głowy. Po dwóch dniach burzowej pogody, która uniemożliwiała podjęcie akcji ratunkowej, lekarz przebywający na miejscu wypadku poinformował przez krótkofalówkę, że jeśli ofiara nie zostanie przewieziona do szpitala, wkrótce umrze.

– Pogoda była naprawdę fatalna – wspomina Geeting. – Zerowa widoczność od powierzchni lodowca aż do trzech tysięcy trzystu metrów. Ale lądowałem już wcześniej pod Forakerem i pamiętałem układ tamtejszych szczytów i grzbietów, więc postanowiłem spróbować.

Geeting zamierzał nadlecieć nad Forakera ponad chmurami, ustalić swoje położenie i zaplanować dokładnie zejście w gęstą jak zupa

mgłę.

– Zamierzałem lecieć równo przez jedną minutę – tłumaczy – potem zakręcić i lecieć znów przez minutę, i potem zakręcić jeszcze raz, i jeszcze raz lecieć przez minutę. Nie widziałem kompletnie nic, ale wierzyłem, że ten kurs naprowadzi mnie na miejsce i zamierzałem się go trzymać. Żeby mieć jakiś punkt odniesienia, poprosiłem, by ludzie na lodowcu krzyczeli do mnie przez radio za każdym razem, gdy usłyszą mój silnik.

Od momentu gdy zanurzył się w gęstych chmurach, Geeting musiał postawić wszystko na jedną kartę. Szczyty kryjące się we mgle nie zostawiały miejsca na najmniejszy choćby błąd: gdyby pilot zakończył skręt kilka sekund później albo poleciał kilka stopni za daleko na prawo lub na lewo, przy każdym kolejnym manewrze nieświadomie powiększałby błąd, aż w końcu samolot wleciałby prosto w jedno z lodowych zboczy z prędkością stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę.

– Leciałem w dół chmury, między górskimi ścianami – mówi Geeting – obserwując uważnie kompas, zegar i wysokościomierz, czekając, aż wspinacze wrzasną „Teraz!", kiedy przelecę nad nimi. Zakładałem, że wyląduję na dwóch tysiącach i stu trzydziestu metrach, więc kiedy wysokościomierz pokazał dwa dwieście osiemdziesiąt, wyrównałem, zwolniłem i zacząłem lądowanie. To było naprawdę przedziwne uczucie, bo w takiej mgle trudno powiedzieć, gdzie kończy się niebo, a zaczyna lodowiec. Nagle całkiem wytraciłem prędkość i pomyślałem „Cholera jasna!". Potem wyjrzałem za okno i zobaczyłem, jak ci wspinacze wybiegają z chmury i pędzą prosto do mnie. Siedziałem na lodowcu.

ROZDZIAŁ 6

Klub Denali

Nim wpuszczą cię na Mount McKinley, strażnicy leśni, którzy nadzorują wspinaczy w Parku Narodowym Denali, każą ci oglądać film i slajdy przedstawiające zagrożenia związane ze wspinaczką na najwyższą górę Ameryki Północnej, zupełnie jak wojskowi, którzy pokazują rekrutom wychodzącym na pierwszą przepustkę filmy z najgorszymi skutkami chorób wenerycznych. Dziesięciominutowy pokaz Denali składa się głównie z obrazów ogromnych lawin, namiotów zniszczonych przez śnieżyce, dłoni zdeformowanych straszliwymi odmrożeniami i groteskowo poskręcanych ciał wydobytych z olbrzymich szczelin. Podobnie jak wojskowe filmy o chorobach wenerycznych, prezentacja Denali jest wystarczająco drastyczna, by przyprawić nawet największych śmiałków o gęsią skórkę. Jako narzędzie propagujące rozsądne zachowanie wydaje się też równie nieskuteczne.

Weźmy, na przykład, przypadek Adriana Popovicha, znanego lepiej jako Adrian Rumun. Kilka lat temu Adrian – hałaśliwy dwudziestokilkulatek o przystojnej śniadej twarzy i wybuchowym charakterze – zdołał uciec ze swojej ojczyzny, jednego z posępniejszych satelitów Związku Radzieckiego, i dotrzeć na zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych. Wspinał się w Rumunii wystarczająco długo, by zrozumieć, że ma do tego talent, a po przybyciu do Stanów Zjednoczonych postanowił zająć się tym sportem na poważnie. Dlatego też większość czasu spędzał, wisząc na Skale w Seattle, dziesięciometrowej betonowej ścianie w głównym kampusie Uniwersytetu Waszyngtońskiego, gdzie całe roje młodych ludzi w kostiumach z lycry doskonalą przechwyty i wykonują pozorowane wejścia o stopniu trudności 5.13.

Adrian okazał się jednym z lepszych wspinaczy na Skale, co podsyciło jego ambicję: oświadczył, że wiosną 1986 wejdzie samotnie na McKinley i tym samym zostanie pierwszym Rumunem, który stanie na szczycie najwyższej góry Ameryki Północnej. Słysząc tę deklarację, cynicy zwrócili uwagę na fakt, że wyzwania stawiane przez McKinley różnią się nieco od tych, jakim można stawić czoło na najbardziej nawet skomplikowanych trasach Skały. Zauważyli też, że trudno mówić o „samotnym” wejściu w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdy w pobliżu znajduje się około trzystu ludzi, bo właśnie

tylu wspinaczy Adrian mógł spotkać na wybranej przez siebie trasie. Adrian nie zamierzał się jednak przejmować takimi małostkowymi uszczypliwościami.

Nie przejął się też szczególnie, gdy po przybyciu na Alaskę, podczas rejestracji swego wejścia, spotkał się z pewnym dobrodusznym strażnikiem leśnym Ralphem Moore'em, który sugerował, że próba wejścia na McKinley bez namiotu, łopaty i maszynki do topienia śniegu to czyste samobójstwo. Adrian nie posiadał żadnego z tych przedmiotów i nie zamierzał się w nie zaopatrzyć. Moore zaciekawił się, co Adrian będzie w takim razie pił przez najbliższe trzy tygodnie, bo tyle przeciętnie trwa wejście na McKinley. „Mam pieniądze – odparł Adrian, jakby to była najoczywistsza rzecz na świecie. – Będę kupował wodę od innych wspinaczy".

Adrian obejrzał pokaz makabrycznych slajdów; poinformowano go, że McKinley zabił więcej wspinaczy niż Eiger. Wyjaśniono mu również, że nim dotrze do połowy mierzącego 6194 metry szczytu, będzie musiał zmagać się z pogodą gorszą niż na biegunie północnym, z temperaturami rzędu czterdziestu stopni mrozu i wiatrami, które przez kilka dni, a nawet tygodni z rzędu wieją z prędkością od 130 do 160 kilometrów na godzinę. Otrzymał broszurkę, która ostrzegała między innymi, że na McKinley „połączone skutki chłodu, wiatru i wysokości mogą tworzyć jeden z najsurowszych klimatów na Ziemi". W reakcji na te wszystkie próby odwiedzenia go od ataku na szczyt Adrian powiedział strażnikom, żeby pilnowali swojego interesu.

Moore, który nie był władny zabronić Adrianowi wejścia na górę (i którego obowiązkiem było ratowanie Adriana lub sprowadzenie jego ciała, gdyby zaistniała któraś z tych konieczności), w końcu pogodził się z faktem, że nic nie przekona kąpanego w gorącej wodzie Rumuna, by porzucił swe plany. Jedyne, co mógł zrobić w tej sytuacji, to namówić kogoś, by pożyczył Adrianowi maszynkę i namiot, a potem mieć nadzieję, że dopisze mu szczęście.

I dopisało, przynajmniej na tyle, że Adrian nie zginął. Zdołał nawet dotrzeć na wysokość 5800 metrów i nie wpaść po drodze w żadną szczelinę ani niczego sobie odmrozić. Był jednak zbyt niecierpliwy, by odpowiednio się zaaklimatyzować, a do tego poważnie się odwodnił,

łamiąc tym samym dwie podstawowe zasady, które pozwalają przetrwać na takiej wysokości. Kiedy brnął samotnie przez śnieg na jednym z ostatnich zboczy, dysząc ciężko w rozrzedzonym, zimnym powietrzu, poczuł nagle coraz silniejsze zawroty głowy i nudności. Zaczął się zataczać i potykać, jakby był pijany.

Adrian doświadczał objawów związanych z początkiem obrzęku mózgu, będącego wynikiem zbyt szybkiego wejścia na zbyt dużą wysokość. Przerażony tym, co się z nim dzieje, coraz bardziej oszołomiony i coraz słabszy, zdołał się jakoś zwlec na wysokość 4360 metrów, gdzie wraz z innym niedoszłym zdobywcą – samotnym Japończykiem, który odmroził sobie stopy tak bardzo, że musiano mu amputować wszystkie palce u nóg – wsiadł na pokład samolotu pilotowanego przez Lowella Thomasa i został przewieziony do szpitala w Anchorage. Kiedy później wręczono mu rachunek za tę ryzykowną akcję ratowniczą, Adrian odmówił zapłaty, zostawiając go na głowie Służby Parku Narodowego.

Góra, która oficjalnie nosi imię dwudziestego piątego prezydenta USA (choć większość wspinaczy celowo nie używa tego określenia, preferując nazwę z języka atapasko – Denali), jest tak ogromna, że nie da się ogarnąć wyobraźnią; olbrzymi masyw McKinley, jedna z największych formacji lądowych na Ziemi, zajmuje ponad trzysta kilometrów kwadratowych powierzchni, a jego wierzchołek wznosi się ponad pięć kilometrów nad otaczające go doliny. Dla porównania, Mount Everest wyrasta tylko trzy tysiące sześćset metrów ponad równiny u jego podnóży.

Szczyt McKinley był obiektem wielu mniej i bardziej udanych wypraw, a po raz pierwszy został zdobyty w 1913 roku, gdy od północy weszła na niego grupa prowadzona przez Hudsona Stucka, archidiakona Yukon. Następne udane wejście miało miejsce dopiero dziewiętnaście lat później, ale w kolejnych dekadach do wielebnego Stucka dołączyło prawie pięć tysięcy ludzi. W tym czasie McKinley był świadkiem niezwykłych dokonań i gościł na swych zboczach wielu wybitnych wspinaczy.

W 1961 roku świetny włoski alpinista Ricardo Cassin poprowadził swój zespół w górę eleganckiego granitowego filara, który przecina

na pół południową ścianę góry. Było to osiągnięcie na tyle niezwykłe, że depeszę gratulacyjną wysłał do Cassiniego sam prezydent John Kennedy. W 1963 roku siedmiu bezczelnych studentów Harvardu wybrało trasę przez sam środek ponadczterokilometrowej, smaganej lawinami Ściany Wickershama, dokonując tym samym rzeczy tak śmiałej i głupiej zarazem, że do dziś nikt jej nie powtórzył. W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych McKinley odwiedzili tacy herosi alpinizmu, jak Reinhold Messner, Doug Scott, Dougal Haston czy Renato Casarotto, którzy pozostawili po sobie nowe, ambitne trasy.

Można śmiało założyć, że większość ludzi atakujących McKinley nie robi tego w poszukiwaniu samotności. Obecnie na szczyt prowadzi ponad dwadzieścia różnych tras, jednak większość wspinaczy wchodzi tam tylko jedną trasą, West Buttress (Zachodni Filar), wyznaczoną przez Bradforda Washburna w 1951 roku. W roku 1987 niemal siedmiuset spośród ośmiuset siedemnastu alpinistów zdobywających Denali korzystało z tej właśnie drogi. W szczycie sezonu wspinaczkowego, od maja do czerwca, gdy pobliskie ściany i grzbiety są niemal całkiem puste, tłumy wspinaczy obłażą Zachodni Filar niczym mrówki. Tak wielu ludzi korzysta z tej trasy, że jak pisze Jonathan Waterman w książce „Surviving Denali", na większych wysokościach, gdzie bardzo silne wiatry często zwiewają ze zboczy cały świeży śnieg, wspinacze „muszą bardzo ostrożnie wybierać śnieg do gotowania spośród brązowych stert odchodów… Na szczęście poniżej 4500 metrów śnieg zakrywa czasami fekalia, ciała, śmieci i pozostawiony na zboczu sprzęt".

Przeciętny wspinacz wydaje na wyprawę na Denali od 2000 do 3500 dolarów (kwota ta wzrasta do przedziału 3500–5000 dolarów, jeśli ktoś zechce skorzystać z pomocy zawodowego przewodnika, co robi około czterdziestu procent potencjalnych zdobywców McKinley) i poddaje się dobrowolnie niezwykle okrutnej karze, która trwa zwykle mniej więcej trzy tygodnie. Nie robi tego po to, by zjednoczyć się z naturą, lecz dlatego, że bardzo chce dołączyć najwyższy szczyt Ameryki Północnej do kolekcji swoich trofeów. Wspinając się w większej grupie po Zachodnim Filarze – najłatwiejszej drodze na szczyt – zwiększa prawdopodobieństwo wygranej do maksimum. Mimo to w większości sezonów McKinley pokonuje około połowy

wspinaczy. Czasami wygrywa znacznie większą przewagą. Na przykład w kwietniu i maju 1987 roku Służba Parku Narodowego zanotowała, iż sześciu spośród każdej siódemki alpinistów na Denali wróciła do domu pokonana. Jednym z nich byłem ja.

Zaczęło się całkiem nieźle. Kiedy przybyłem do Talkeetna, uświęconego tradycją punktu startowego wszystkich ekspedycji na McKinley, przypuszczałem, że będę musiał czekać trzy lub cztery dni na pogodę umożliwiającą lot, jak miało to miejsce podczas mojej ostatniej wizyty w górach Alaski, dwanaście lat wcześniej. Byłem więc mile zaskoczony, gdy już czternaście godzin po przyjeździe do miasteczka zostałem upchnięty w tylnej części kabiny małej czerwonej cessny pilotowanej przez asa przestworzy, Douga Geetinga. Czterdzieści minut później cały i zdrowy wysiadłem z samolotu w Międzynarodowym Porcie Lotniczym Kahiltna, czyli obok prowizorycznego pasa startowego wyżłobionego w śniegu na lodowcu Kahiltna. Dokładnie 4060 metrów ponad pasem startowym na błękitnym niebie lśnił wierzchołek McKinley. Dzieliły mnie od niego dwadzieścia cztery kilometry krętej, morderczej trasy.

Wyrwany nagle z bezpiecznego wnętrza pubu Fairview Inn w Talkeetna i przeniesiony w świat pionowych ścian granitu i potężnych lawin, przy których człowiek wydaje się tylko nic nieznaczącą drobiną, mogłem poczuć się nieco zagubiony, ale dzięki temu, że co piętnaście minut na niebie pojawiał się kolejny samolot z grupką pasażerów, a przy lotnisku z każdą chwilą rósł tłum wspinaczy, ten gwałtowny przeskok w nowe, niegościnne otoczenie nie był aż tak szokujący.

Nad pasem startowym Portu Lotniczego Kahiltna tkwiło już jakieś trzydzieści lub czterdzieści namiotów, dających schronienie armii wspinaczy, którzy pokrzykiwali na siebie w co najmniej pięciu różnych językach i próbowali uporządkować sprzęt oraz zapasy konieczne do wejścia na szczyt. Rob Stapleton – wysoki, posępny mężczyzna, wynajęty wspólnie przez pilotów z Talkeetna do utrzymywania choćby pozorów porządku w pobliżu Portu Lotniczego Kahiltna – kręcił tylko głową i wieszczył, że niektórzy spośród tych rozkrzyczanych alpinistów narobią sobie tylko kłopotów.

– Trudno uwierzyć – mówił – jaki burdel mają u siebie niektóre grupy, zanim tu przyjadą. Zbyt wielu z tych facetów wykorzystuje aż dziewięćdziesiąt procent swojej energii, a tylko dziesięć procent rozumu.

Ta zbiorowa energia, nawet jeśli skierowana w niewłaściwą stronę, była antidotum na monotonię wyczerpującej wędrówki z lotniska na niższe lodowce, liczące ponad tysiąc sto metrów przewyższenie, które większość grup pokonuje w ciągu tygodnia. Przyjechałem na Alaskę sam, wiedziałem jednak, że podczas długiej wspinaczki wcześniej czy później zostanę wchłonięty przez jedną z sympatycznych kolorowych grup, które brały udział w niekończącej się na pozór procesji wspinaczy obciążonych czterdziestokilogramowymi plecakami i drepczących wytrwale w górę zbocza (widok ten nieodparcie przywodził na myśl obrazki z okresu gorączki złota nad Klondike). W ciągu tego pierwszego tygodnia pogoda była dla nas bardzo łaskawa; nocą robiło się naprawdę mroźno i padał śnieg, ale dni były słoneczne.

Od czasu do czasu mijaliśmy grupy alpinistów, którzy zostali już pokonani przez górę i wracali na dół. Wszyscy ostrzegali nas przed piekielnie silnymi wiatrami i przeraźliwym zimnem, jakie czekały na nas powyżej poziomu 2250 metrów, ale my byliśmy święcie przekonani, że nim dotrzemy na tę wysokość, warunki zmienią się na lepsze. Nawet po spotkaniu z dwoma Szkotami, których towarzysz został właśnie przewieziony helikopterem do szpitala po upadku z wysokości dwustu czterdziestu metrów, oraz po krótkiej rozmowie z dwoma innymi alpinistami, którzy omal nie umarli na obrzęk mózgu – byli to doświadczeni himalaiści, Jugosłowianin i Polak – wspinacze wędrujący w górę nie tracili optymizmu.

Podczas rejestracji wspinaczy wybierających się na McKinley strażnicy leśni wymagają ze względów proceduralnych, by każda ekspedycja podała im oficjalną nazwę. Wyprawy, z którymi wspinałem się na Denali, wybrała nazwy takie jak Walking Heads (Chodzące głowy), Fat Rod (Gruba fujara) oraz Dick Danger and the Throbbing Members (Dick Danger i Pulsujące Członki). Gdy dotarłem do dużego obozu na wysokości 4360 metrów, którego wspinacze używają jako bazy wypadowej do ataku na wyższą część szczytu,

zrzuciłem plecak obok kilku Pulsujących Członków, którzy prowadzili właśnie gorącą dyskusję z innym wspinaczem.

– Powiem ci coś, ważniaku – parsknął pogardliwie ów niezrzeszony wspinacz. – Jak zrobisz to w moim kraju, postawią cię pod ścianą i zastrzelą!

Nie miałem pojęcia, czego dotyczy rozmowa, ale od razu rozpoznałem zniekształcony obcym akcentem głos, który słyszałem już wiele razy podczas podobnych dysput na Skale w Seattle: Adrian Rumun wrócił na McKinley. Pomyślałem, że facet naprawdę ma tupet: strażnicy leśni wciąż gotowali się ze złości na wspomnienie rachunku za akcję ratunkową, który pozostawił im do spłacenia.

Adrian miał jednak mnóstwo czasu, by przeanalizować przyczyny porażki sprzed roku, i nie chciał pod żadnym pozorem powtórzyć tego przykrego doświadczenia.

– Przez całą zimę myślę tylko o tym – tłumaczył. – To mnie doprowadza do szału.

Choć znów wybrał się na McKinley samotnie, tym razem zgromadził cały arsenał najnowocześniejszego sprzętu, między innymi nie jeden, ale dwa namioty, i wyniósł na 4360 metrów tyle jedzenia i paliwa, że w razie potrzeby mógł przebywać w górnej partii szczytu przez pełne dwa miesiące, co świadczyło o zupełnie nowym podejściu tego wspinacza do problemu aklimatyzacji.

Właściwie dwukrotnie dotarł już do wysokości 5800 metrów, jednak ze względu na niezbyt sprzyjające warunki podjął jedyną rozsądną decyzję i zawrócił.

– Powiem ci coś. – Nowy Adrian miał teraz w zwyczaju pouczać każdego, kto wpadł mu pod rękę. – To bardzo wielka góra. Popełnisz jeden mały błąd, a skopie ci tyłek.

Sądząc po tym, jak wyglądał obóz, większość ludzi po osiągnięciu 4360 metrów zaczynała w to wierzyć.

„Obóz” był w rzeczywistości prawdziwym miastem namiotów, liczącym od czterdziestu do stu dwudziestu ekspedycji (liczba ta zmieniała się z dnia na dzień). Rozciągał się na skraju pustego lodowego płaskowyżu. Po jednej stronie wznosiła się ściana granitu pokrytego częściowo śniegiem i błękitnym lodem, po drugiej zaś, kilkaset metrów od podnóża górnej części szczytu, płaskowyż

zamieniał się raptownie w pionowe urwisko mierzące tysiąc dwieście metrów wysokości.

Aby wiatr nie porwał ich namiotów i nie zrzucił w tę przepaść, wspinacze rozstawiają je w zagłębieniach otoczonych grubymi ścianami z lodowych bloków. Mury te upodabniają obóz do pola bitwy, jakby alpiniści spodziewali się w każdej chwili zmasowanego ostrzału artyleryjskiego. Przygotowanie tak ufortyfikowanego miejsca pod namiot wymaga ogromnego nakładu pracy, kiedy więc znalazłem opuszczone właśnie lokum w doskonałym stanie, natychmiast je zająłem, choć położone było w nie najlepszej okolicy, obok tłumnie uczęszczanej ścieżki prowadzącej do obozowej latryny. Rolę latryny pełnił w tym przypadku samotny tron ze sklejki, który wprawdzie zapewniał fantastyczny widok na okolicę, ale narażał jednocześnie delikatne części ciała użytkowników na działanie lodowatego wiatru o temperaturze sięgającej nieraz poniżej siedemdziesięciu stopni mrozu.

Po drugiej stronie obozu znajdowała się luksusowa dzielnica złożona z lodowych igloo, kopulastych, specjalnie wzmacnianych namiotów oraz ogrzewanych maszynkami namiotów Weather Port, w których mieściły się biura oraz mieszkanie doktora Petera H. Hacketta i jego personelu. Każdego lata, począwszy od 1982 roku, Hackett – szczupły, małomówny i wiecznie zmęczony lekarz wspinacz, który jest największym na świecie autorytetem w sprawach dotyczących chorób wysokościowych – urządza na wysokości 4360 metrów pracownię, by badać tajemnicze dolegliwości, które dręczą ludzi na dużych wysokościach. Przyjeżdża tutaj, bo, jak twierdzi, zawsze może być pewien, że znajdzie odpowiednią liczbę chorych wspinaczy. „Mnóstwo ludzi na McKinley nie ma pojęcia, w co się pakuje, wchodzi zbyt szybko i ma poważne problemy zdrowotne. Przed moim namiotem wciąż pojawiają się nowe króliki doświadczalne". Co najmniej tuzin tych królików doświadczalnych już by nie żył, gdyby nie zabiegi zespołu doktora Hacketta.

Hackett podkreśla, że „nigdy nie wykonujemy na pacjentach doświadczeń, których nie bylibyśmy gotowi wykonać na sobie". I rzeczywiście, w chwili gdy rozmawiałem z doktorem Hackettem, jego

współpracownik, Rob Roach, testował właśnie na sobie nowe, niebieskie lekarstwo na chorobę wysokościową. Sądząc po zielonym odcieniu skóry Roacha i niebieskich wymiocinach rozbryzganych na jego białych śniegowcach, nowy lek nie spełniał jeszcze pokładanych w nim nadziei.

Jak się później dowiedziałem, zespół Hacketta nie tylko nie otrzymywał żadnego wynagrodzenia za działalność ratowniczą – nie uzyskał żadnych funduszy w 1986 i 1987 roku – ale także pokrywał większość kosztów tego projektu badawczego z własnej kieszeni. Spytałem jednego z lekarzy, Howarda Donnera, dlaczego z własnej woli spędzają lato, harując w tak nieprzyjaznym ludziom miejscu.

– Cóż – stwierdził, trzęsąc się z zimna w lodowatym wietrze, zmagając się z nudnościami oraz bólem głowy i próbując jednocześnie naprawić zepsutą antenę radiową. – W pewnym sensie to dobra zabawa, choć bardzo specyficzna.

Często mówi się, że trasa na Zachodnim Filarze McKinley to właściwie nic więcej, jak długi spacer w śniegu. Do pewnego stopnia to prawda, ale prawdą również jest to, że jeśli, na przykład, przewrócisz się na własnych sznurówkach w nieodpowiednim momencie tego marszu, prawdopodobnie zginiesz. Na odcinku od 4880 do 5180 metrów wysokości trasa wiedzie szczytem ostrej jak nóż grani; po jednej jej stronie otwiera się przepaść o głębokości sześciuset, po drugiej – dziewięciuset metrów. Co więcej, nawet płaskie, niewinne na pozór obszary mogą być pocięte ukrytymi szczelinami, na tyle szerokimi, by połknąć w całości wielką ciężarówkę.

Oczywiście szczelina nie musi być wcale szeroka, by stanowiła śmiertelne zagrożenie. W lutym 1984 roku Naomi Uemura[16] – znany japoński wspinacz i polarnik – zniknął w połowie zejścia wkrótce po tym, jak dokonał pierwszego samotnego zimowego wejścia na McKinley. Uważa się powszechnie, że zginął w jednej ze stosunkowo niewielkich szczelin przecinających szeroki obszar między obozem na wysokości 4360 metrów a granią na 4880 metrach. Zeszłej wiosny świeżo poślubiona para z Denver omal nie zakończyła swego

miesiąca miodowego (który z sobie tylko wiadomych powodów postanowiła spędzić na McKinley) w jednej z takich rozpadlin lodowych.

Nowożeńcy – bo pod taką nazwą została oficjalnie zarejestrowana ekspedycja Ellie i Conrada Millerów – obozowali na 4360 metrach wraz z Adrianem Rumunem i trzema innymi ekspedycjami w zatłoczonym, kiepsko osłoniętym zagłębieniu, które sąsiadowało z moim namiotem. Szesnastego maja Millerowie weszli na 5240 metrów, by zostawić tam zapasy jedzenia i paliwa na późniejszy atak na szczyt. Wieczorem wracali do obozu na 4360 metrach, gdy Conrad, który ich prowadził, przebił się nagle przez cienką warstwę lodu i runął w dół, odbijając się jak piłka od ścian wąskiej, ale bardzo głębokiej szczeliny.

Zbocze nad szczeliną było dość strome, a siła upadku Conrada zwaliła z nóg Ellie i pociągnęła ją w stronę tej samej rozpadliny. Ułamek sekundy przed tym, jak również zniknęłaby w jej wnętrzu, Ellie zdołała wbić czekan w lód i zatrzymać ich oboje.

Zawieszony piętnaście metrów pod powierzchnią, w niebieskim półmroku szczeliny, Conrad dokonał najpierw szybkich oględzin swoich spodni, by sprawdzić, czy zwieracz wytrzymał (wytrzymał), potem upewnił się, czy nie złamał żadnej kości (nie złamał). Potem, korzystając z pomocy Ellie, która asekurowała go z góry, powoli wspiął się techniką frontalną na pionową ścianę szczeliny. Kiedy wrócił już na powierzchnię, był przekonany, że gdyby spadł na samo dno szczeliny, położone zapewne jeszcze kilkaset metrów niżej, „ostatnią rzeczą, jaką bym zobaczył, byłby zamarznięty trup Uemury".

Zarówno Conrad, trzydziestosześcioletni architekt, jak i Ellie, dwudziestoośmioletnia ekspedientka, byli głęboko wstrząśnięci tym przeżyciem, ale chcieli też za wszelką cenę wejść na szczyt McKinley. Osiemnastego maja – mimo że od wielu dni padał śnieg, a zapowiadano jeszcze większe śnieżyce – wrócili na 5240 metrów, by odzyskać pozostawione tam zapasy, poczekać na poprawę pogody, a potem wyjść na samą górę.

Jednak burza śnieżna, która tego dnia przybrała jeszcze na sile, okazała się znacznie groźniejsza i znacznie bardziej długotrwała niż

nowożeńcy przypuszczali. Temperatura na 5240 metrach spadła do minus pięćdziesięciu stopni, a potężne wichury niemal bez ustanku smagały górę przez ponad tydzień, obniżając temperaturę odczuwalną do wartości trzycyfrowych. W takich warunkach nie dało się nawet spać, nie mówiąc już o wspinaczce: przez większość tego czasu Ellie i Conrad leżeli w swoim namiocie, okryci wszystkimi dostępnymi ubraniami, i modlili się, by ich schronienie nie rozlazło się w szwach. (Krótko przed tym, jak nowożeńcy dotarli na 5240 metrów, właśnie taki los spotkał Oval Intention, jeden z najwytrzymalszych namiotów, który po prostu eksplodował w środku nocy, pozostawiając trójkę mieszkańców w bardzo nieciekawej sytuacji).

Wiatr, który smagał wyższą część szczytu, wyglądał przerażająco nawet z odległego o kilkaset metrów obozu na 4360 metrach. Gdy przycichał wiatr w obozie, słychać było znacznie głębszy, dzikszy, zawodzący ryk – przypominający odgłos startującej rakiety – który dobiegał z położonego wyżej grzbietu. Gdy burza dopiero się rozkręcała, większość spośród dwudziestu czy trzydziestu wspinaczy obozujących na 5240 metrach natychmiast wróciła do obozu poniżej, ale nie nowożeńcy.

Na początku pobytu na 5240 metrach Conrad i Ellie dostrzegli wejście do jaskini lodowej. Ellie przekonana, że znajdzie tam schronienie bezpieczniejsze niż to, które mógł zapewnić im namiot, poszła ją obejrzeć. Okazało się, że wydrążona w lodzie jaskinia ma kształt litery T, przy czym pięciometrowe wejście prowadziło do głównego poprzecznego tunelu o co najmniej dwa razy większej długości. Lodowa pieczara bez wątpienia lepiej chroniła przed burzą niż namiot, lecz krótka przechadzka po jej wnętrzu przekonała Ellie, że woli raczej zaryzykować i pozostać na zewnątrz.

Wnętrze jaskini, jak wspomina, „było nieprawdopodobnie ponure: ciemne, wilgotne i przyprawiające o klaustrofobię; po prostu odrażająca nora. Nie przeniosłabym się tam za żadne skarby".

Tunele miały tylko metr dwadzieścia wysokości, dno zaścielała warstwa śmieci, a ściany poplamione były uryną, wymiocinami i Bóg wie czym jeszcze. Najbardziej zatrważające były jednak istoty zamieszkujące ten mroczny podziemny świat.

– Było tam siedmiu albo ośmiu bardzo dziwnych facetów – mówi Ellie. – Siedzieli w tej jaskini od kilku dni i dawno już zjedli wszystkie zapasy. Po prostu siedzieli tam i trzęśli się z zimna, choć mieli na sobie wszystkie zapasowe ubrania; wdychali duszące opary z maszynki, śpiewali piosenki z telewizyjnych seriali i popadali w coraz większy obłęd. Uciekłam stamtąd najszybciej, jak mogłam.

Jak się okazało, jaskiniowcami byli członkowie dwóch różnych ekspedycji. Jedna z nich – trzech facetów z Flagstaff w stanie Arizona, którzy nazwali swą grupę Crack O'Noon – przebywała tam dopiero jeden dzień. Druga, zdecydowanie dziwniejsza, spędziła już w jaskini większość tygodnia. Tak się złożyło, że był to sam Dick Danger i Pulsujące Członki.

Dick i Członki – czyli Michael Dagon, Greg Siewers, Jeff Yates i Stephen „Este" Parker – byli czwórką twardych, aroganckich i bezczelnych dwudziesto- i trzydziestokilkulatków z Alaski. Mieli bardzo skromne doświadczenie wspinaczkowe, ale poczynili staranne przygotowania i gotowi byli zdobyć szczyt McKinley niemal za wszelką cenę. Dagon – sam Dick Danger – zrezygnował na rok ze spożywania czerwonego mięsa i alkoholu, by przygotować się do tej wyprawy, a do tego trenował i opracowywał plany wspinaczki tak obsesyjnie, że opuściła go żona.

Członki dotarły na 4360 metrów dziewiątego maja. Dzień później Yates zapadł na obrzęk płuc – był to dość łagodny przypadek, ale tak czy inaczej wiązał się z paskudnym charczeniem, rzężeniem i potencjalnym zagrożeniem życia. Większość wspinaczy natychmiast by się wycofała, ale Członki zostawiły Yatesa na dzień w obozie na 4360 metrów, by się wykurował, same zaś wyniosły zapasy na 4880 metrów i powróciły na noc do obozu. Następnego ranka, uznawszy wspólnie, że stan Yatesa się nie pogarsza, wszyscy czterej ruszyli na ostrą jak brzytwa grań, by rozbić obóz i przygotować się do ostatecznego ataku na szczyt.

Trzynastego maja Członki dotarły na 5240 metrów i zamieszkały w namiotach otoczonych mizernym murem, obok nieco lepiej osłoniętych namiotów kilku innych ekspedycji, wśród których była również grupa pracowników Służby Parku Narodowego, prowadzona

przez Scotta Gilla, grupa kierowana przez doświadczonego alaskijskiego przewodnika Briana Okonka, oraz przebywający na wakacjach członkowie policyjnej jednostki specjalnej z Montrealu. W tym czasie Członki miały zapasy jedzenia na trzy, może cztery dni. Tymczasem osiemnastego maja wciąż szalała śnieżyca, a po zapasach pozostało już niemal tylko wspomnienie.

Jakby tego było mało, po południu strażnik leśny Gill otrzymał przez radio informację, że za kilka godzin w górną część szczytu uderzy jeszcze paskudniejszy front burzowy. Kiedy inny rozmówca spytał przez radio, jak paskudny będzie ów front, osoba przekazująca prognozę odparła z makabrycznym chichotem, że „dość paskudny, by zabić wszystkich powyżej 4600 metrów".

– Nagle wszyscy stwierdzili, że może lepiej będzie jednak, jak się stamtąd wyniesiemy – opowiada Yates. – Pozostałe zespoły od razu zaczęły schodzić, ale my pakowaliśmy się przez całe trzy godziny i zanim ruszyliśmy w drogę, burza rozpętała się na dobre. Od razu zgubiliśmy drogę. Wiało tak okropnie, że ktoś z ostatniej grupy, która opuściła obóz przed nami, musiał zostawić plecak, żeby iść dalej. Zanim przeszliśmy dwie długości liny, wiedzieliśmy już, że nie damy rady, więc wróciliśmy na 5240 metrów".

W tym momencie, jak ujął to Dagon, „zrozumieliśmy, że siedzimy po same uszy w gównie". Ponownie rozbili namioty i przymocowali je do lodu szablami śnieżnymi oraz skomplikowaną siecią splecioną z lin, obawiali się jednak, że przybierający na sile wiatr i tak ściągnie je z grzbietu. Właśnie wtedy Brian Okonek, który czuł się bezpieczny za swoim lodowym murem, powiedział im o lodowej jaskini. Zbudował ją podczas paskudnej śnieżycy w 1983 roku – ocaliła wtedy życie osiemnastu wspinaczy.

W ciągu kilku następnych lat śnieg zasypał wejście do jaskini Okonka, a Członki, wspierane przez inną ekspedycję o nazwie 5150, potrzebowały aż sześciu godzin – w tym czasie wszyscy czterej odmrozili sobie palce u rąk i nóg – by ją odkopać. Kiedy jednak weszli już do środka, dziwnie polubili jaskiniowe życie: pomimo odmrożeń i braku jedzenia postanowili przeczekać w niej burzę śnieżną i ruszyć potem na szczyt.

Tymczasem życie na wysokości 4360 metrów, choć zdecydowanie łatwiejsze i przyjemniejsze niż 880 metrów wyżej, również nie było pozbawione pewnych trudności. Uwięzieni w obozie, ale nie gnębieni przez szalejącą powyżej śnieżycę, początkowo spędzaliśmy czas na różne przyjemne sposoby – puszczaliśmy latawce, jeździliśmy na nartach po zboczach tuż nad obozem, ćwiczyliśmy wspinaczkę na pobliskich serakach. Jednak w miarę jak śnieżyca się przeciągała – a jedzenia, paliwa i energii było coraz mniej – zaczęła nas dręczyć coraz cięższa depresja.

Kiedy za pośrednictwem radia z namiotu medycznego otrzymaliśmy wiadomość, że pięciu powszechnie lubianych wspinaczy zginęło w lawinach na pobliskich szczytach Mount Foraker i Mount Hunter, przygnębienie jeszcze się pogłębiło. Ludzie całymi dniami siedzieli w namiotach, drżąc z zimna i kłócąc się o głupstwa, a wychodzili na zewnątrz tylko wtedy, gdy musieli odwiedzić latrynę lub odgrzebać namiot spod śniegu.

– To ty chciałeś przyjechać na tę pierdoloną górę – narzekał jeden ze wspinaczy w sąsiednim namiocie. – Od początku mówiłem, że powinniśmy się wspinać w Yosemite!

Im dłużej czekaliśmy na zmianę pogody, tym bardziej nasilał się handel różnymi niezbędnymi towarami. Ekspedycje obficie zaopatrzone w tak cenne dobra, jak papier toaletowy, papierosy, diamox (środek zapobiegający chorobie wysokościowej) albo batony Tiger's Milk, dorabiały się na coraz korzystniejszym kursie wymiany. Musiałem oddać całe trzydzieści dekagramów sera Tillamook w zamian za trzy tabletki diamoksu. Adrian, który miał godne pozazdroszczenia zapasy żywności, mógł nieco rozproszyć dokuczliwą nudę, wypożyczając walkmana od pewnego głodnego Kanadyjczyka za śmiesznie niską opłatę równą jednemu batonowi Pemmikana dziennie.

W tych mrocznych dniach zacząłem postrzegać zeszłoroczne fiasko Adriana w nieco innym, bardziej życzliwym świetle. Musiałem przyznać, że podczas tej mojej pierwszej wyprawy na Denali i ja nie doceniłem tej góry. Wcześniej wysłuchałem ostrzeżeń strażników leśnych; słyszałem, jak niezwykle doświadczony alpinista, Peter Habeler, oświadczył, że śnieżyce na McKinley „to jedne z

najgorszych, jakie kiedykolwiek przeżył". Wiedziałem, że kiedy Dougal Haston i Doug Scott stanęli na szczycie McKinley zaledwie pół roku po zdobyciu Mount Everest, Haston stwierdził, że musieli wykorzystać „całe doświadczenie z Himalajów, by przetrwać". A mimo to, podobnie jak Adrian w 1986 roku, jakoś nie mogłem w to uwierzyć. Znalazło to odbicie w oszczędnościach, które poczyniłem, przygotowując się do tej wyprawy; przywiozłem dziesięcioletni śpiwór i namiot kupiony na wyprzedaży, a do tego nie zabrałem kurtki puchowej, overbootów, piły do lodu i śnieżnych szabel. Założyłem, że trasa na Zachodnim Filarze będzie szeroka i płaska jak polna droga; bo jak trudne może być wejście na szczyt, który corocznie zdobywa trzystu wspinaczy?

Okazało się, że bardzo trudne, przynajmniej dla takich wspinaczy jak ja. Czułem się fatalnie i byłem bliski załamania. Mój namiot zaczął się rozpadać, nawet w stosunkowo spokojnych warunkach panujących na 4360 metrach. Nieustępliwy ziąb sprawiał, że wargi i czubki palców pękały i krwawiły. Wciąż miałem zmarznięte stopy. Nocą, nawet jeśli włożyłem wszystkie ubrania, nie mogłem powstrzymać gwałtownych dreszczy. Para wypływająca z moich ust osiadała we wnętrzu namiotu i tworzyła coraz grubszą warstwę szronu, który przy każdym podmuchu wiatru opadał na mnie niczym świeży śnieg. Wszystko, czego nie włożyłem do śpiwora – aparat, filtr przeciwsłoneczny, butelki z wodą, maszynka – zamieniało się w bezużyteczne bryły lodu. Prawdę mówiąc, moja maszynka zepsuła się z zimna na samym początku wyprawy. Gdyby nie pewien dobry człowiek, niejaki Brian Sullivan, który ulitował się nade mną i pożyczył mi swoją zapasową maszynkę, byłbym – jak ujął to dobitnie Dick Danger – tkwił po uszy w gównie.

Śnieżyca osiągnęła nowy poziom natężenia rankiem dwudziestego pierwszego maja. Jednak tego samego wieczoru – wbrew prognozom wieszczącym silny wiatr i opady śniegu przez kolejnych pięć dni – niebo się wypogodziło, a wiatr ucichł. Następnego ranka było trzydzieści stopni mrozu, a nad wierzchołkiem Forakera pojawiło się ponownie kilka małych chmur soczewkowatych, poza tym jednak było całkiem spokojnie, spakowałem więc trochę lekkiego sprzętu i dołączyłem do silnej pięcioosobowej grupy, która zamierzała w ciągu

jednego dnia pokonać tysiąc osiemset metrów i wspiąć się na wierzchołek (prowadził ją Tom Hargis, himalajski weteran, który w 1986 dokonał drugiego w historii wejścia na osławiony szczyt Gaszerbrum IV). Kiedy wychodziłem z obozu, Adrian spojrzał na niebo, zachichotał i wrzasnął:

– Powodzenia, stary! Będziesz go potrzebował! Może znajdę cię później na górze, zamarzniętego jak rybę!

Nim dwie godziny po wyjściu dotarliśmy na początek ostrej grani, na wysokość 4940 metrów, wiatr wiał już z prędkością 37 kilometrów na godzinę, a chmury ponownie przesłaniały słońce. Na wysokości 5200 metrów szliśmy już w szalejącej śnieżycy, w zerowej widoczności i wietrze o prędkości 74 kilometrów na godzinę, który w kilka sekund zamrażał odsłoniętą skórę. W tym momencie Hargis, który prowadził całą grupę, odwrócił się bez słowa i ruszył w dół. Nikt nie kwestionował jego decyzji. Po udanych wejściach na Everest i Gaszerbrum IV Hargis najwyraźniej nie miał ochoty zginąć na Denali.

Gdy dwudziestego drugiego maja śnieżyca wróciła na dobre, nowożeńcy w końcu dali za wygraną. Po południu dotarli do obozu na 4360 metrach. Byli kompletnie wyczerpani, ale przynieśli zdumiewające wiadomości: dziwni faceci z jaskini weszli na szczyt.

Pozostałe grupy, jedna po drugiej, opuszczały ufortyfikowane obozowiska na 5240 metrach, ale Dick i Członki trwali na swoich pozycjach. Dalsze prace wykopaliskowe w jaskini zaowocowały odkryciem zapasów żywności – wiekowej, lecz jadalnej owsianki, odrobiny czekolady, puszki tuńczyka oraz puszki wędzonego śledzia – które pozwoliły im utrzymać się przy życiu. Kiedy ich maszynka zaczęła się psuć, żebrali o wodę u swoich współlokatorów, ekspedycji 5150.

Grupa 5150 składała się z czterech Alaskanów, którzy zaczerpnęli tę nazwę ze stanowego kodeksu karnego (miejscowi policjanci określają tą liczbą „ludzi chorych na umyśle”), inspirowani regularnymi inhalacjami Matanuska Thunderfuck, legendarnej odmiany Cannabis sativa uprawianej w czterdziestym dziewiątym stanie. Ekipa 5150 chwaliła się, że pomiędzy Międzynarodowym

Portem Lotniczym Kahiltna a obozowiskiem na wysokości 5240 metrów wypaliła ponad sto jointów z tym słynnym zielskiem. Jednak nawet ta potężna chemiczna zapora nie była w stanie uchronić jednego z członków ekipy przed poważnym wyziębieniem, któremu uległ już po pierwszym dniu pobytu w lodowej jaskini. Jego towarzysze próbowali przywrócić go do zdrowia, zwiększając codzienną dawkę.

– Właściwie to było żałosne – wspomina Mike Dagon. – Powtarzali mu ciągle: „Wyniosło cię tutaj, wyniesie cię do samego końca". Ale kiedy po dwóch dniach pobytu w jaskini facet wciąż nie doszedł do siebie, chłopaki z 5150 w końcu sobie odpuścili i wrócili na dół.

Rozstanie z 5150 i ich działającą maszynką mogło mieć tragiczne konsekwencje dla Członków, ale gdy tylko ekipa 5150 opuściła jaskinię, ich miejsce zajęli wspinacze z grupy Crack o'Noon Club. Okazało się, że oni również mają sprawną maszynkę i równie chętnie dzielą się pozyskiwaną na niej wodą.

– Poranki w jaskini były naprawdę przygnębiające – przyznaje Dagon. – Budziłeś się obok jakiegoś faceta, który chrapał ci prosto w twarz, nie miałeś nic do jedzenia i wiedziałeś, że przez cały dzień będziesz siedział w lodowej dziurze i gapił się na kilku innych facetów. Ale znosiliśmy to naprawdę całkiem nieźle. Wymyślaliśmy różne gry albo gadaliśmy o tym, co zjemy po zejściu do miasta, a Este uczył nas piosenek z seriali takich jak „Gilligan's Island" albo „I Dream of Jeannie".

Wieczorem dwudziestego pierwszego maja śnieżyca nagle ustała. Dick i Członki mieli liczne odmrożenia, byli poważnie odwodnieni, niedożywieni i osłabieni, cierpieli też na nudności wywołane wdychaniem tlenku węgla wytwarzanego przez maszynkę gazową. Należeli jednak do tej szkoły alpinizmu, która kieruje się dewizą „bez bólu nie ma chwały", i podejrzewali, że na następny okres dobrej pogody przyjdzie im czekać co najmniej kilka dni, a może tygodni. Postanowili zignorować dręczące ich słabości i wszyscy prócz Grega Siewersa – jedynego doświadczonego wspinacza w całej grupie – zmobilizowali się do ataku na szczyt. O wpół do dziesiątej wieczorem w towarzystwie Crack o'Noon Club wypełzli ze swojej lodowej nory i ruszyli w górę.

Członki posuwały się nieznośnie powoli w mroźnym nocnym powietrzu, a trójka z grupy Crack o'Noon wkrótce zostawiła ich z tyłu. Na wysokości 5640 metrów, tuż po północy, jedno z urządzeń zaciskowych Dagona zepsuło się, gdy próbował przypiąć je do liny zamocowanej na zboczu. Kiedy Dagon zdjął rękawicę, by naprawić urządzenie, zwiał ją wiatr. Kilka minut później Yates poczuł szarpnięcie liny i się odwrócił.

– Mike powiedział mi, że zimno mu w rękę – opowiada Yates. – Spojrzałem w dół i zobaczyłem, że nie ma rękawicy, ale on chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. Nie wiem, jak długo się bez niej obywał, ale wyglądało to naprawdę nieciekawie. Natychmiast wziąłem go za rękę i wsunąłem ją pod kurtkę.

Kiedy dłoń Dagona już się rozgrzała, podano mu zapasową rękawicę, a Członki wspinały się na w górę aż do piątej trzydzieści nad ranem, kiedy to dotarły do podnóża ostatniej ściany na wysokości 5790 metrów. Tutaj musiały zatrzymać się ponownie, tym razem na całą godzinę, by ogrzać dłonie i stopy Dagona na brzuchu Yatesa i Parkera.

– Este powiedział Mike'owi, że się wychłodzi i powinniśmy zejść – kontynuuje Yates. – Ale Mike nie chciał o tym słyszeć, wziął się w garść i znalazł w sobie dość sił, żeby wspiąć się na ostatnich trzysta metrów.

Kiedy zbliżali się do szczytu, widzieli smukłe szczyty Mount Huntington i Mooses Tooth wyrastające z grubej warstwy chmur, które okrywały lodowiec Ruth, położony cztery kilometry niżej.

– Wiedziałem w pewien abstrakcyjny, oderwany sposób, że to piękny widok – tłumaczy Yates – ale nie mogłem wykrzesać w sobie ani odrobiny zachwytu. Nie spałem przez całą noc, czułem się kompletnie wykończony. Byłem po prostu zbyt zmęczony.

O godzinie dziewiątej dwadzieścia rano, dwudziestego drugiego maja 1987 roku, Członki stanęły w końcu na wierzchołku McKinley. Jak opisuje Mike Dagon, najwyższy szczyt Ameryki składa się z „trzech niewielkich wybrzuszeń na zaokrąglonym grzbiecie, przy czym jedno wybrzuszenie wznosi się nieco wyżej niż pozostałe. To wszystko. Byłem ogromnie rozczarowany. Spodziewałem się pewnie fajerwerków i niebiańskiej muzyki albo czegoś w tym rodzaju, ale

tam nie było niczego takiego. Gdy tylko weszliśmy na szczyt, zawróciliśmy i ruszyliśmy w dół".

Kilka minut po tym, jak Członki weszły na szczyt, warstwa chmur, która wisiała wcześniej nad Ruth, wspięła się cztery kilometry wyżej, do samego wierzchołka góry; szesnastogodzinne okienko dobrej pogody ponownie się zamknęło. Przez kolejnych sześć godzin schodzili w gęstej mgle do wysokości 5240 metrów. Tylko szlak bambusowych tyczek, rozstawionych w śniegu, w odległościach równych długości liny, pozwolił Członkom trafić z powrotem do jaskini. Dokonali tego po osiemnastu godzinach nieprzerwanej wędrówki. Przez następne dwa dni siedzieli w jaskini, bez jedzenia, uwięzieni przez niesprzyjającą pogodę. Dwudziestego czwartego maja zdołali w końcu zejść na wysokość 4080 metrów, gdzie Rob Roach i Howard Donner przez kilka godzin opatrywali w namiocie medycznym ich odmrożone kończyny.

Pokazując, co można osiągnąć dzięki determinacji i wysokiemu progowi bólu, Członki – jedna z kilku zaledwie ekspedycji, która dotarła na szczyt w maju – powinny były zainspirować całą resztę grupy przebywającej na czterech tysiącach metrów do zaciśnięcia zębów i podjęcia bardziej zdecydowanych prób wejścia na szczyt. Jednak w tym czasie kończyły mi się już ciasteczka z figami, a do tego miałem ogromną ochotę na coś mocniejszego niż woda z roztopionego śniegu. Dwudziestego szóstego maja spakowałem namiot, przypiąłem narty i pożegnałem się ze swoimi towarzyszami.

Gdy zakładałem plecak, Adrian spoglądał tęsknie na południe, w stronę Talkeetny, i mamrotał coś o tym, że nie wygląda, by pogoda miała się wkrótce poprawić.

– Może najlepiej byłoby… – rozmyślał głośno – gdybym zszedł z tobą, a spróbował zdobyć McKinley w przyszłym roku.

Jednak chwilę później spojrzał ponownie na szczyt i zacisnął zęby. Kiedy szusowałem w dół lodowca, Adrian wciąż tam stał i wyobrażał sobie zapewne wspaniałości czekające pierwszego Rumuna, który zdobył McKinley[17].

[16] Do dokonań Uemury można zaliczyć pierwsze solowe wejście na Denali, pierwsze samodzielne spłynięcie Amazonką i pierwsze indywidualne zdobycie bieguna północnego. Ostatnie zdanie dziennika znalezionego na wysokości 4300 m, który Uemura prowadził podczas wyprawy w 1984 roku, brzmi: „Chciałbym zasnąć w ciepłym śpiworze. Bez względu na wszystko zdobędę McKinley".

[17] Adrian Rumun w rzeczywistości zdobył Denali, i to kilkakrotnie. Jak podaje Paul Asel, „jego umiejętności znacznie się poprawiły od czasu spotkania z Krakauerem".

ROZDZIAŁ 7

Chamonix

Jest dopiero wrzesień, ale wiatr smagający wąskie uliczki Chamonix pachnie już zimą. Każdej nocy linia śniegu niczym skraj halki przesuwa się w dół potężnych granitowych bioder Mont Blanc, w stronę szarych dachów i kościelnych wież pokrywających dno doliny. Trzy tygodnie temu uliczne kawiarnie wzdłuż Avenue Michel Croz były wypełnione urlopowiczami, którzy sączyli nieprzyzwoicie drogi citron i wyciągali szyje, by oglądać słynną panoramę, skalne miasto, sięgające trzy kilometry ponad ich stoliki i lśniące niczym fatamorgana w sierpniowej mgiełce. Teraz większość tych samych kawiarni jest pusta, opustoszały również hotele, w tętniących niedawno życiem bistrach panuje cisza. Dlatego też, kiedy kilka minut przed północą przechadzam się ulicami Chamonix i widzę kolejkę przed wejściem do Choucas, nocnego klubu w pobliżu centrum miasta, jestem zdumiony tym widokiem. Zaintrygowany, staję na końcu kolejki.

Dwadzieścia minut później, gdy jestem już w środku, okazuje się, że są tam tylko miejsca stojące. Elvis Costello dudni z głośników z siłą, która wprawia w drżenie szklanki z piwem, a wnętrze baru zasnute jest gęstym dymem Gitanes. Młodzieżowa klientela, śmiała i skupiona na sobie, przywodzi na myśl szekspirowski opis „pewnych siebie i hałaśliwych Francuzów". Nikt nie tańczy, zaskakująco mało ludzi w ogóle się rusza, prawie nikt też nie rozmawia. Wkrótce domyślam się, że klienci Choucas przychodzą tu wyłącznie dla filmów: wszyscy wpatrują się jak urzeczeni w kilka olbrzymich ekranów rozstawionych w klubie.

Film, który właśnie hipnotyzuje widzów, przedstawia popularną we Francji rozrywkę zwaną bungee jumping. Wysoka, piękna blondynka, niejaka Isabelle Patissier, wzleciała kilkaset metrów nad ziemię w balonie napełnionym ciepłym powietrzem. Jeden koniec trzydziestometrowej elastycznej liny przymocowany jest do kosza balonu, drugi obwiązany wokół kostek Francuzki. Patissier – jedna z najlepszych wspinaczek skałkowych na świecie i kobieta, której z pewnością nie można nazwać mimozą – spokojnie sfruwa z krawędzi kosza prosto w otchłań. Pędzi w stronę ziemi w przerażającym tempie, ale elastyczna lina skutecznie wyhamowuje upadek. Patissier nie może jednak wspiąć się po niej z powrotem do balonu i wisi

głową w dół, kołysana wiatrem. Aby jakoś ratować sytuację, pilot balonu próbuje awaryjnie lądować, ale wplątuje przy tym linę bungee w kable wysokiego napięcia, omal nie zabijając przy tym Patissier, która nadal wisi bezradnie głową w dół. Jakby tego było mało, lina zaczyna się palić.

Patissier zostaje w końcu wyrwana z paszczy śmierci, nim jednak ktokolwiek z klientów baru zdąży odetchnąć, na ekranach pojawia się kolejny, równe wciągający film. Tym razem przedstawia on Christophe'a Profita, który wspina się samotnie na Walker Spur, Eiger Wand i północną ścianę Matterhorn, wszystko to w ciągu jednego zimowego dnia. Tego typu rozrywka trwa aż do zamknięcia klubu, a kolejne filmy pokazują tak różnorodne zajęcia, jak chodzenie po skrzydle samolotu, skoki spadochronowe bez ubrań, surfowanie na wielkich falach, szalony zjazd na mononarcie po stoku z pumeksu, niebezpieczne akrobacje na motocyklu. Tym, co łączy wszystkie te wyczyny, jest śmiertelne ryzyko: im gorzej wygląda sytuacja na ekranie, tym większe zainteresowanie tłumu. Najpopularniejszym spośród wszystkich filmów pokazywanych w klubie jest czterdziestopięciominutowa kompilacja wypadków śmiertelnych z wyścigów samochodowych, makabryczne obrazy miażdżonych, rozdzieranych, palonych żywcem kierowców i widzów – dla większej uciechy publiczności obrazy te są powiększane i pokazywane w zwolnionym tempie.

W pewnym momencie obsługa ma drobne kłopoty z odtwarzaczem wideo, obraz znika z ekranów, a ja rozmawiam z młodym Francuzem z pobliskiego miasta Annecy. Patrick ubrany jest w kwiaciaste spodnie plażowe sięgające połowy łydki i nieco za dużą bluzę sportową z Batmanem, a do tego – choć słońce zaszło jakieś sześć godzin wcześniej i obaj stoimy w mrocznym wnętrzu klubu – nosi ciemne okulary w różowych oprawkach. Z typową galijską skromnością oświadcza, że jest zarówno świetnym pilotem parapente, jak i „znakomitym" wspinaczem skałkowym. Odpowiadam, że ja również jestem wspinaczem i jestem zadowolony z jakości tras, po których przeszedłem do tej pory w Chamonix. Korzystam też z okazji, by samemu trochę się pochwalić, i mówię Patrickowi, że szczególnie podobała mi się trasa, którą przeszedłem

poprzedniego dnia – oznaczona jako *extremement difficile* w przewodniku Vallot – wiodąca na szczyt smukłej, niezwykle stromej iglicy zwanej Grand Capucin.

– Capucin? – Patrick kiwa z podziwem głową. – Chyba niełatwo zlecieć stamtąd na parapente, prawda?

– Nie, nie – prostuję szybko i wyjaśniam, że po prostu wszedłem na ten szczyt i nie zlatywałem z niej.

– Nie? – zdumiewa się ponownie Patrick. – Cóż, solowe wejście na Kapucyna to też nie byle co.

Tłumaczę nieśmiało, że nie wchodziłem samotnie; robiłem to z liną i partnerem.

– Nie wszedłeś sam i nie zleciałeś stamtąd? – pyta z niedowierzaniem Francuz. – Czy takie przeżycie nie wydawało ci się, jak wy to mówicie po angielsku, banalne?

Później dowiedziałem się, że Choucas to najmodniejsze bistro w Chamonix. Był to nie lada komplement, bo Chamonix, choć liczące oficjalnie niecałe jedenaście tysięcy mieszkańców, od dwóch wieków jest najmodniejszym celem pielgrzymek społeczności wspinaczkowej na Starym Kontynencie, a może i na całej planecie – i to nie tylko zdaniem zamieszkujących je ludzi. Chamonix to coś więcej niż Aspen Alp; to miejsce narodzin *haute chic*. Gdy Yvon Chouinard chciał ustanowić przyczółek swojej firmy po drugiej stronie Atlantyku, nieprzypadkowo otworzył pierwszy europejski sklep „Patagonii" właśnie w centrum Chamonix.

Samo Chamonix jest zbyt gęsto zabudowane i niezbyt urokliwe według europejskich standardów architektonicznych. Jest tutaj zbyt wielu turystów, zbyt wiele ogromnych betonowych szkaradzieństw i zdecydowanie zbyt wiele samochodów, których nie ma gdzie upchać. Mimo to zostało tu wystarczająco dużo charakterystycznych elementów Starego Świata, krętych brukowanych uliczek i starych domów o grubych murach, by nawet najpiękniejszy amerykański ośrodek narciarski wyglądał w porównaniu z tym miejscem jak park rozrywki udający Bawarię. Miasteczko leży w ciasnej, klaustrofobicznie wąskiej dolinie rzeki Arve, zaledwie trzynaście kilometrów od miejsca, gdzie zbiegają się granice Włoch, Szwajcarii i

Francji. Od północy górują nad nim mierzące ponad dwa tysiące siedemset metrów szczyty Aiguilles Rouge, od południa zaś potężny masyw Mont Blanc (4810 metrów n.p.m.). Wierzchołek najwyższej góry w zachodniej Europie znajduje się tak blisko Chamonix, że paralotniarze, którzy startują z jej wierzchołka, lądują niemal w samym centrum miasta.

Popularność eklektycznych obrazów pokazywanych w Choucas nie jest szczególnie zaskakująca; miasto żyje przecież z ekstremalnie niebezpiecznych sportów. Amerykański alpinista Marc Twight – który mieszka tu, z krótkimi przerwami, od pięciu lat – stwierdza z sympatią i tylko odrobiną ironii, że Chamonix to nic innego jak „światowa stolica sportów śmierci". Ogromny billboard witający turystów wjeżdżających do Chamonix główną drogą z Włoch głosi, że dotarli właśnie do Capitale Mondiale du Ski et Alpinisme – światowej stolicy narciarstwa i alpinizmu. Trzeba przyznać, że wcale nie jest to przesada, bo w Chamonix i Chamoniards gości często światowa czołówka alpinistów i narciarzy. Jednak w szalonej, napompowanej adrenaliną atmosferze ostatniej dekady określenie wymyślone przez Twighta wydaje się wyjątkowo trafne. Starannie wyprasowane pumpy i klasyczne przewodnickie swetry z dawnych lat zostały zastąpione kolorowymi kostiumami z lycry i goreteksu, a tradycyjny alpinizm zamienił się w całą grupę emocjonujących sportów alpejskich, które doktorowi Paccardowi wydałyby się zupełnie obce.

Doktor Michel-Gabriel Paccard, jak zapewne pamiętacie, „wynalazł" sport zwany wspinaczką wysokogórską ósmego sierpnia 1786 roku, kiedy to jako pierwszy człowiek w historii wszedł na szczyt Mont Blanc, w towarzystwie miejscowego myśliwego, Jacques'a Balmata. Opisując tę przygodę, Balmat mówił: „Moje oczy były czerwone, twarz czarna, a wargi sine. Gdy tylko się śmiałem lub ziewałem, z warg i policzków tryskała krew, a dodatku byłem na wpół ślepy". Za nieoceniony wkład w budowę przyszłych podstaw ekonomicznych miasteczka dwaj pierwsi alpiniści otrzymali nagrodę pieniężną o równowartości sześćdziesięciu dolarów amerykańskich. Ponadto plac w centrum Chamonix nosi nazwę Place Balmat, a główna ulica to Rue du Dr. Paccard – to właśnie przy tej arterii dwa wieki później

można znaleźć nie tylko klub Choucas i nowy oddział sieci Patagonia, ale i sklepy sprzedające praktycznie wszystko, czego możemy potrzebować – od paralotni, paryskiej bielizny i pocztówek z takimi gwiazdami alpinizmu jak Jean-Marc Boivin i Catherine Destivelle, po czekany z grafitowymi trzonkami, tytanowe karabinki i snowboardy ozdobione panoramą Manhattanu.

Po zdobyciu Mont Blanc przez Paccarda i Balmata, gdy po całej Europie zaczęły krążyć opowieści o tym wyczynie oraz kolejnych, równie śmiałych wejściach, Chamonix stało się niezwykle modnym celem podróży sławnych i bogatych ludzi, a wkrótce zamieniło się w pierwszy na świecie kurort górski (wcześniej, jak zauważył Jeremy Bernstein z „New Yorkera", „góry uważano powszechnie za przerażającą i brzydką anomalię, która utrudniała podróże i handel, zaś mieszkańców terenów górskich traktowano jak podludzi"). Bawiły tutaj takie osobistości jak Goethe, Byron, Ruskin, Percy Shelley, książę Walii i cesarzowa Józefina. Do roku 1876 na Mont Blanc wspięło się 795 mężczyzn i kobiet, w tym niejaki Albert Smith, Anglik, który zemdlał na szczycie z przepicia, gdyż po drodze opróżnił ze swoim towarzyszem dziewięćdziesiąt sześć butelek wina, szampana i koniaku.

Kiedy na Mont Blanc zaczęły wspinać się coraz większe tłumy, a zdobycie tego szczytu przestało już uchodzić za godny podziwu wyczyn (najprostsza trasa prowadząca na wierzchołek nie jest technicznie wymagająca ani nawet stroma), ambitni alpiniści zainteresowali się setkami innych gór o znacznie bardziej urwistych zboczach – słynne Chamonix Aiguilles, które wyrastają z masywu Mont Blanc niczym kolce na grzbiecie stegozaura. Kiedy w 1881 roku Albert Mummery, Alexander Burgener i Benedict Venetz zdobyli przerażający Aiguille du Grepon, uznano to za nadludzki wyczyn. Jednak wkrótce po tym słynnym wejściu Mummery stwierdził proroczo, że wcześniej czy później trasa na Grepon straci opinię „najtrudniejszego wejścia w Alpach" i zostanie uznana za „spacerek dla starszych pań".

Sto lat później nowe techniki, lepszy sprzęt i olbrzymia liczba wspinaczy doprowadziły do deprecjacji, której obawiał się Mummery. Na znaczeniu stracił nie tylko Grepon, ale także większość spośród

„ostatnich dużych problemów”, które pojawiły się później, takich jak Grań Walkera, Filar Freneya, północna ściana Les Droites czy Dru Couloir, by wymienić tylko kilka.

Mont Blanc to góra o prawdziwie himalajskich proporcjach, która może poszczycić się pionową ścianą o wysokości względnej sięgającej niemal czterech tysięcy metrów, problem polega jednak na tym, że leży pośrodku gęsto zaludnionej Europy Zachodniej. Właśnie to przedziwne zestawienie unikatowej topografii i kulturalnej atmosfery Starego Kontynentu zrodziło współczesne Chamonix, ze wszystkimi jego zaletami i wadami.

W pogodny letni dzień ulice miasta zaludnią się wielobarwnym tłumem, który można zobaczyć w każdej miejscowości turystycznej Francji – znajdziemy tam zarówno matrony w futrach z norek i słabowitych starców w wełnianych beretach, jak i turystów z Cincinnati czy Mediolanu oraz długonogie dziewczyny w czarnych rajstopach i minispódniczkach. Jednakże w odróżnieniu od wszystkich tych miasteczek połowa przechodniów w Cham – bo tak nazywają Chamonix stali mieszkańcy – będzie miała na nogach buty do wspinaczki, a na ramieniu zwój liny syntetycznej o średnicy 8,8 milimetra. Jeśli będziemy obserwować ten tłum wystarczająco długo, wcześniej czy później dostrzeżemy w nim Boivina, Profita czy Marca Batarda, *heros de la République*, których osiągnięcia są regularnie opisywane w wielkonakładowych czasopismach takich jak „Paris Match”. W zeszłym roku Boivin jako pierwszy człowiek na świecie poleciał ze szczytu Everestu na paralotni, jego rywal jako pierwszy wszedł na ten sam szczyt w ciągu jednego dnia, zaś Profit zdaniem wielu Francuzów przebił ich obu, dokonując samotnego zimowego wejścia na długą i ostrą jak brzytwa grań Peuterey, i to w dziewiętnaście godzin.

Kiedy ktoś zauważy w restauracji w Chamonix Profita albo, powiedzmy, mistrza świata w jeździe na mononarcie, Erica Saerensa, wywołuje to takie poruszenie, jakie w Stanach Zjednoczonych spowodowałaby obecność Magica Johnsona czy gwiazdy bejsbolu, Dona Mattingly. Francuzi są zbyt dobrze wychowani, by łasić się publicznie do swoich znakomitości tak, jak robi się to w Stanach. Są jednak wyjątki.

– Kiedy w Chamonix zjawia się gwiazda wspinaczki skałkowej, Patrick Edlinger – mówi Twight – wszyscy bezwstydnie się do niego przymilają. Dwa lata temu byłem w Choucas na przyjęciu, w którym uczestniczył też Edlinger, i czułem się jak na królewskim dworze. Ludzie niemal bili się o to, żeby dojść do jego stolika i złożyć mu hołd.

Oczywiście nie wszyscy alpiniści w Chamonix są gwiazdami. Na Mont Blanc wchodzi teraz rocznie niemal sześć tysięcy osób, a dziesiątki tysięcy wspinają się na pobliskie Aiguilles. Milion ludzi żądnych emocji takiego czy innego rodzaju przewija się co roku przez Chamonix. Masyw Mont Blanc otoczony jest hotelami, upstrzony wielopiętrowymi „chatami", pocięty siatką pięćdziesięciu siedmiu wyciągów krzesełkowych i przeszyty jedenastokilometrowym tunelem, przez który przebiega jedna z ważniejszych europejskich autostrad. W szczycie sezonu wspinaczkowego na Vallee Blanche – wysoki płaskowyż lodowy zasilający Mer de Glace – przebywa tylu alpinistów, że z góry lodowiec przypomina mrowisko. Liczba nowych tras wspinaczkowych rejestrowanych w archiwach Office de Haute Montagne jest oszałamiająca; w całym masywie zostało już chyba niewiele metrów kwadratowych skały albo lodu, na które ktoś by się jeszcze nie wspinał.

Można by przypuszczać, że góry nad Chamonix dawno już przestały stanowić dla kogokolwiek wyzwanie, byłoby to jednak błędne założenie. Francuzi, naród dumny, kreatywny i skłonny do dramatyzowania, bez trudu wynajduje nowe formy alpejskiej stymulacji. Oprócz znanych już dyscyplin – takich jak wspinaczka na czas, ekstremalne wejścia w pojedynkę, ekstremalna jazda na nartach – oddają się z zapałem innym zajęciom, na przykład *bungee jumping*, *le surf extrem* (ekstremalny snowboarding), *le ski sur herbe* (zjazd na nartorolkach z trawiastych zboczy), *ballule* (toczenie się w dół zbocza w wielkich nadmuchiwanych kulach) oraz – jest to ostatnio najpopularniejszy ze wszystkich nowych sportów – zlatują ze szczytów gór na paralotniach, które nazywają *parapentes*.

Jest słoneczne jesienne popołudnie, siedzę na tarasie Brasserie L'M w Chamonix, pochylony nad *crêpe* z truskawkami i *café au lait*, i

zastanawiam się, czy zdołam kiedykolwiek, biorąc pod uwagę moje ograniczone talenty, wznieść się ponad banał. W górze, na niebie, trwa nieustająca parada paralotniarzy, przelatujących właśnie z takiego czy innego alpejskiego szczytu na pobliską łąkę, która służy im za lotnisko. Gdy w końcu mam dość kelnera pytającego co kilka minut, czy zamawiam coś jeszcze („A może będzie pan już wychodził?"), wstaję od stolika i idę na łąkę położoną obok wyciągu narciarskiego, by przyjrzeć się z bliska lądowaniom paralotniarzy.

W całych Stanach Zjednoczonych jest co najwyżej czterystu paralotniarzy, co wynika z przeświadczenia, że jest to sport szalenie niebezpieczny (przejawiając godną podziwu szczerość wobec swych klientów, największy wytwórca paralotni w USA – Feral Inc. – umieścił w swoim logo trupią czaszkę i piszczele). Jednak ani śmiertelne ryzyko, ani obawa przed roszczeniami sądowymi nie zahamowały wzrostu popularności paralotniarstwa w Alpach: według ostatnich szacunków we Francji zajmuje się tym sportem ponad dwanaście tysięcy osób. Zapał, z jakim Francuzi oddali się paralotniarstwu, nie ma nic wspólnego z galijskim talentem do unikania wypadków i trudności. Paralotniarze w Chamonix raz po raz lądują na dachach i drogach, wpadają na wyciągi narciarskie i spadają z nieba jak muchy. W ciągu pół godziny od przybycia na łąkę w Chamonix widziałem trzech paralotniarzy, którzy nie trafili w to prowizoryczne lotnisko – dwóch z nich wpadło na drzewa, trzeci zaś uderzył prosto w boczną ścianę bloku mieszkalnego.

Wydaje się jednak mało prawdopodobne, by ze względu na rosnącą liczbę wypadków Francuzi zabronili uprawiania tego sportu w swoich kurortach (jak zrobili to Amerykanie), tak jak nie zakazali uprawiania wspinaczki, która również zbiera krwawe żniwo. Każdego roku w górach otaczających Chamonix ginie od czterdziestu do sześćdziesięciu osób, a ponury bilans wszystkich śmiertelnych wypadków na Mont Blanc wynosi obecnie ponad dwa tysiące ofiar, co czyni z niej najbardziej zabójczą górę na Ziemi.

Co ciekawe, rutyna i zjazdy, na które wywożą narciarzy liczne wyciągi, przyczyniają się do niemal połowy śmiertelnych wypadków w masywie Mont Blanc. W dolinie Chamonix działa osiem ośrodków narciarskich, a niektóre z tras nie powinny sprawiać problemów

nawet początkującym narciarzom, można jednak znaleźć sporo stoków, na których zaciera się granica między zwykłym narciarstwem a alpinizmem. Wystarczy na przykład wykonać nieodpowiedni zakręt po zejściu z wyciągu na Grands Montets czy Aguille du Midi – dwóch spośród najpopularniejszych obszarów narciarskich – by wpaść do szczeliny lodowej, zginąć pod osuwającymi się serakami albo zjechać z trzystumetrowego urwiska. W Stanach Zjednoczonych narciarze zakładają z góry, że wszelkie zagrożenia – jeśli w ogóle istnieją – zostaną odgrodzone, odpowiednio oznaczone lub zabezpieczone w jakikolwiek inny sposób, który uchroni największego nawet idiotę przed wypadkiem. W Chamonix uważa się generalnie, że to sami narciarze są odpowiedzialni za swoje bezpieczeństwo, a idioci po prostu nie pożyją długo.

Ogólnie rzecz biorąc, podejście Francuzów do sportów ekstremalnych – i do sportu jako takiego – jest zupełnie inne niż w Ameryce. Amerykanie preferują sporty zespołowe, takie jak bejsbol czy futbol, a mistrzowie lekkoatletyki, których stawiają swoim dzieciom za przykład, jawią się im jako nieskazitelni herosi. Francuzi, dla odmiany, to indywidualiści, którzy lubują się w sensacyjnych, a zarazem stylowych dokonaniach i dramatycznych solowych aktach odwagi; gwiazdy sportu w ich kraju kopcą gitanes, jeżdżą nieodpowiedzialnie szybko i specjalizują się w zajęciach takich jak długodystansowy windsurfing albo samotne wejścia na trasy o trudności 5.12.

Mieszkańcy Chamonix nie są więc zapewne szczęśliwi, że tuż za progami ich domów raz po raz dochodzi do tragicznych wypadków, ale nauczyli się już zbywać to wzruszeniem ramion.

– W Chamonix – tłumaczył mi żylasty, trzydziestoletni *gendarme*, Luc Bellon – ludzie mają szczególne podejście do gór. Nie musisz wcale być wspinaczem czy przewodnikiem, możesz być rzeźnikiem albo właścicielem sklepu z pamiątkami, ale tak czy inaczej góry cię żywią. Podobnie jak rybacy mieszkający nad morzem nauczyliśmy się przyjmować niebezpieczeństwa i tragedie jako część smutnej rzeczywistości.

Choć Luc Bellon pracuje jako *gendarme* – francuski policjant – nie zajmuje się łapaniem kieszonkowców ani nie kieruje ruchem

ulicznym. Bellon należy do elitarnego oddziału policji państwowej zwanego Peloton de Gendarmerie de Haute Montagne, w skrócie PGHM, zajmującego się wyciąganiem z kłopotów tych pechowców, których spotkały w górach przygody bardziej emocjonujące, niżby sobie tego życzyli. Warkot niebieskiego śmigłowca PGHM, spieszącego ku Aiguilles na ratunek jakiemuś połamanemu wspinaczowi czy narciarzowi, jest w Chamonix równie powszechny jak dźwięk policyjnych syren na Bronksie. W lipcu i sierpniu, gdy na lodowcach i Aiguilles aż roi się od nieostrożnych alpinistów, zdarza się, że Bellon i jego współpracownicy lecą na ratunek lub po ciała dziesięć do piętnastu razy dziennie.

Jak na ironię, umiejętności i czujność PGHM po części przyczyniają się do wzrostu liczby wypadków w okolicach Chamonix, gdyż wielu niedoszłych Boivinów ryzykuje bardziej, niż zrobiłoby to w innych warunkach, właśnie ze względu na obecność Bellona i spółki, gotowych ratować im tyłek przez całą dobę. John Bouchard, wybitny amerykański alpinista, który przyjeżdża do Chamonix od 1973 roku (i który wraz ze swą francuską żoną jest współwłaścicielem Wild Things, firmy sprzedającej sprzęt wspinaczkowy, oraz firmy Feral Inc. – tej od paralotni z trupią czaszką) zauważa:

– W dzisiejszych czasach ludzie zamiast nosić ze sobą sprzęt ratunkowy, zabierają na trudne wejścia tylko krótkofalówkę. Zakładają, że jeśli zrobi się nieciekawie, po prostu wezwą pomoc i będzie po krzyku.

Przyznam, że ja też zastanawiałem się nad podobnym rozwiązaniem podczas mojej ostatniej jesiennej wizyty w Chamonix. Drugiego dnia po przyjeździe wyruszyłem samotnie w górę stromego żlebu prowadzącego na szczyt Mont Blanc du Tacul (4248 metrów n.p.m.). W początkowej fazie wspinaczki wielokrotnie przebijałem czekanem cienką warstwę lodu i uderzałem w skałę; nim dotarłem do połowy trasy, nie całkiem jeszcze zaaklimatyzowany i w kiepskiej formie, miałem spore trudności z wbijaniem stępionych dziobów czekanów. Ponieważ jednak nie zabrałem ze sobą liny, po której mógłbym zjechać, nie miałem innego wyjścia, jak tylko wspiąć się na samą górę i wrócić łatwiejszą drogą. Właśnie wtedy w pobliżu pojawił się śmigłowiec PGHM, który wykonywał rutynowy patrol. Na

mój widok zawisł w miejscu, a policjanci zastanawiali się, czy właśnie trafili na kolejnego tępaka, który wpakował się w kłopoty. Natychmiast postanowiłem pomachać do nich i wezwać pomoc. Zaledwie dzień wcześniej zapłaciłem siedemdziesiąt dolarów za ubezpieczenie, miałem więc pełne prawo skorzystać z tego nieoczekiwanego ratunku.

Problem polegał na tym, że nie miałem pojęcia, co powiem facetom z PGHM, kiedy już któryś z nich zjedzie do mnie po linie i ściągnie z lodowej ściany. Zawahałem się na moment, po czym ogarnięty poczuciem winy podniosłem rękę – sygnał ten oznaczał, że nie potrzebuję pomocy – a helikopter odleciał w stronę doliny niczym przerośnięta ważka i pozostawił mnie na pastwę losu.

Spośród tysięcy niefortunnych i tragicznych wypadków oraz porywających akcji ratunkowych kilka zasługuje na szczególną uwagę. Najsłynniejsza operacja ratunkowa miała miejsce latem 1966 roku, na zachodniej ścianie Petit Dru, potężnego granitowego obelisku, który wznosi się 1800 metrów ponad Mer de Glace. Dwaj niedoświadczeni Niemcy weszli na ścianę czternastego sierpnia i po czterech dniach wspinaczki utknęli na metrowej półce, na dwóch trzecich wysokości Dru, nie byli bowiem w stanie pokonać pokrytej lodem przewieszki strzegącej wejścia na sam szczyt. Niemcy wysłali sygnał SOS, przycupnęli na maleńkiej półce i w coraz gorszych warunkach atmosferycznych czekali na pomoc.

Natychmiast podjęto szeroko zakrojone działania ratownicze. Ponad pięćdziesięciu francuskich ratowników i przewodników weszło na Dru łatwiejszymi trasami na północnej i wschodniej ścianie, po czym spróbowało opuścić z wierzchołka stalową linę. Jednak przewieszone skały znajdujące się dokładnie nad uwięzionymi wspinaczami skutecznie udaremniały realizację tego planu, a trzy dni po wysłaniu sygnału SOS Niemcy wciąż pozostawali poza zasięgiem ratowników. Do tego czasu Chamonix wypełniło się już tłumem dziennikarzy i reporterów telewizyjnych, a akcja ratownicza trafiła na pierwsze strony wszystkich liczących się gazet w zachodniej Europie.

Gary Hemming dowiedział się o kłopotach Niemców osiemnastego sierpnia, gdy czytał gazetę w kawiarni po włoskiej stronie Mont

Blanc, i natychmiast uznał, że to właśnie on jest człowiekiem, który może ich uratować. Hemming – wysoki marzycielski Kalifornijczyk o rozwichrzonych blond włosach i artystycznych inklinacjach – przebywał wtedy we Francji już od pięciu lat, głównie w Chamonix, choć od czasu do czasu bywał również w Paryżu, gdzie sypiał pod mostami nad Sekwaną. Trzy lata później, z powodów, które wciąż pozostają tajemnicą, Hemming upił się w obozie górach Teton i strzelił sobie w głowę, ale w 1966 roku ten trzydziestotrzyletni wówczas wspinacz był u szczytu formy.

Hemming wspinał się na zachodnią ścianę Dru wiele razy; w 1962 roku razem z Royalem Robbinsem wyznaczył na tej ścianie nową trasę, „Directe Américaine", która w owym czasie była uznawana za jedną z najtrudniejszych dróg wspinaczkowych na świecie i nadal jest uważana za jedną z najciekawszych w Alpach. W związku z tym Hemming znał górę jak własną kieszeń, a kiedy przeczytał o kłopotach Niemców, szybko doszedł do wniosku, że najprościej będzie wspiąć się do nich właśnie po ścianie zachodniej, choć ze względu na trudne warunki atmosferyczne i oblodzenie ściany ratownicy uznali takie rozwiązanie za niemożliwe. Hemming wrócił do Chamonix i wyruszył na zachodnią ścianę dziewiętnastego sierpnia, prowadząc zgromadzony naprędce międzynarodowy zespół, który ostatecznie składał się z ośmiu zbuntowanych alpinistów.

Wspinaczka była niezwykle trudna, ale po trzech dniach grupa Hemminga dotarła na półkę, na której czekali na nich Niemcy, obaj żywi i w zaskakująco dobrej formie. Choć brzmi to niewiarygodnie, pięć minut później na półce pojawił się również jeden z przewodników z północnej ściany, który dotarł tam trawersem z łatwiejszej trasy, i oświadczył, że wraz z innymi przewodnikami będzie ewakuował Niemców.

– Nie – odparł z mocą Hemming. – Byliśmy tu pierwsi. Niemcy są nasi.

Następnego dnia zespół Hemminga wraz z dwójką uratowanych alpinistów stanął u podnóża Dru, gdzie czekał już na nich tłum dziennikarzy z kamerami i mikrofonami w rękach. Kiedy wizerunek Hemminga i jego niezwykła opowieść pojawiły się we wszystkich gazetach i dziennikach telewizyjnych Europy, jasnowłosy Amerykanin

stał się bożyszczem Europy. Szczególnie Francuzi dostali bzika na punkcie „le Beatnika", szlachetnego dzikusa z Ameryki, który zauroczył ich nie tylko szaloną odwagą, ale i surową urodą oraz powściągliwością godną Gary'ego Coopera. Hemming został nagle herosem, z dnia na dzień zamienił się z biednego, nieprzystosowanego wspinacza w jasnowłosego boga, bohatera nieprzemijającego mitu.

„Nie ma łatwej drogi do innego świata" – pisze James Salter w „Solo faces", poruszającej powieści, której akcja osadzona jest w Chamonix, a fabuła luźno oparta na życiu Hemminga. Mieszkańcy Chamonix to niezwykle zamknięta społeczność, która niechętnie nawiązuje kontakty z ludźmi z zewnątrz. Wiele spośród nazwisk, które można zobaczyć nad sklepami przy Rue du Dr. Paccard albo w harmonogramie dyżurów w biurze przewodników – Balmat, Payot, Simond, Charlet, Tournier, Devouassoud – znajduje się tam od czasu, gdy Goethe i cesarzowa Józefina po raz pierwszy przyjechali do miasta. Żaden „outsider" – mieszkańcy Chamonix określają tak każdego, kto urodził się dalej niż kilka kilometrów od granic miasteczka – nie trafi na listę Compagnie des Guides de Chamonix Mont Blanc bez specjalnej i bardzo rzadko udzielanej dyspensy. Grupa młodych „zagranicznych" (to jest niepochodzących z Chamonix) przewodników utworzyła w odwecie konkurencyjną listę Les Guides Independant du Mont Blanc, lecz w przekonaniu większości mieszkańców Chamonix wolni strzelcy mają się tak do miejscowej Compagnie jak dzbanek Gallo do najlepszego rocznika Château Lafite-Rothschild.

Hemming zdołał przeniknąć do tej zamkniętej społeczności dopiero po heroicznym wyczynie na Dru (Francuzi zawsze ogromnie cenili i poważali sławę). John Bouchard w końcu także został przyjęty przez mieszkańców Chamonix, ale dopiero po tym, jak wykonał serię fantastycznych, niezwykle odważnych wejść – dwa z nich miały miejsce na nowych trasach, kilku dokonał samotnie – których zwieńczeniem było małżeństwo z Titoune Meunier, również świetną alpinistką, należącą do miejscowego klanu Simondów. Jak mówi Marc Twight, przyjaciel i protegowany Boucharda:

– John przyjechał do Cham, wyrwał tych kilka pierwszych wejść najlepszym wspinaczom w Alpach, a potem skradł serce najbardziej pożądanej dziewczyny w mieście.

Właśnie tego rodzaju wyczyny robią największe wrażenie na Francuzach. Od tej pory mieszkańcy Chamonix uważali Boucharda za jednego ze swoich, prawdziwego syna tej ziemi, który za sprawą niewytłumaczalnego kosmicznego przypadku urodził się w Ameryce.

Jednak poza Hemmingiem i Bouchardem ledwie kilku Amerykanów – czy też jakichkolwiek innych cudzoziemców – zostało przyjętych w szeregi klubu. Marc Twight – niezwykle utalentowany dwudziestoośmioletni alpinista – jest tego najlepszym przykładem. W ciągu ostatnich pięciu lat Twight pokonał całą listę niesławnych „tras śmierci" wokół Chamonix, a w marcu zeszłego roku „Montagnes", francuskie czasopismo alpinistyczne, zamieściło dziesięciostronicowy artykuł na jego temat. Twight jednak uważa, że miejscowi nadal nie do końca go akceptują.

– Kiedy przyjechałem tu w 1984 roku – mówi – byłem odtrącany i ignorowany. Teraz, gdy zrobiłem kilka dobrych wejść, najlepsi miejscowi wspinacze i paralotniarze dopuszczają mnie do siebie, rozmawiają ze mną, dzielą się informacjami o trasach. Ale to wszystko. Nadal nie zapraszają mnie na kolację, nigdy nie dopuszczą mnie do swojego kręgu. Sam nie wiem, dlaczego, po prostu tak jest.

Większość zagranicznych wspinaczy i narciarzy – zastępy Basków, Brytyjczyków, Czechów, Polaków, Niemców, Szwedów, Włochów, Hiszpanów, Argentyńczyków, Amerykanów, Koreańczyków, Kanadyjczyków, Australijczyków, Norwegów, Nowozelandczyków, Hindusów i Japończyków, którzy co roku przybywają do Chamonix – ma gdzieś to, czy zostanie dopuszczona do społeczności Chamonix. Chcą mieć święty spokój, wspinać się i zjeżdżać do woli, a w przerwach między kolejnym szaleństwami w miarę tanio i wygodnie odpocząć w dolinach.

Jak nietrudno się domyślić, wymienione powyżej nacje realizują te cele na różne sposoby. Na przykład Czesi i Polacy, którzy nie śmierdzą groszem i są twardzi jak skała, wyrzekają się wygodnych hoteli i *pensions* na rzecz pól uprawnych na obrzeżach miasta, gdzie płacą cztery lub pięć franków dziennie za przywilej załatwiania się w

lasach i rozbijania swoich poszarpanych namiotów w błocie i krowich plackach.

Niełatwo też znaleźć w hotelach Chamonix Szwedów, choć z zupełnie innych powodów. Cena alkoholu w Szwecji obciążona jest bardzo wysokim podatkiem. Gdy Szwedzi przyjeżdżają do Francji, gdzie gorzałka jest dwa razy tańsza niż w Skandynawii, zwykle nadmiernie sobie dogadzają i, jak ujmuje to Twight, „całkiem im odbija. Zaczynają się bić, niszczą pokoje, nikogo się nie słuchają". W związku z tym, gdy hotelarze w Chamonix widzą szwedzki paszport, mówią zwykle: „Przepraszam bardzo, ale właśnie sobie przypomniałem, że wszystkie pokoje są zajęte". Doszło do tego, że pewien szwedzki biznesmen kupił niedawno kilka hoteli w miejscowości Argentiere, kilka kilometrów w górę doliny, by jego rodacy mieli gdzie spać w okolicy Chamonix; obecnie, w czasie sezonu narciarskiego Argentiere zamienia się w szwedzką kolonię.

Jeszcze gorzej niż stosunki francusko-szwedzkie wyglądają relacje między Francuzami i Brytyjczykami, a to za sprawą wzajemnej wrogości, która jątrzy się od tylu pokoleń, że wpisała się już w ich geny. Brytyjczycy mają kilku sprzymierzeńców wśród mieszkańców Chamonix; miejscowy klan Snellów od trzech dziesięcioleci pozwala Anglikom obozować na swoich polach na obrzeżach miasta, ci zaś zobowiązują się w zamian, że zostawią w spokoju dwa należące do rodziny sklepy ze sprzętem wspinaczkowym przy Rue du Dr. Paccard. Jednak odwieczna niechęć między tymi dwoma narodami nadal jest bardzo silna, a czasami przybiera formę legendarnych już bijatyk, które obróciły w perzynę kilka lokali i wtrąciły do miejscowego więzienia całkiem sporą liczbę słynnych angielskich wspinaczy.

Ta niechęć znajduje również odbicie w językach obu nacji. Na przykład dla Anglików kondom to „francuski list", a dla Francuzów „*une capote anglais*". Kiedy ktoś wymyka się ukradkiem, Brytyjczycy mówią o „francuskim wyjściu", a Francuzi o „*filer à l'anglaise*". W potocznej francuszczyźnie stosunek analny znany jest jako „*le vice anglais*" i choć w tym przypadku Anglicy nie mają precyzyjnego odpowiednika etymologicznego, brytyjscy wspinacze od dawna już uważają, że przesadna elegancja ich galijskich konkurentów dowodzi jednoznacznie ich zboczonych skłonności.

Wydaje się jednak, że to właśnie Francuzi będą mieli ostatnie słowo w tym sporze. Obecnie można stwierdzić nie tylko, że rodowici mieszkańcy Chamonix to najlepiej ubrani wspinacze, narciarze i paralotniarze, ale że po raz pierwszy od czasów Paccarda-Balmata nie ma na świecie Anglika (ani żadnego innego obcokrajowca), który mógłby dorównać im sprawnością i wytrzymałością na skałach i lodzie. Gwiazdy, takie jak Profit, Boivin i Patrick Gabarrou, mają może słabość do różowych szalików i dobranych kolorem ubrań, ale nikt nie nazwałby ich mięczakami.

Po półgodzinnej jeździe *téléphérique* (z jedną przesiadką) docieram na wysokość 2750 metrów, między Chamonix a szczyt Aiguille Midi. W zatłoczonych wagonikach kolejki linowej jechało wraz ze mną sześćdziesięciu innych pasażerów: Francuzi w świecących pomarańczowo--zielonych kostiumach, kilka zespołów z włoskiego klubu alpinistycznego, którzy przez całą drogę nieustannie śmiali się, śpiewali i pierdzieli, oraz kilkoro Japończyków ubranych w zupełnie nieprzystające do otoczenia garnitury i spódnice.

Na szczycie – oszałamiającej granitowej iglicy, podziurawionej tunelami i oblepionej dziwnymi stalowymi konstrukcjami – zatrzymuję się w restauracji na szybką kanapkę *croque-monsieur*, po czym wsiadam do następnej kolejki i przejeżdżam nad pociętą szczelinami Valle Blanche do włoskiej granicy. Po krótkim spacerze docieram do celu dzisiejszej wyprawy, północnej ściany szczytu zwanego Tour Ronde. Gdyby ta góra znajdowała się na Alasce, gdzie swego czasu sporo się wspinałem, przez trzy albo cztery dni wędrowałbym z czterdziestokilogramowym plecakiem, by dojść do niej z doliny Chamonix. Ponieważ Tour Ronde znajduje się we Francji, dojazd zajął mi dwie godziny (łącznie ze śniadaniem), w plecaku oprócz kilku drobiazgów niosę tylko lunch oraz zapasowy sweter, i właściwie nie zdążyłem się jeszcze spocić.

Gdyby jednak ten szczyt był na Alasce, prawdopodobnie miałbym go tylko dla siebie. Przypinając raki u podnóża Tour Ronde, spoglądam na jej zbocza i doliczam się siedmiu wspinaczy.

Trasa prowadzi przez pionową oblepioną szarym lodem ścianę w kształcie klepsydry, mierzącą około 360 metrów wysokości. Według

standardów Chamonix jest stosunkowo łatwa, martwią mnie jednak ludzie wspinający się powyżej: w 1983 roku para wspinaczy odpadła od ściany niemal pod samym szczytem i, lecąc w dół lodowca, nadal połączona liną, ściągnęła osiemnastu innych alpinistów, zabijając w sumie sześciu z nich i samych siebie.

Wspinacze na górze nie stanowią żadnego problemu dopóty, dopóki nie docieram do połowy ściany. Znajduje się tutaj przewężenie klepsydry – skalne filary tworzą coś w rodzaju lejka prowadzącego do wąskiej szczeliny, którą muszę wspinać się przez następnych sześćdziesiąt metrów. Tymczasem z góry sypią się do tego lejka odłamki lodu strącane przez ludzi wspinających się nade mną. Na szczęście większość lodowych pocisków jest mała i odbija się od mojego hełmu, nie robiąc mi krzywdy. Podczas takiej wspinaczki można spodziewać się spadającego lodu – alpiniści mimowolnie strącają drobne kawałki, wbijając w ścianę czekany – ale z jakiegoś niezrozumiałego powodu jeden z zespołów powyżej zrzuca też granitowe bryły ważące nawet po kilka kilogramów.

– Hej! – wołam w ich stronę. – Nie widzicie, że ktoś jest pod wami?

Wydaje się jednak, że to tylko zachęca ich do działania; kiedy ponownie zadzieram głowę, żeby do nich krzyknąć, dostaję kamykiem w brodę. Natychmiast opuszczam głowę i zaczynam się wspinać jeszcze szybciej.

Dziesięć minut później wychodzę ze szczeliny na górną część ściany, gdzie mogę uciec przed kanonadą. Po czterdziestu pięciu minutach jestem na szczycie, gdzie obok brązowego posągu Matki Boskiej wyleguje się dwóch Francuzów, którzy zrzucali na mnie kamienie. Podchodzę do nich i zagaduję uprzejmie:

– Co wam odbiło, dupki? Może przy zejściu ja zepchnę na was parę głazów, żebyście się przekonali, jakie to miłe uczucie.

Francuscy wspinacze, którzy mają co najwyżej po dwadzieścia kilka lat, wcale się tym nie przejmują.

– Spadające odłamki skalne to jedno z wielu zagrożeń, które można napotkać w Alpach. Jeśli ci się to nie podoba, to może powinieneś wrócić do Ameryki, gdzie góry nie są takie duże – odpowiada jeden z nich, wzruszając ramionami.

W końcu Francuzi sobie idą, a ja zostaję sam na szczycie i zaczynam się uspokajać. Skała jest ciepła, wrześniowe niebo nieskazitelnie czyste. Dokoła, niemal na wyciągnięcie ręki, wznoszą się poszarpane fale Aiguilles. Tutaj widać grzbiet Mont Blanc i cienkie stożki Peuterey; tam Grepon i Charmon, olbrzymi kieł Dent du Geant, bliźniacze wierzchołki Drus, imponujący profil Grandes Jorasses. Przez większość życia czytałem o tych szczytach, wpatrywałem się w zamazane fotografie wycięte z czasopism i przyklejone taśmą do ściany, próbowałem wyobrazić sobie fakturę granitu, z którego są zbudowane.

Robi się późno. Muszę iść w dół, i to szybko, albo spóźnię się na ostatni *téléphérique* do doliny. Czuję jednak dziwne, przyjemne ciepło, które wspina się w górę mojego kręgosłupa – nie chcę go zatrzymywać, póki nie dotrze tam, dokąd zmierza.

– Jeszcze pięć minut – umawiam się głośno z samym sobą. Czterysta metrów niżej cień Tour Ronde przeciąga się na lodowcu niczym kot.

Kiedy spoglądam na zegarek, okazuje się, że minęła godzina. Na dole, w Chamonix, ulice okrywa już cień, bary zaczynają się wypełniać wspinaczami i paralotniarzami, którzy wrócili z podniebnych wypraw. Gdybym siedział tam teraz przy stoliku, w towarzystwie jakiegoś szalonego następcy Messnera, Bonattiego czy Terraya, moja wyprawa na Tour Ronde byłaby zapewne zbyt banalna, by w ogóle o niej wspominać. Tutaj, na górze, ta skalna półka zapewnia mi inną perspektywę. Ściany opowiadają historie sprzed lat, lodowiec wypełniony jest światłem.

– Jeszcze pięć minut – powtarzam głośno. – Ostatnich pięć minut, a potem naprawdę zacznę schodzić.

ROZDZIAŁ 8

Kanioning

Rzeka Salt w środkowej Arizonie płynie na zachód z kraju Apaczów w pobliżu granicy z Nowym Meksykiem, przez spalone słońcem, spękane połacie pustyni Sonora i okrytą smogiem aglomerację Phoenix, by w końcu oddać swą nazwę i resztki wód rzece Gil. Salt została tak wyeksploatowana przez różne tamy, zbiorniki i kanały nawadniające, że gdy dociera do centrum Phoenix, jest już tylko płytkim strumieniem o piaszczystym dnie, zamkniętym z obu stron betonowymi nabrzeżami. Kiedy po raz pierwszy zobaczyłem tę rzekę z okna boeinga 737, tuż przed lądowaniem w Phoenix – działo się to na początku kwietnia, gdy stany rzek powinny być wyjątkowo wysokie – wydawało się, że w ogóle nie ma w niej wody.

Kiedy więc godzinę później niejaki Rick Fisher poinformował mnie, że Salt to „jedna z najpiękniejszych i najbardziej wymagających rzek w całej Ameryce Północnej, która przepływa przez prawdziwie dzikie obszary Stanów Zjednoczonych", pokiwałem uprzejmie głową i próbowałem usprawiedliwiać w myślach tego biedaka, przypominając sobie, jak sam przekonywałem niegdyś mego przyjaciela z Bostonu, iż Seattle Mariners – klub z mojego rodzinnego miasta, który od lat okupuje ostatnie miejsca w zachodniej dywizji amerykańskiej ligi bejsbolu MLB – to w rzeczywistości najbardziej utalentowany zespół na całym kontynencie. Fisher, trzydziestosześcioletni fotograf i przewodnik turystyczny z Tucson, dostrzegł wyraz powątpiewania w moich oczach.

– Tylko poczekaj – stwierdził z przekonaniem. – Wkrótce sam się przekonasz.

Kiedy jednak dotarliśmy do kanionu w górnej części biegu Salt, by pomyszkować trochę nad rzeką i jej dopływami, wciąż nie byłem przekonany. Znajdowaliśmy się w odległości stu sześćdziesięciu kilometrów od Phoenix, nad ostatnią tamą i ostatnim kanałem irygacyjnym, więc w rzece rzeczywiście było trochę wody, a otaczający nas krajobraz miał w sobie pewien urok, ale mało kto nazwałby to miejsce wyjątkowo pięknym, szczególnie w porównaniu z odległymi o zaledwie kilka godzin jazdy kanionami Zion i Grand Canyon. Co więcej, nad brzegami rzeki obozowało około dwustu osób – rodziny w kamperach wielkości okrętów wojennych,

nastoletni imprezowicze z ryczącymi radiomagnetofonami, rumiani faceci sączący przez cały dzień piwo z puszek – a z nurtem Salt od świtu do nocy spływały całe flotylle pontonów. Pomyślałam, że można się tu doszukać dziczy, ale z pewnością nie dzikiej przyrody.

Wkrótce przekonałem się jednak, że przedwcześnie spisałem rzekę Salt i Fishera na straty. Okazało się, że Fisher ma niezwykły talent do wyszukiwania na pustyni zakątków nietkniętych niszczycielską ręką XX wieku. Kilka kilometrów w dół rzeki od zatłoczonego obozowiska Fisher zaparkował swoją poobijaną terenówkę i poprowadził czwórkę przyjaciół, dwa golden retrievery oraz mnie w górę wąskiego kanionu wyżłobionego przez dopływ rzeki Salt zwany Cibecue.

Już kilkadziesiąt metrów dalej strome skalne ściany kanionu – szalona mozaika czarnego wulkanicznego diabazu i wijących się fałd żółtego piaskowca – zaczęły chylić się ku sobie, a dno wąwozu stało się tak wąskie, że musieliśmy brodzić w głębokim do kolan strumieniu o wartkich i zaskakująco zimnych wodach. Pokonawszy osiemset metrów, wyszliśmy zza zakrętu i znaleźliśmy się w ślepym zaułku, dziwacznym skalnym zagłębieniu zwanym w miejscowym żargonie kamienną skrzynką. Przewieszone ściany z gładkiego kamienia tworzyły wąską grotę w kształcie litery U. Strumień Cibecue spływał z krawędzi u szczytu owej groty, tworząc malowniczy wodospad wysokości piętnastu metrów. Wyglądało na to, że jeśli chcemy nadal posuwać się w górę kanionu, to musimy wykonać kilka naprawdę ciekawych manewrów, takich jak wspinaczka bez zabezpieczenia na trasie o trudności 5.12, i to w mokrych adidasach.

Na szczęście tylko na to wyglądało. Prowadzeni przez Fishera wróciliśmy pięćdziesiąt metrów w dół kanionu, gdzie znajdował się ukośny skalny filar sięgający połowy wschodniej ściany. Podstawa filara zwieszała się w pewnej odległości od ziemi, ale dzięki odrobinie pomysłowości, kilku nierównościom na powierzchni skały i kilku energicznym podciągnięciom udało mi się wejść na dużą półkę wieńczącą filar; stamtąd już bez trudu wspiąłem się na krawędź urwiska. Kilka minut później wszyscy – łącznie z psami, które zostały oplecione prowizorycznymi uprzężami i wyciągnięte na linach – staliśmy na górze.

Nie było to trudne wejście.

– Dziewięćdziesiąt osiem procent ludzi, którzy docierają do tego miejsca w kanionie, a wcale nie dociera ich tutaj zbyt wielu, przestrasza się tej skrzynki i zawraca – Fisher koryguje moje wyobrażenia. Ten niski, muskularny mężczyzna z sumiastymi wąsami zamyśla się na chwilę, po czym dodaje: – Kiedy zaczynałem chodzić tym kanionem, wejście na górę było jeszcze prostsze, ale parę lat temu jacyś faceci z Flagstaff przynieśli tu podnośnik hydrauliczny i zepchnęli wielki blok skalny przy tym filarze. Ja pewnie nie zrobiłbym czegoś takiego, ale właściwie jestem im wdzięczny. Dzięki temu mało kto dociera za wodospad. Jesteśmy tylko jakieś osiemset metrów od tego zoo nad Salt, ale dalej kanion wygląda tak samo jak pięćset lat temu.

Rzeczywiście, kiedy minęliśmy wodospad, poczułem się tak, jakbym trafił do innego świata. Nawet roślinność była inna: ponieważ „kamienne skrzynki" bronią wstępu do kanionu Cibecue po obu jego stronach, nigdy nie weszły do niego krowy, konie czy owce. Dzięki temu rodzima nadbrzeżna flora nie została wyparta przez stokłosę i inne gatunki, które dominują w krajobrazie tam, gdzie pasie się bydło.

Na odcinku dwóch lub trzech kilometrów kanion rozszerzał się i otwierał na boki, by potem znów przybrać kształt wąskiej szczeliny, która w pewnym miejscu miała niecałe dwa metry szerokości. Dostrzegliśmy gniazdo orła ułożone sześćdziesiąt metrów nad strumieniem, na szczycie kamiennej iglicy. Wkrótce potem przeszliśmy pod nieźle zachowaną, kamienną osadą wzniesioną siedemset lat temu przez lud Mogollon, tajemniczych przodków współczesnej kultury Anasazi z Północy.

Strumień Cibecue wraz z rzeką Salt oraz jej innymi dopływami odprowadzają wodę z południowej części formacji terenu zwanej Wyżyną Mogollon. Wyżyna, która ciągnie się przez północno-środkową Arizonę, między Flagstaff a Phoenix, wyznacza południową granicę olbrzymiej Wyżyny Kolorado. Mogollon, która obniża się gwałtownie aż 1800 metrów, wyraźnie oddziela wzniesienia i leśne obszary Gór Skalistych od gorących równin pustyni Sonora.

Wyżyna Mogollon upstrzona jest dziesiątkami małych zaniedbanych osad górniczych i hodowlanych, a niższe partie olbrzymiego uskoku sięgają granic Phoenix, miasta liczącego dwa miliony mieszkańców. Ponieważ jednak tereny Mogollon są surowe i niedostępne, wiele spośród ponad czterdziestu tysięcy kilometrów kwadratowych tego obszaru zachowuje charakter terra incognita i daje schronienie rosnącej populacji niedźwiedzi czarnych, bielików amerykańskich i orłów przednich, pum, jeleni i owiec kanadyjskich. Urwiste zbocze Wyżyny przecina czternaście lub piętnaście godnych uwagi kanionów – o nazwach takich jak Salome Jug (Dzban Salome), Hell's Gate (Brama Piekła), Dry Beaver (Suchy Bóbr), Devil's Windpipe (Tchawica Diabła) – których od wieków nie odwiedzał nikt prócz nielicznych ranczerów i poszukiwaczy przygód.

Uroki Wyżyny Mogollon były do niedawna tak mało znane, że w 1984 roku służby leśne planowały wykorzystanie kanionów w celach gospodarczych i komercyjnych. Na szczęście pomysł ten upadł, gdy grupa obrońców przyrody, wśród nich Fisher, rozreklamowała ten teren i skłoniła Kongres, by nadał mu status obszaru chronionego. Fisher przyjął tę decyzję z ogromną ulgą, bo jego zdaniem wąwozy Mogollon to najlepsze tereny do kanionigu w całej Ameryce Północnej.

To bardzo odważne stwierdzenie. Rzeka Kolorado przecięła wyżynę o tej samej nazwie doliną o głębokości tysiąca ośmiuset metrów i długości tysiąca sześciuset kilometrów, a każdy z dopływów Kolorado – oraz każdy ze strumieni i strumyków zasilających owe dopływy – powiększał tę olbrzymią ranę w powierzchni ziemi, zamieniając znaczną część Kolorado, Utah, Arizony i Nowego Meksyku w fantasmagoryczny labirynt rozpadlin z czerwonej skały. Kaniony te – a są ich setki – można opisać jako ostatnie prawdziwie dzikie rejony Stanów Zjednoczonych (poza Alaską). Niektóre czekają jeszcze na odkrycie, inne widziało do tej pory zaledwie kilka osób. Jak więc można twierdzić, że kilka konkretnych kanionów jest lepszych od pozostałych?

Aby zrozumieć, dlaczego Fisher upiera się, że kaniony Mogollon – z których większość jest niemal całkowicie nieznana nawet w samej Arizonie – nadają się do kanioningu bardziej niż znacznie sławniejsze

wąwozy, takie jak Zion, Escalante, Canyonlands czy sam potężny Grand Canyon, należy najpierw zrozumieć, czym właściwie jest, a czym nie jest kanioning w oczach pana Fishera, prawdziwego fanatyka tej stosunkowo nowej formy zabawy na świeżym powietrzu. Otóż prawdziwy kanioning, jak twierdzi Fisher, to połączenie skalnej wspinaczki, spływania górskimi rzekami i wyczerpującej wędrówki z plecakiem. Jeśli to, czym się zajmujesz, nie zawiera porządnej porcji każdej spośród owych trzech aktywności, nie jest to prawdziwy kanioning.

Entuzjazm, z jakim Fisher odnosi się do kanioningu na Wyżynie Mogollon, wynika z niezwykłej złożoności budowy geologicznej tej wyżyny, która składa się z przemieszanych skał magmowych, metamorficznych i osadowych. Bezładna przeplatanka miękkich i twardych warstw tworzy architekturę skalną, która nie tylko przybiera przeróżne formy w poszczególnych kanionach, ale także jest zazwyczaj ubarwiona wielopiętrowymi kaskadami i kamiennymi tworami przyrody.

– W innych miejscach na świecie są kaniony większe i dłuższe niż te na Wyżynie Mogollon – stwierdza Fisher. – Ale nigdzie nie są bardziej wyjątkowe i nigdzie nie stawiają większych wyzwań.

Fisher lubi wyzwania, ale jeszcze bardziej cieszy go fakt, że wymagająca topografia kanionów Mogollon skutecznie odstrasza wycieczki zakładowe, wielbicieli broni, zwykłych idiotów i temu podobny motłoch.

– Znam sporo ludzi, którzy wędrują takimi kanionami jak Escalante, Buckskin-Pariah czy Zion Narrows. To piękne miejsca, ale żeby się do nich dostać, wystarczy się tylko trochę nachodzić. Dlatego w ciągu jednego ładnego dnia przez Zion Narrows przechodzi nawet kilkadziesiąt osób. Tymczasem w miejscu takim jak West Clear Creek, najbardziej znanym ze wszystkich kanionów Wyżyny Mogollon, w ciągu całego roku bywa nie więcej niż cztery albo pięć grup. Ba, znam cztery duże kaniony w północno-zachodniej Arizonie – nie powiem ci, gdzie dokładnie – których nikt jeszcze oficjalnie nie przeszedł.

Tak nikły ruch turystyczny oznacza, że większość przyrodniczych i kulturowych skarbów Wyżyny Mogollon pozostaje nietknięta. Fisher

opowiedział mi o dwóch kanionach położonych w odległości stu dwudziestu kilometrów od Phoenix, w których wciąż znajdują się osady niezbadane przez archeologów.

– Mógłbym całkiem nieźle zarobić na naczyniach z osad Mogollon – na czarnym rynku ludzie sprzedają je za grube pieniądze – ale miałbym potem okropne wyrzuty sumienia. Wszyscy moi znajomi zajmujący się kanioningiem uważają, że osady na urwiskach należy zostawić w spokoju. Jeden z moich przyjaciół znalazł piękne naczynie, w idealnym stanie, zakopane po szyjkę w piasku. Wykopał je, obejrzał, potem zakopał po samą szyjkę, dokładnie tak, jak je znalazł, i poszedł dalej.

Rick Fisher może śmiało rościć sobie prawa do tytułu największego na świecie autorytetu w kwestiach związanych z kanionami Mogollon oraz sekretami, które kryją w sobie te niezwykłe twory geologiczne. Choć zbadał ich więcej niż jakikolwiek inny człowiek, to po raz pierwszy zetknął się z nimi dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych. Trafił na Wyżynę Mogollon jako student Uniwersytetu Stanowego Arizony, gdy usłyszał o dziwnym i cudownym miejscu zwanym White Pools (Białe Stawy), znajdującym się rzekomo gdzieś w górnej partii West Clear Creek – dopływu rzeki Verde, która spływa z Wyżyny jakieś osiemdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Sedony.

Cały dzień przedzierał się przez skalne rumowiska i morze kolczastych krzewów, by zejść na dno kanionu. W nocy obudziły go jakieś szelesty dobiegające z wnętrza plecaka. Kiedy włączył latarkę i zajrzał do środka, ujrzał przed sobą ciemne ślepia grzechotnika górskiego. Rankiem ponownie ruszył w górę kanionu, który nieco dalej zamieniał się w wąską szczelinę o skalnych ścianach. W pewnym momencie zauważył trzy wielkie kłody drewna wciśnięte między te ściany dwadzieścia metrów nad jego głową, co świadczyło dobitnie o tym, jak wysoko sięga woda podczas gwałtownych powodzi i jak wielka jest jej siła.

Po półtorakilometrowej wędrówce przez przesmyk Fisher natrafił na pierwszą z serii „skrzyń wodnych” – takim mianem określa rozlewiska i stawy, których ze względu na głębokość i położenie nie da się ani przejść w bród ani obejść – którą zmuszony był przepłynąć wpław.

Ponieważ nie jest łatwo pływać z ciężkim plecakiem – nie mówiąc już o tym, by uchronić jego zawartość przed przemoczeniem – na kolejne wyprawy Fisher zabierał ze sobą ponton, na tyle mały, by dało się go upchnąć w plecaku, a zarazem na tyle wyporny, by utrzymał cały sprzęt i zapas jedzenia potrzebny na tygodniową wędrówkę. Po jakimś czasie tego typu miniaturowe pontony zostały uznane za niezbędny element wyposażenia podczas wypraw kanioningowych – niestety, stało się to nim prezes oddziału Sierra Club w Phoenix utonął podczas próby przepłynięcia przez jedną ze skrzynek wodnych w West Clear Creek.

Pomimo trudności, jakie Fisher napotkał podczas pierwszego przejścia przez kaniony Wyżyny Mogollon, przeżycie to uczyniło z niego prawdziwego fanatyka kanioningu: od tej pory już kilkanaście razy odwiedzał West Clear Creek. Zaczął również zdobywać kolejne kaniony, nieustannie doskonaląc technikę przejść i sprzęt.

– Przekonałem się szybko – wyjaśnia Fisher – że każdy kanion Mogollon jest inny, a drobna różnica w budowie geologicznej kanionu może oznaczać ogromną różnicę w doborze sprzętu i technik koniecznych do przejścia, może też determinować wybór odpowiedniej pory roku. To, co sprawdza się w West Clear Creek, niekoniecznie musi zadziałać w Salome, a to co działa w Salome, nie musi nadawać się do Tonto; miejsce piękne i spokojne w maju, może być śmiertelnie niebezpieczne w lipcu.

Fisher nauczył się także, jak wyszukiwać na mapach najbardziej interesujące kaniony, czyli według znawców kanioningu te o najwęższych przesmykach, najbardziej fotogenicznych wodospadach i najgłębszych, najczystszych rozlewiskach.

– Jeśli chcesz znaleźć na mapie dobry kanion – mówi – najpierw wyszukujesz szczyt na tyle wysoki, by zatrzymywał deszcz, w tym rejonie będzie to około dwóch i pół tysiąca metrów. Potem analizujesz kształt zbiornika wodnego nad kanionem, który cię interesuje. Zwykle musi mieć co najmniej piętnaście na trzydzieści kilometrów, żeby wypływał z niego strumień zdolny wyżłobić przyzwoity wąwóz. Potem sprawdzasz, jak blisko siebie są ułożone poziomice: muszą wskazywać na formację, która jest jednocześnie głęboka i bardzo wąska; nawet w bardzo głębokim kanionie nie

znajdziesz nic ciekawego, jeśli będzie za szeroki. W końcu musisz sprawdzić geologię . Jeśli skład geologiczny terenu nie jest właściwy, większość wody ze strumienia po prostu wsiąknie w ziemię, a ty nie znajdziesz żadnych stawów ani wodospadów, których ja właśnie szukam w kanionach.

Analizując wszystkie te czynniki, twierdzi Fisher, można zwykle przewidzieć, czy dany kanion wart jest odwiedzenia.

Ale nie zawsze. Przez kilka lat Fisher ignorował pewien wąwóz widoczny na mapie – ochrzcił go Kryształowym Kanionem, by nie zdradzać jego prawdziwej nazwy i lokalizacji – który wydawał się obiecujący pod każdym względem prócz składu geologicznego, gdyż jego ściany zbudowane są wyłącznie ze skał magmowych.

– Zwykle takie kaniony są dość nudne, więc spisałem go na straty – kontynuuje swą opowieść. – Okazało się, że popełniłem błąd. Ogromny błąd.

Pewnego dnia pilot, który znał zainteresowania Fishera, powiedział mu, że przelatywał nad Kryształowym i zauważył „naprawdę duże wodospady". Fisher natychmiast postanowił zapomnieć o czynniku geologicznym i obejrzeć kanion z bliska.

Aby dotrzeć do tego miejsca, musiał pokonać płaskowyż, na którym aż roiło się od agresywnych grzechotników diamentowych. „Miały tylko metr albo metr dwadzieścia długości – opowiada Fisher – ale były grube jak ramię mężczyzny i miały szerokie, paskudne łby". Później musiał zejść na dno kanionu po ponadsześćdziesięciometrowej pionowej ścianie. Dzięki petroglifom pozostawionym przez członków ludu Mogollon trafił w końcu na trasę umożliwiającą pokonanie urwiska, ale jak twierdzi „była to naprawdę stroma droga, na którą niełatwo się wspiąć. Ci kolesie z Mogollon musieli być naprawdę niezłymi wspinaczami i na pewno nie mieli lęku wysokości".

Ryzyko podjęte przez Fishera odpłaciło się jednak z nawiązką. Znalazł tam nie tylko wspaniałe wodospady, ale także „osady skalne i jedne z najgłębszych, najczystszych stawów w Arizonie. Ściany nad tymi stawami były wysadzane milionami kryształów górskich. Może nie nazwałbym ich klejnotami, ale i tak były niesamowite. Rozumiesz teraz, dlaczego nie mówię nikomu, gdzie jest ten kanion. Możesz

wybrać się tam o dowolnej porze roku – ja sam byłem już sześć razy – i gwarantuję ci, że nie zobaczysz żywej duszy".

Obsesja to ciekawa rzecz. Można tylko spekulować, jaki element wychowania albo układu chromosomów zamienia ludzi w fanów bejsbolu, z innych robi zapalonych motocyklistów, a jeszcze innym każe poświęcać życie wyhodowaniu idealnego pomidora. Kto może wiedzieć, dlaczego Rick Fisher tak mocno związał swoje życie z kanionami południowo-zachodnich pustyń?

Od kilku lat Fisher odwiedza kaniony Mogollon przy każdej okazji, dokumentuje ich niesamowity świat na tysiącach fotografii i stara się skłonić Kongres, by przyznał im oficjalnie status rezerwatu przyrody. Z powodzeniem wykorzystywał niezwykły urok kanionów, by uwodzić kobiety, bez powodzenia zaś stosował ten sam środek do resocjalizacji młodocianych przestępców. Dzięki kanionom udało mu się też wprowadzić w świat dzikiej przyrody całkiem sporą liczbę niepełnosprawnych dzieci i zatwardziałych mieszczuchów.

Paradoksalnie jednak Fisher znany jest na świecie nie dzięki związkom z kanionami Wyżyny Mogollon, lecz przygodom, które przeżył w meksykańskich górach Sierra Madre i które później opisał w popularnym przewodniku. To właśnie wydawnictwo od kilku lat jest jego głównym źródłem dochodów, które pozwalają mu prowadzić życie podróżnika i badacza.

To właśnie w Sierra Madre w 1986 roku Fisher dokonał swoich dotychczas największych wyczynów związanych z kanioningiem: pokonał dwa spośród najgłębszych kanionów Ameryki Północnej, Sinforosa i Urique. Podczas wędrówki przez Urique Fisher przeżył najtrudniejsze chwile w swej karierze kanioningowej, choć nie miało to nic wspólnego ze spływaniem rwącymi górskim strumieniami ani ekstremalną wspinaczką skałkową.

Fisher zabrał na tę wyprawę dwoje przyjaciół – Kerry Kruger i jej chłopaka Ricka Bruntona. Wszyscy troje płynęli w małym pontonie. Przez pierwsze trzy dni podróż przebiegała bez przeszkód, aż opuścili stan Chihuahua i wpłynęli do Sinaloa, rejonu znanego z handlu marihuaną i heroiną. Wieczorem rozbili obóz obok niewielkiego strumienia, dopływu Urique, a Fisher poszedł szukać źródła wody

pitnej. Już po kilku chwilach wszedł na pole kukurydziane, które wydało mu się nienaturalnie zielone. Kiedy przyjrzał się uważniej, zauważył, że do każdej łodygi kukurydzy przymocowany jest młody pęd konopi indyjskich.

– Wróciłem szybko nad rzekę – wspomina Fisher. – I powiedziałem: słuchajcie, musimy się stąd zwijać.

Fisher tłumaczy mi, że zdaniem *campesinos* z tej części Meksyku „każdy gringo, który zadaje sobie tyle trudu, by spłynąć tą rzeką, musi być agentem Rządowej Agencji do Walki z Narkotykami. Wiosłowaliśmy jak szaleni przez godzinę, żeby uniknąć konfrontacji z tymi ludźmi, ale rzeka płynęła tam wielkim zakolem, więc w końcu wróciliśmy do tego samego pola kukurydzy. Kiedy wypłynęliśmy zza zakrętu, po obu stronach rzeki aż roiło się od uzbrojonych w strzelby facetów, którzy kucali na brzegu i gapili się na nas. Jeden z nich stał: był ubrany w przyzwoitą koszulę, nosił kowbojski kapelusz i miał karabin maszynowy, a nie strzelbę. Zawołał, żebyśmy przybili do brzegu, bo chce kupić papierosy. Odpowiedzieliśmy, że nie palimy, bo to szkodzi zdrowiu. Nie wiem dlaczego, ale okropnie ich to wszystkich rozbawiło".

W końcu Fisher rozładował sytuację, pokazując twardzielowi z karabinem plik wycinków prasowych, które zawsze wozi ze sobą specjalnie na takie okazje. Przekonani, że Fisher z pewnością nie jest agentem federalnym, hodowcy konopi pozwolili całej trójce płynąć dalej. Wkrótce potem dopłynęli do jakiegoś miasteczka. Jak mówi Fisher, „w promieniu dwustu pięćdziesięciu kilometrów nie było żadnej drogi; to miejsce wyglądało jak żywcem wyjęte z filmów Clinta Eastwooda. Przed domami stały uwiązane konie, a dokoła przechadzali się Meksykanie z bliznami na twarzach i strzelbami na ramieniu. Wszyscy patrzyli na nas tak, jakbyśmy właśnie wyszli ze statku kosmicznego".

Nim popłynęli dalej, Fisher poszedł do centrum osady, by sfotografować niszczejącą XVIII-wieczną misję, a Kruger i Brunton pilnowali łodzi. Podczas nieobecności Fishera trzej podpici młodzieńcy, którzy zakrapiali właśnie zyskowną dostawę dużej ilości marihuany na miejscowe lotnisko, zeszli nad rzekę i zaczęli dla zabawy dokuczać dwójce *gringos*. Kiedy Fisher wracał do łodzi,

jeden Meksykanin próbował właśnie pocałować Kruger, a Brunton śpieszył jej na ratunek. Fisher dotarł na miejsce dokładnie w momencie, gdy Meksykanin wbił w pierś Bruntona lufę pistoletu.

I znów Fisher zdołał rozładować napięcie, nim komukolwiek stała się krzywda. Tym razem dokonał tego, rugając bandziorów łamanym hiszpańskim.

– Starając się nie patrzeć im w oczy, co zostałoby potraktowane jako prowokacja, zacząłem na nich wrzeszczeć, mówiłem, że są *muy malo hombres*, że powinni się wstydzić i zostawić w spokoju biednych turystów. Podziałało. Przywódca szturchnął mnie w ramię, a potem wszyscy schowali broń i odeszli – wspomina.

Wszyscy troje, roztrzęsieni i spoceni, wskoczyli natychmiast do łodzi i odpłynęli najszybciej, jak tylko potrafili.

Oczywiście kanioning nie musi być aż tak emocjonujący, nie musi też obejmować podróży do odległych miejsc. Zrozumiałem to pod koniec tygodnia spędzonego z Fisherem i jego przyjaciółmi na Wyżynie Mogollon, gdy odwiedziliśmy kanion zwany przez miejscowych Salome Jug (Dzban Salome). Znajduje się on w odległości niecałych osiemdziesięciu kilometrów od granic miasta Scottsdale – nocą światła Phoenix lśnią na zachodnim horyzoncie niczym olbrzymi neon – ale właśnie on wydał mi się najbardziej urzekający spośród pięciu kanionów Mogollon, które miałem wówczas okazję odwiedzić. Jeśli podróż w dół w niebezpiecznych rozpadlin, takich jak Tonto Creek czy Barranca de Sinfrosa można porównać do wyprawy w Himalaje, to spływanie przez Salome Jug należałoby zestawić z wycieczką na słoneczną trasę w Shawangunks.

Po półgodzinnym spacerze opuszczoną polną drogą, pośród płomiennych krzewów ocotillo i tysięcy ogromnych kaktusów saguaro, dotarliśmy na skraj wąwozu. Był tak wąski, że mógłbym napluć na drugi brzeg, a jego pionowe ściany, mierzące około sześćdziesięciu metrów wysokości, opadały prosto ku mieniącym się wodom Salome Creek. Wydawało się, że będziemy musieli zjechać na dół po linie, ale Fisher zaprowadził nas ku ukrytej pochyłości, po której bez trudu zeszliśmy na dno kanionu.

Salome Jug ma zaledwie osiemset metrów długości, ale wybujała, dzika przyroda w zupełności kompensuje niewielkie rozmiary. Ten kanion to prawdziwie zachwycający skrawek Ziemi, jakiego nie widziałem nigdy wcześniej. Strumień spływał leniwie łańcuchem długich, wąskich rozlewisk – zabarwionych na niezwykły odcień szmaragdu przez rozpuszczone minerały – połączonych serią kaskad mierzących od kilku centymetrów do dwudziestu metrów wysokości. Nad tym urokliwym zakątkiem wznosiły się ściany z różowego granitu o łagodnych zmysłowych krzywiznach i powierzchni gładkiej jak atłas.

Postanowiliśmy przedostać się z jednego krańca Dzbana na drugi i przez resztę dnia płynęliśmy przez rozlewiska i gramoliliśmy się na wodospady. Od czasu do czasu przysiadaliśmy w słońcu i gapiliśmy się na chmury, które przepływały bo kobaltowym pasie nieba widocznym pomiędzy ścianami kanionu. Już pod wieczór, gdy leżałem na granitowej płycie i syciłem się ciepłem wypływającym z różowej skały, przypomniałem sobie, że właśnie dziś są moje urodziny. Pomyślałem, że nawet gdybym się bardzo starał, nie znalazłbym lepszego miejsca na świętowanie tego dnia.

Rick Fisher

ROZDZIAŁ 9

Góra wyższa niż Everest?

Jak głosi legenda, pewnego gorącego popołudnia 1852 roku główny geodeta indyjskiej służby topograficznej sir Andrew Waugh siedział w swoim biurze w Dehradun, kiedy nagle do pokoju wpadł komputer o nazwisku Hennessey (komputery w owych czasach wykonane były z krwi i kości, a nie krzemu i metalu) i wykrzyknął:

– Panie Waugh! Odkryłem właśnie najwyższą górę na świecie!

Góra, którą „odkrył", wyrastała z łańcucha Himalajów w zakazanym królestwie Nepalu, i w owym czasie oznaczona była jedynie rzymską liczbą XV. Według obliczeń Hennesseya wznosiła się na gigantyczną wysokość 29 002 stóp (8840 metrów) nad poziomem morza.

Używając precyzyjnych teodolitów, geodeci wielokrotnie „namierzali" górę XV z północnych równin Indii w 1849 i 1850 roku, ale do czasu, gdy dwa lata później Hennessey zabrał się do dokładnej analizy tych pomiarów, nikt nawet nie podejrzewał, że ów szczyt jest niezwykle wysoki. Geodezyjne stacje pomiarowe znajdowały się w odległości ponad stu pięćdziesięciu kilometrów od góry, a z tej odległości widać jedynie sam wierzchołek XV, ukryty za potężnymi masywami, które sprawiają wrażenie wyższych.

W 1865 roku, gdy obliczenia Hennesseya zostały dokładnie sprawdzone, a Waugh nie miał już cienia wątpliwości, że żadna inna góra nie może równać się z XV pod względem wysokości, oficjalnie nadał jej nazwę Mount Everest na cześć sir George'a Everesta, jego poprzednika na stanowisku głównego geodety. Nie miał przy tym pojęcia, że Tybetańczycy mieszkający na północ od góry nadali jej już wcześniej kilka nazw, które były nie tylko trafniejsze, ale i znacznie lepiej brzmiały, choćby Czomolungma, czyli Bogini Matka Ziemi.

Nim zmierzono Mount Everest – alias XV, alias Czomolungma – tytuł najwyższej góry świata przyznawano po kolei kilku innym szczytom. W XVII i XVIII wieku uważano powszechnie, że najwyższy jest Chimborazo, mierzący 6267 metrów wulkan w Andach, w Ameryce Południowej. W 1809 roku pewien brytyjski geodeta oszacował wysokość himalajskiego szczytu Dhaulagiri na 26 862 stopy, czyli 8187 metrów (niedawno skorygowano te dane na 8167 metrów), co oznaczało, że właśnie ta góra może sobie rościć prawa

do tytułu. Jednak większość geografów mieszkająca poza granicami Indii uważała takie twierdzenie za niedorzeczność (trudno im było uwierzyć w istnienie gór o takich rozmiarach) i faworyzowała Chimborazo aż do lat czterdziestych XIX wieku, kiedy to za najwyższy szczyt świata uznawano przez jakiś czas Kanczendzongę, mierzącą 8598 metrów wysokości sąsiadkę Mount Everest. W końcu, w następnej dekadzie tytuł trafił do Mount Everest.

Rzecz jasna, że gdy tylko szczyt Mount Everest został ostatecznie uznany za najwyższy punkt na Ziemi, ludzie postanowili się na niego wspiąć. Wejście na Everest, jak twierdził G.O. Dyrenfurth, wpływowy kronikarz pierwszych lat himalaizmu, to „kwestia uniwersalnych dążeń ludzkości, cel, od którego nie ma odwrotu i który trzeba osiągnąć bez względu na koszty". Jak się okazało, koszty te były niemałe: od momentu, gdy Hennessey ogłosił swe niezwykłe odkrycie w biurze sir Andrew, podczas prób wejścia na Everest zginęło piętnaście osób, a trzynaście wypraw musiało pogodzić się z klęską, nim wreszcie, 101 lat później, ktoś dokonał tej sztuki.

Stało się to wczesnym rankiem dwudziestego dziewiątego maja 1953 roku, gdy pewien szczupły Nowozelandczyk, Ed Hillary, i jego drobny towarzysz, Szerpa Tenzing Norgay wspinali się mozolnie na ostatnie pofałdowania południowego grzbietu Mount Everest. Jak wspominał później Hillary: „Późnym rankiem padaliśmy już ze zmęczenia. Niemal od dwóch godzin bez przerwy wycinałem stopnie w lodzie i zastanawiałem się, czy starczy nam sił, by wyjść z tego cało. Wyszedłem zza kolejnego garbu i zobaczyłem, że grzbiet przed nami opada, a dalej rozciąga się widok na Tybet. Nad nami wznosił się już tylko okrągły śnieżny stożek. Kilka uderzeń czekanem, kilka ostrożnych kroków i wraz z Tenzingiem [sic!] stanęliśmy na szczycie".

W ten właśnie sposób Hillary i Tenzing tuż przed południem dwudziestego dziewiątego maja jako pierwsi w historii ludzie stanęli na szczycie Mount Everest.

Cztery dni później, w dniu koronacji królowej Elżbiety, wieści o zdobyciu Everestu dotarły do Anglii. „Times" – pisze Jan Morris, dziennikarka, która jako pierwsza przekazała tę informację (choć wówczas była jeszcze „mężczyzną" i podpisywała swoje artykuły jako James Morris), „zamieścił tę wiadomość w porannym wydaniu.

Olbrzymie tłumy czekające w deszczu na koronację dowiedziały się o tym jeszcze w nocy, cały świat świętował wraz z nam. Było cudownie". Zdobycie trzeciego bieguna (pierwszy i drugi to bieguny północny i południowy) wbiło Brytyjczyków w dumę. Hillary otrzymał tytuł szlachecki, a Tenzing został bohaterem narodowym Indii, Nepalu i Tybetu (państwa te uznały go za swojego obywatela). We wszystkich almanachach i encyklopediach już na zawsze miała się znaleźć informacja, że pierwszymi zdobywcami najwyższego szczytu Ziemi byli sir Edmund P. Hillary i Tenzing Norgay. A przynajmniej tak się wydawało aż do siódmego marca 1987 roku, kiedy w „New York Timesie" ukazała się krótka notka zatytułowana: „Nowe dane wskazują, że Mount Everest może być drugi".

Dane wspomniane w tytule zgromadzone zostały latem 1986 roku przez amerykańską wyprawę na K2 – stromą piramidę z szarej skały i lśniącego lodu, położoną na granicy Chin i Pakistanu, w odległości około tysiąca trzystu kilometrów na północny zachód od Mount Everest. Po zmierzeniu sygnałów elektromagnetycznych nadawanych przez satelitę wojskowego, sześćdziesięciopięcioletni astronom z Uniwersytetu Waszyngtońskiego, George Wallerstein, obliczył, że K2 może mierzyć 8858 metrów wysokości, a nie jak dotychczas sądzono 8610 metrów (nie wykluczano, że wartość ta może sięgnąć nawet 8908 metrów). Gdyby wyniki podane przez Wallersteina okazały się prawdziwe, to K2 – a nie Everest, który według drobiazgowych pomiarów przeprowadzonych przez chińską ekipę badawczą w 1975 roku mierzył 8848 – byłby najwyższym fragmentem *terra firma* na planecie.

W ciągu niemal pięćdziesięciu lat, które upłynęły, odkąd Hillary i Tenzing przetarli pierwszy szlak, na szczyt Everestu wspięło się ponad dwieście osób, a tysiące innych bezskutecznie próbowały tego dokonać. Wszystko to wiązało się z olbrzymimi kosztami, amputacją dziesiątek odmrożonych kończyn i palców oraz śmiercią ponad setki osób. Wszyscy faktyczni i niedoszli zdobywcy Mount Everestu gotowi byli do największych poświęceń, bo wierzyli święcie, że sięgają po najważniejsze na świecie trofeum wspinaczkowe. Gdyby jednak Wallerstein miał rację, mówi Lance Owens, przywódca amerykańskiej ekspedycji na K2 z 1986 roku, okazałoby się, że „wszyscy wspinali

się na niewłaściwą górę". Rzeczywiście, gdyby Wallerstein miał rację, tytuł pierwszych zdobywców najwyższej góry Ziemi należałby nie do Hillary'ego i Tenzinga, ale do pary mało znanych włoskich wspinaczy, Lino Lacedellego i Achille Compagnoniego, którzy w 1954 roku jako pierwsi stanęli na szczycie K2.

Większość doświadczonych geodetów i geografów przestrzegała jednak od razu, że jest za wcześnie, by Hillary zrzekł się tytułu szlacheckiego, a Włosi zaczęli otwierać butelki szampana. Sam Wallerstein kilkakrotnie podkreślał, że jego „obserwacje mają tylko wstępny charakter" i błędem byłoby twierdzenie, iż K2 jest z pewnością wyższy od Everestu – z takimi opiniami należało poczekać do czasu, aż obie góry zostaną ponownie zmierzone za pomocą nowoczesnej techniki satelitarnej. Wallerstein dobrze wiedział, że w historii Himalajów nie brakuje przypadków, gdy ktoś zgłaszał odkrycie góry wyższej od Everestu, a potem, po dokładnym zbadaniu dowodów, musiał się szybko z tego wycofać.

Na przykład na początku lat trzydziestych XX wieku cały świat zainteresował się potężnym szczytem Minya Konka (obecnie zwanym Gongga Shan), położonym w odległej chińskiej prowincji Syczuan. W 1929 roku, po powrocie z ekspedycji mającej na celu odnalezienie pandy olbrzymiej, Kermit i Theodore Roosevelt Jr., synowie prezydenta, napisali książkę, w której twierdzili, że Minya Konka „ma ponad 9100 metrów wysokości i jest najwyższą górą na świecie". Wiarygodności tym plotkom dodawały raporty niejakiego Josepha Rocka, botanika samouka, który lubił ubarwiać swoje opowieści i dość luźno trzymał się faktów. Rock odwiedził klasztor u podnóży Minya Konka, przy użyciu kieszonkowego kompasu i barometru oszacował wysokość góry, po czym szybko wysłał depeszę do National Geographic Society: „MINYA KONKA NAJWYŻSZY SZCZYT NA ZIEMI 30 250 STÓP. ROCK".

National Geographic Society, które sponsorowało wyprawę Rocka do Chin, wzdragało się przed podaniem tej wiadomości. Kolejne, nieco precyzyjniejsze pomiary wykazały, że Minya Konka ma 7589 metrów wysokości, a więc grubo ponad kilometr mniej niż Everest. Nie miało to jednak znaczenia, bo jeszcze wcześniej Rock przebił samego siebie, donosząc, że inna góra, odległa o jakieś sześć

kilometrów na północ od Minya Konka, również ma zdecydowanie ponad 30 000 stóp (9144 metry) wysokości. Szczyt ten, zamieszkany zdaniem tubylczej ludności przez bogów, nazywał się Anye Machin (obecnie Magen Gangri), a pogłoski o jego olbrzymiej wysokości krążyły jeszcze długo po tym, jak zapomniano o sprawie Minya Konka.

Ziarno legendy Anye Machin zostało zasiane przez generała brygady George'a Pereirę, wybitnego brytyjskiego badacza, który w 1921 roku wyruszył z Pekinu w długą podróż wiodącą przez Tybet, Indie, Birmę i południowe Chiny. Pereira zmarł w trakcie wyprawy, ale przed śmiercią, w 1923 roku poznał w chińskiej prowincji Yunnan Josepha Rocka i powiedział mu o olbrzymim szczycie w łańcuchu górskim Anye Machin, który jego zdaniem był wyższy od Mount Everest. Rock natychmiast postanowił tam pojechać.

Ambitny botanik odbył uciążliwą podróż do Anye Machin dopiero w 1929 roku. Oszacował wówczas wysokość góry z odległości około stu kilometrów. „Pomogła mu w tym obserwacja kompasu, pomiary temperatury wrzenia wody i pragnienie zadziwiania świata ogromnymi liczbami" – pisze Galen Rowell, fotoreporter i wspinacz, który w 1981 roku dokonał jednego z pierwszych wejść na Anye Machin. Rock stwierdził wówczas, że Anye Machin ma 9000 metrów wysokości, około stu pięćdziesięciu metrów więcej niż Mount Everest.

O spekulacjach dotyczących wysokości Anye Machin zapomniano na piętnaście lat. Odżyły ponownie pod koniec II wojny światowej dzięki historii, która ukazała się w wielu gazetach na całym świecie. W 1944 roku amerykański samolot DC-3, lecący z Birmy do Chongqing, trafił rzekomo na gwałtowna burzę i znacznie zboczył z kursu. Gdzieś w pobliżu łańcucha górskiego Anye Machin pilot wzleciał nad chmury na wysokości 9230 metrów – pilot twierdził, że wysokościomierz działał bez zarzutu – i zobaczył przed sobą szczyt wystający wysoko ponad pułap chmur, kilkaset metrów wyżej niż jego samolot.

Tak się składa, że cała ta relacja została wymyślona (DC-3 nie jest nawet w stanie wznieść się na wysokość 9000 metrów) przez znudzonych pilotów, którzy chcieli zrobić kawał brytyjskim

korespondentom wojennym domagającym się bezustannie nowych, porywających historii. Jednak w 1947 roku, gdy pięćdziesięciopięcioletni producent długopisów z USA, Milton „Długopis" Reynolds, przeczytał o tym „locie" w nowej książce Jamesa Ramseya Ullmana, nie wiedział jeszcze – podobnie jak reszta świata – że to tylko mistyfikacja. Wiedział za to, że w opowiadaniu „Kingdom of Adventure: Everest" Ullman napisał o Anye Machin następujące słowa: „…jeśli ta tajemnicza góra rzeczywiście okaże się wyższa od Mount Everest, będzie to najważniejsze odkrycie geograficzne naszych czasów".

Reynolds – niski, baryłkowaty i łysiejący milioner, któremu marzyła się światowa sława – lubił przedstawiać się jako wynalazca długopisu. W rzeczywistości długopis był pomysłem pewnego Węgra, Laszlo Biro, a Reynolds tylko sprowadził go do Ameryki. Reynolds szeroko rozreklamował swój nowomodny produkt, twierdząc między innymi, że „To pisze pod wodą!" (choć zapomniał dodać, że w rzeczywistości jego długopisy często nie działały nawet na suchym papierze), dzięki czemu udało mu się w ciągu roku sprzedać towar o wartości trzynastu milionów dolarów.

W kwietniu 1947 roku, wraz ze świetnym pilotem oblatywaczem Billem Odomem Reynolds pobił rekord długości lotu dokoła świata, należący wcześniej do Howarda Hughesa. Ledwie przycichła wrzawa wywołana tym dokonaniem, a już Reynolds wpadł na pomysł, jak je przebić; zamierzał polecieć z Odomem do Chin i udowodnić, że Anye Machin to właśnie ta ogromna, mierząca ponad dziewięć tysięcy góra, którą widzieli piloci DC-3.

Reynolds i Odom polecieli do Chin dwudziestego dziewiątego lutego 1948 roku olbrzymim czterosilnikowym C-87, wyposażonym w najnowocześniejszy sprzęt pomiarowy (specjalnie na potrzeby tej wyprawy samolot otrzymał nazwę „Chiński badacz"). Wśród osób towarzyszących Reynoldsowi był między innymi wybitny alpinista i badacz Bradford Washburn z Muzeum Nauki w Bostonie, który miał dopilnować, by pomiary Anye Machin zostały przeprowadzone rzetelnie i skrupulatnie. W ładowni samolotu znajdowało się dziesięć tysięcy pozłacanych długopisów, prezent dla madame Czang Kaj-

szek. Kiedy jeden z asystentów Reynoldsa zauważył, że długopisy mają feler i nie chcą wcale pisać, Reynolds odparł:

– Wiem, ale Chińczycy i tak nie umieją pisać, a na pewno im się to spodoba.

Ekspedycja zaczęła się pechowo. Podczas kołowania na lotnisku w Pekinie, tuż przed lotem nad Anye Machin, Odom wprowadził C-87 w błoto, a potem próbował go stamtąd wyrwać, dodając gwałtownie gazu. Chińscy i amerykańscy naukowcy obecni na pokładzie samolotu obserwowali z przerażeniem, jak prawe podwozie łamie się z trzaskiem, a ciężka maszyna opada na ziemię. Okazało się, że zniszczeniu uległo nie tylko podwozie, ale także zbiornik paliwa i jedno ze śmigieł. Nikomu nic się nie stało, lecz Reynolds oświadczył ze smutkiem, że wyprawa dobiegła końca.

Jakiś czas później podwozie zostało naprawione, a Reynolds i Odom polecieli C-87 do Szanghaju po nowe śmigło, które miało im umożliwić powrót do Stanów Zjednoczonych. Już po wymianie śmigła Reynolds wpadł jednak na pewien pomysł: zaproponował Odomowi, by zamiast wracać do domu, wykonali niezapowiedziany (i nielegalny) lot prosto z Szanghaju do Anye Machin – bez Washburna i wścibskich chińskich obserwatorów – sami przeprowadzili pomiary, a potem polecieli do Kalkuty.

Wystartowali drugiego kwietnia, okazało się jednak, że Odom źle oszacował ilość paliwa potrzebną do realizacji tego śmiałego planu. Anye Machin znajduje się w odległości dwóch tysięcy czterystu kilometrów od Szanghaju, a Kalkuta jeszcze trzy tysiące dwieście kilometrów dalej. Nim „Chiński badacz" zbliżył się do góry, Odom zrozumiał, że jeśli nie chcą rozbić się gdzieś w górach Tybetu, muszą natychmiast zawrócić. „W tym momencie – pisał później Reyndols – ujrzałem olbrzymią górę wystającą z warstwy chmur poniżej i sięgającą chmur na poziomie dziewięciu tysięcy metrów… W końcu zobaczyłem na własne oczy najwyższą górę świata!"

„Chiński badacz" zdołał dotrzeć do Szanghaju, gdy w zbiornikach zostało mu paliwa na co najwyżej piętnaście minut lotu. Wściekli Chińczycy natychmiast zatrzymali samolot, Amerykanie zaś zostali odprowadzeni do hotelu pod zbrojną eskortą. Reynolds jednak nie zamierzał dać za wygraną. Kilka dni później obaj Amerykanie

przemknęli się ukradkiem do swojego samolotu, by podjąć próbę ucieczki. Jak opowiada Reynolds, gdy tylko wsiedli do samolotu, zbliżył się do nich „tłum rozwścieczonych Chińczyków". Aby odwrócić ich uwagę, Reynolds wyrzucił na zewnątrz ostatnie dwie setki pozłacanych długopisów. Podczas gdy Chińczycy bili się o nie między sobą, Odom uruchomił silniki i wystartował odprowadzany ogniem z broni maszynowej.

Reynolds, Odom i „Chiński badacz" wrócili do Stanów cali i zdrowi, ale bez jakichkolwiek dowodów na to, Anye Machin jest rzeczywiście wyższa od Mount Everest. W 1949 roku pewien badacz, niejaki Leonard Clark, postanowił naprawić to niedopatrzenie, dotarł do podnóży Anye Machin z prymitywnym teodolitem pożyczonym z chińskiej firmy budowlanej i zmierzył górę, która jego zdaniem miała 9040 metrów wysokości.

– Nie ulega wątpliwości, że znalazłem najwyższą górę na świecie – oznajmił po powrocie.

Odnosząc się do śmierci generała Pereiry oraz Billa Odoma, który zginął w wypadku podczas pokazów lotniczych w Cleveland w 1949 roku, Clark twierdził z przekonaniem, że na Anye Machin ciąży przekleństwo przynoszące pecha „wszystkim badaczom, lotnikom i poszukiwaczom przygód, którzy kiedykolwiek ujrzeli tę przeklętą górę. Kilka lat później Clark zginął bez śladu podczas wyprawy do południowoamerykańskiej dżungli. Pomiary Clarka nie przetrwały dłużej niż on sam: badania przeprowadzone przez Chińczyków w latach siedemdziesiątych pozwoliły stwierdzić, że Anye Machin mierzy zaledwie 6282 metry.

Czy więc pomiar wysokości K2 dokonany przez Wallersteina był równie podejrzany jak błędne szacunki Clarka, Rocka i Reynoldsa odnoszące się do Anye Machin? A jeśli nie, to jak mogło dojść do tego, że góra tak przeciętna jak Anye Machin przez pięćdziesiąt lat była uważana za rywala Mount Everest, a nikomu nie przyszło do głowy, że K2 – wyższy od Anye Machin o ponad dwa tysiące trzysta metrów – również może pretendować do tytułu najwyższego szczytu świata?

Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmiała – może tak, a może nie. Jeśli chodzi o pytanie drugie, należy wyjaśnić, że w odróżnieniu od

Anye Machin, zarówno Everest, jak i K2 (który po raz pierwszy został zmierzony przez Brytyjczyków w 1856 roku; bezbarwna nazwa góry to po prostu pierwszy z brzegu symbol wykorzystany przez geodetę) zostały fachowo zmierzone i zbadane tyle razy, iż wszyscy uznali te wyniki za niepodważalne.

Mierzenie gór jest jednak diabelnie trudnym zadaniem, które pozostawia wiele miejsca na błędy. Jak wyjaśnia Louis Baume w „Sivalaya", kompendium informacji o czternastu najwyższych górach świata: „Określanie wysokości himalajskich szczytów to dziedzina tak złożona i wymagająca tak ogromnej wiedzy, że nawet anioły uzbrojone w teodolity i piony nie odważyłyby się tam zapuścić".

Aby zmierzyć wysokość góry tradycyjnym sposobem, czyli metodą triangulacji, geodeta za pomocą teodolitu określa najpierw kąt wznoszenia szczytu z co najmniej dwóch różnych miejsc o znanej wysokości. Po zmierzeniu odległości między tymi dwoma punktami zna już wielkość kątów oraz jednego boku olbrzymiego trójkąta wyznaczonego przez wierzchołek góry i punkty pomiaru. Wprowadza te trzy liczby do prostego równania trygonometrycznego, dodaje poprawkę uwzględniającą krzywiznę Ziemi i otrzymuje wysokość góry.

Abstrahując od pytania o to, skąd znana jest wysokość punktów pomiarowych, zastanówmy się nad kilkoma trudniejszymi problemami, z którymi musi się borykać geodeta, realizując opisany powyżej proces. Przetwarzając dane potrzebne do obliczenia wysokości góry, mierniczy powinien na przykład wziąć pod uwagę takie niewiadome, jak refrakcja atmosferyczna i odchylenie pionu. Zacznijmy od drugiego zjawiska, które, mówiąc najprościej, polega na tym, że olbrzymia masa Ziemi, na przykład Himalaje, przyciąga pęcherzyki powietrza w poziomicy wodnej geodety – tak jak Księżyc przyciąga masy wody na Ziemi, powodując pływy – i tym samym zmienia wskazania urządzenia.

Zjawisko pierwsze, czyli refrakcja atmosferyczna, to inaczej zakrzywienie promieni światła – tych samych promieni, które tworzą obraz góry w okularze teodolitu – przechodzących przez powietrze między górą i mierniczym, co sprawia, że góra wydaje się wyższa niż jest w rzeczywistości. Dokładna wielkość tego zakrzywienia to bardzo

istotna, ale trudna do określenia zmienna, zależna od takich czynników, jak temperatura i gęstość każdej warstwy atmosfery, przez którą przechodzi światło.

Na przykład między wschodem słońca i południem, gdy atmosfera się ogrzewa, a własności refrakcyjne powietrza się zmieniają, wysokość mierzonego szczytu może „zmniejszyć się" nawet o kilkaset metrów. Wpływ tej zmiennej na ostateczne wyniki pomiaru wzrasta wykładniczo wraz ze wzrostem odległości geodety od góry. Mierząc Everest z pozycji zlokalizowanych na odległych równinach Indii, mierniczy muszą korygować wyniki obliczeń aż o czterysta dwadzieścia metrów, by uwzględnić szacowaną refrakcję światła.

Wszystkie problemy wspomniane powyżej to jednak tylko ostatnia część układanki. Jeśli wcześniej nie ułożysz poprawnie pozostałych części łamigłówki – które pozwolą ci określić wysokość pozycji mierniczych – mierzenie wysokości góry będzie tylko stratą czasu.

Najważniejszy element określenia wysokości góry nad poziomem morza to ustalenie, jak ujął to Wallerstein, „gdzie fale uderzałyby o zbocze góry, gdyby morze nie znajdowało się tysiąc kilometrów dalej". Punkty triangulacyjne wykorzystywane przez Brytyjczyków do mierzenia Everestu znajdują się w odległości ponad półtora tysiąca kilometrów od punktu wyjściowego pomiarów, czyli miasta Madras położonego na południowo--wschodnim wybrzeżu Indii; w przypadku K2 punkty triangulacyjne były oddalone od Madrasu o ponad dwa tysiące siedemset kilometrów. Nim przystąpiono do pomiarów jednej i drugiej góry, należało ustalić wysokość ostatecznych punktów triangulacyjnych. Dokonano tego za pomocą tysięcy niezależnych, żmudnych pomiarów triangulacyjnych, które stworzyły jeden długi łańcuch przecinający cały subkontynent indyjski. Tego rodzaju proces, mówi David N. Schramm, były szef wydziału astronomii i astrofizyki na Uniwersytecie Chicago, „jest jak budowanie domku z kart. Każdy poziom danych budowany jest na poprzednim. Jeśli jeden z nich zawiedzie, zawali się cała konstrukcja".

Podczas pomiaru K2 przeprowadzonego w 1986 roku profesor Wallerstein mógł całkiem zrezygnować ze złożonego procesu budowania „domku z kart", na którym opierali swoje obliczenia poprzedni badacze. Korzystał z trzydziestokilogramowego

instrumentu wielkości walizki, zwanego radiolokatorem dopplerowskim. Radiolokator używany podczas tego konkretnego pomiaru miał za zadanie analizować fale radiowe przesyłane przez sieć sześciu satelitów umieszczonych na orbicie przez amerykańską marynarkę wojenną (zasadniczo ułatwiały one prowadzenie nawigacji na okrętach podwodnych). Mierząc delikatne zmiany w „tonie" sygnałów nadawanych przez przelatującego w górze satelitę (ten sam efekt Dopplera sprawia, że wycie syren staje się nagle niższe, gdy samochód policyjny przejeżdża obok nas), radiolokator może określić długość i szerokość geograficzną oraz wysokość miejsca, w którym został ustawiony, znacznie precyzyjniej niż za pomocą łańcucha triangulacji prowadzących od góry do morza. Jeśli porówna się i uśredni wyniki zebrane podczas dziesięciu czy dwunastu przelotów satelity, radiolokator dopplerowski może określić położenie danego punktu na Ziemi z dokładnością do jednego metra w pionie i poziomie.

Radiolokatory dopplerowskie, choć bardzo dokładne, są również bardzo drogie (wysokiej klasy radar tego typu kosztuje co najmniej osiemdziesiąt tysięcy dolarów). Ponieważ nikt nie miał powodów, by podejrzewać, że powszechnie dotąd akceptowane wysokości Everestu i K2 mogą być obciążone znaczącym błędem, używano tych przyrządów do celów praktyczniejszych – określanie położenia złóż kopalin czy samolotów, które uległy awarii – niż mierzenie himalajskich olbrzymów. Kiedy jednak Wallerstein i Lance Owens kupili używany radiolokator po atrakcyjnej cenie, postanowili zabrać go na K2 raczej dla zabawy niż z konkretnego powodu.

Ósmego czerwca 1986 roku – nad łańcuchem górskim Karakorum wstał właśnie zimny, pogodny dzień – Wallerstein postawił antenę radiolokatora na niewielkim pagórku u podnóża K2, włączył urządzenie, a potem określił swoje położenie za pomocą satelity, który przelatywał ponad tysiąc sto kilometrów nad jego głową. Potem, korzystając z tej precyzyjnie wyznaczonej wartości i zwykłego teodolitu, Wallerstein określił metodą triangulacji wysokość kilku okolicznych gór, które po raz ostatni zostały zmierzone w 1937 roku przez brytyjskiego badacza Michaela Spendera.

Po powrocie do Seattle Wallerstein stwierdził ze zdumieniem, że wartości obliczone przez Spendera były we wszystkich przypadkach mniejsze o prawie dwieście siedemdziesiąt metrów od uzyskanych przez niego wyników. Ponieważ jedynym punktem odniesienia, jaki wykorzystywał podczas swoich pomiarów Spender, był wierzchołek K2 – położony jego zdaniem na wysokości 8610 metrów – Wallerstein doszedł do wniosku, że wysokość samego K2 również musi być zaniżona o owe 270 metrów. Wynikało z tego, ze K2 może być wyższy od Everestu.

Po dokonaniu tych obliczeń Wallerstein – który jest wybitnym astronomem i skrupulatnym naukowcem, ale nie ma zbyt wielkiego doświadczenia w przeprowadzaniu pomiarów – podkreślał wielokrotnie, że ze względu na wąski zakres badań nie twierdzi, iż K2 jest wyższy od Everestu, a że jedynie może być. Głównym celem wyprawy, do której dołączył Wallerstein, było zdobycie K2 (zespół dotarł na wysokość 8080 metrów na północnej ścianie szczytu, potem musiał jednak skapitulować przed takimi samymi śnieżycami, które przyczyniły się do śmierci trzynastu osób po drugiej stronie góry), a nie przeprowadzanie pomiarów, więc przez większość czasu spędzonego w Chinach Wallerstein musiał zajmować się wyciąganiem sprzętu wspinaczkowego i zapasów żywności na niższe partie masywu. Gdy uporał się już z tymi obowiązkami, zostało mu tylko kilka dni na przeprowadzenie pomiarów.

Co więcej, bateria słoneczna, która miała zasilać radiolokator, uległa awarii. Dlatego też, nim wyczerpały się baterie, urządzenie zdołało zapisać dane z jednego tylko przelotu satelity. Choć trzydzieści dwa odczyty wykonane podczas tego jednego przelotu były bardzo dokładne, bez kolejnych pomiarów nie dało się potwierdzić ich wiarygodności.

Pomimo wszystkich tych braków i zastrzeżeń samego Wallersteina informacja, że K2 może być wyższy od Everestu, wywołała spore zamieszanie, szczególnie we Włoszech. Natychmiast po tym, jak „New York Times” oraz czasopismo „Outsider” podały jednocześnie tę wiadomość, włoska prasa i telewizja zasypały Wallersteina prośbami o wywiad. Nie tylko Włosi, ale i większość wspinaczy na całym świecie (może z wyjątkiem tych, którzy zdobyli Everest)

kibicowała K2, uważając, że ponieważ góra ta jest ładniejsza niż Everest, a do tego znacznie trudniejsza do zdobycia, po prostu zasługuje na to, by być również wyższa. Jednakże mimo całej tej medialnej wrzawy wokół K2 Bradford Washburn – który odegrał kluczową rolę w przywróceniu właściwych proporcji Anye Machin – twierdził z uporem, że gdy wszystko się już uspokoi, Mount Everest zachowa tytuł najwyższej góry świata. A jeśli nie? „Cóż, Ed Hillary będzie zapewne nieco rozczarowany" – odparł spokojnie wybitny geodeta.

W ciągu tygodnia po nagłośnieniu odkrycia Wallersteina kilka zespołów wspinaczy oznajmiło, że zamierza rozstrzygnąć sprawę raz na zawsze, mierząc ponownie K2 i Everest przy użyciu radiolokatora. Jak na ironię, pierwszą z ekspedycji, która wykonała to zadanie, był włoski zespół prowadzony przez Ardito Desio – ten sam Ardito Desio prowadził również włoską wyprawę, która w roku 1954 jako pierwsza zdobyła szczyt K2. Po przeprowadzeniu drobiazgowych pomiarów satelitarnych pod Everestem i K2 – trzeba tu oddać Desio, że oparł się pokusie i nie sfałszował danych na korzyść K2 – szóstego października 1987 roku podano do wiadomości publicznej oficjalne wyniki: Everest – 8872 metry, K2 – 8616 metrów. Hillary bez wątpienia odetchnął głośno z ulgą.

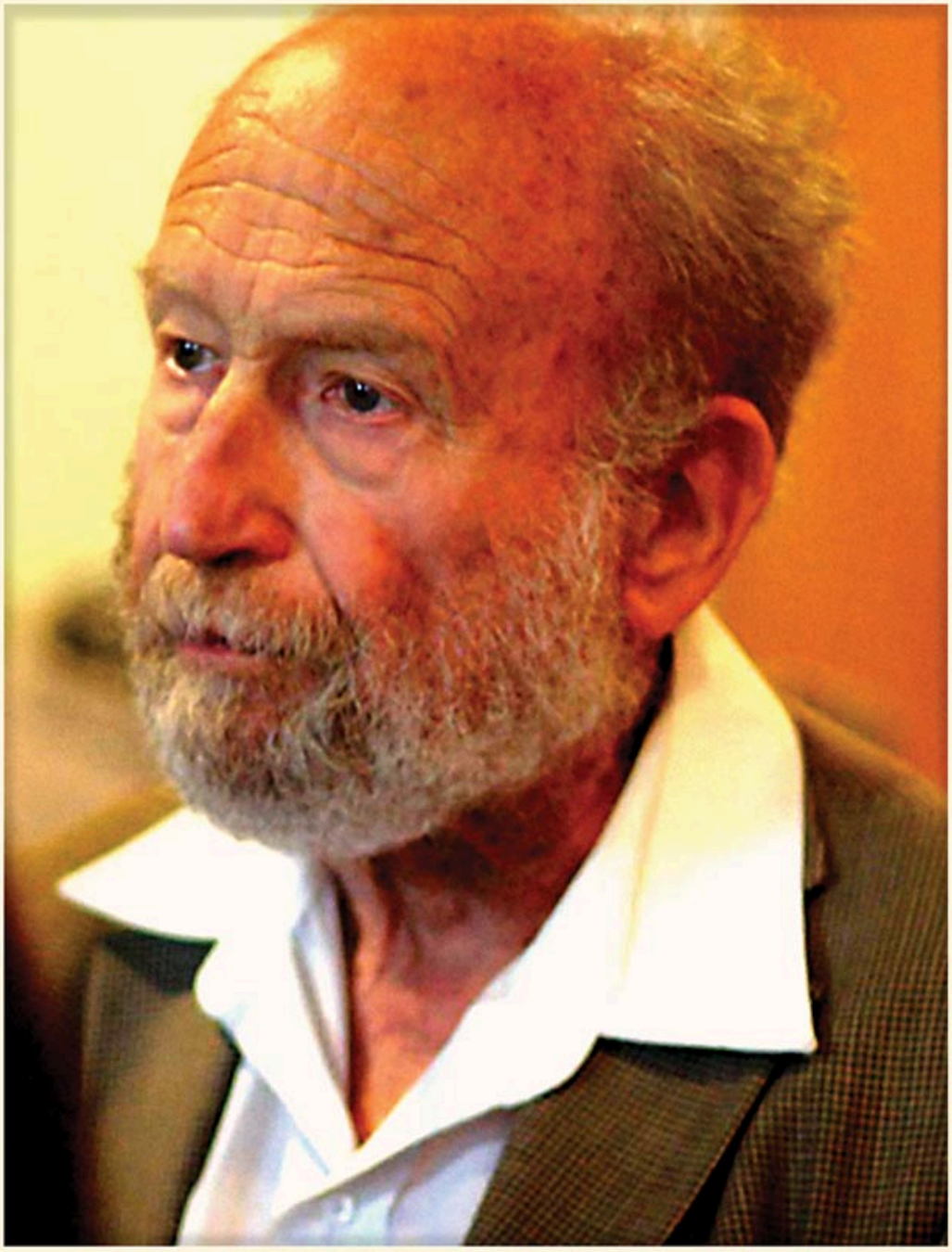

fot. Robert T. Rood

George Wallerstein

ROZDZIAŁ 10

Bracia Burgessowie

Wiosna podobno już zawitała w góry Front Range w Kolorado, ale na niebie wiszą ciężkie chmury, a ściany Kanionu Kolorado smaga lodowaty wiatr, gdy Adrian Burgess, trzydziestodziewięcioletni Anglik mieszkający w Boulder, wspina się na stromy czerwony piaskowiec zwany C'est La Vie. Na wysokości czterdziestu metrów zatrzymuje się na ukośnej półce, mocuje linę do dwóch śrub i asekuruje trójkę swoich partnerów. Jako ostatni dołącza do Adriana jego brat bliźniak, Alan.

Kiedy Alan staje na odsłoniętej półce, wiatr przybiera nagle na sile i niesie ze sobą pierwsze płatki śniegu. Alan spogląda w górę, na kolejną część trasy o stopniu trudności 5.11, po czym przenosi wzrok na Adriana i mówi:

– Chyba już otwierają Bustop, co młody?

Bustop to bar – Alan zagląda tam często, gdy odwiedza Adriana między wyprawami w Himalaje, które zdominowały życie bliźniaków przez ostatnich dziewięć lat. Alan twierdzi, że lubi Bustop, bo jest blisko domu Adriana. Nie przeszkadza mu też zapewne fakt, że podczas happy hours można tu kupić dwa piwa za jednego dolara, a do tego jest to lokal ze striptizem.

Po szybkim odwrocie z Eldorado cała ekipa Burgessów podjeżdża przed Bustop rdzewiejącym produktem z Detroit – najcenniejszym przedmiotem, jaki posiada Adrian – który ma na zderzaku naklejkę z napisem „Głupiec i jego pieniądze szybko się rozchodzą". Wydaje się, że większość tancerek pracujących w olbrzymim, słabo oświetlonym wnętrzu baru dobrze zna Alana; niektóre uśmiechają się do niego ciepło i pozdrawiają go, gdy prowadzi nas do stolika z widokiem na wybieg. Obsługuje nas kelnerka o imieniu Susan, którą Alan poznał w Periche, wiosce Szerpów położonej przy trasie prowadzącej na Everest. Przychodzi mi do głowy myśl, że prawdopodobnie nigdzie poza Boulder nie można znaleźć striptizerek, które spędzają wakacje na wędrówkach po Nepalu.

Kiedy siadamy przy stoliku, Adrian wydaje się nieco skrępowany.

– Chodzi o Lornę – tłumaczy mi szeptem Alan. – Uważa, że Adrian nie powinien tu przychodzić.

Lorna, bogata siostrzenica kongresmena, od siedmiu lat jest żoną Adriana. Gdy tylko nadarza się okazja, Alan ukradkiem wsuwa

pudełko zapałek z charakterystycznym logo Bustop do kieszeni płaszcza Adriana. Liczy na to, że Lorna kiedyś je znajdzie i zażąda wyjaśnień.

– Chłopak powinien mieć się na baczności – szepcze Alan z szelmowskim uśmieszkiem.

Na szczęście Adrian potrafi mieć się na baczności w każdych okolicznościach, podobnie jak Alan. Jeśli nie lubisz pracować i żyjesz tylko dzięki urokowi osobistemu oraz drobnym przekrętom, a do tego przez znaczną część roku igrasz ze śmiercią na Dachu Świata, to dobrze wiesz, jak zachować czujność.

Bracia Burgessowie zajmują unikatową niszę we współczesnej społeczności alpinistycznej. Choć społeczność ta została zdominowana przez prowadzących zdrowy tryb życia, trenujących od świtu do nocy Francuzów, Niemców i Austriaków, którzy pozują do reklam alfa romeo i użyczają swoich nazwisk seriom modnych ubrań, bliźniacy zdają się należeć do zupełnie innej kasty – bywalców pubów i awanturników, którzy bez ustanku wchodzą w konflikt z prawem. Należą do ostatniego pokolenia brytyjskich wspinaczy z klasy robotniczej, dla których to, ile pijesz i z kim się bijesz, jest równie ważne, jak to, na jakie wspinasz się góry. Choć ich nazwiska niewiele mówią szerszej publiczności, w obrębie tego małego międzynarodowego środowiska, które bez ustanku wyszukuje coraz to trudniejsze trasy na coraz to wyższych górach, Burgessowie są gwiazdami pierwszej wielkości.

Adrian i Alan Burgessowie są chudzi i wysocy, mają wiecznie bladą skórę, pociągłe, typowo angielskie twarz i długie jasne, zwykle przetłuszczone włosy; wyglądają jak brytyjskie gwiazdy rocka z połowy lat sześćdziesiątych, żywcem wyjęte z takich zespołów jak Animals czy The Who. Urodzili się i wychowali w robotniczej osadzie Holmfirth, na obrzeżach rozległych wrzosowisk Yorkshire – tych samych pustych, ponurych obszarów, które opisują w swych powieściach siostry Brontë. W przypadku braci Burgessów dziecięce wędrówki po wrzosowiskach doprowadziły do spotkania ze wspinaczami z północnej Anglii. Ludzie ci wypełnili młode chłonne umysły bliźniaków opowieściami o niezwykłych wyczynach Dona

Whillansa, Joe Browna i innych rozpijaczonych bohaterów skalnych wypraw, a tym samym nieodwracalnie zmienili bieg życia Burgessów.

Bliźniacy zaczęli się wspinać w wieku czternastu lat i natychmiast pokochali ten sport. W wieku lat siedemnastu po raz pierwszy pojechali w Alpy i wkrótce zaliczali wiele spośród najbardziej przerażających tras w Chamonix i Dolomitach. Wcześniej słyszeli z ust swoich starszych kolegów historie o legendarnych drogach, takich jak Les Droites czy Filar Freney, i doszli do wniosku, że zdobywanie sławnych północnych ścian i balansowanie na skraju życia i śmierci to na kontynencie norma. W 1973 roku, gdy mieli dwadzieścia cztery lata, postanowili poszerzyć swoje wspinaczkowe horyzonty, wsiedli do starej zdezelowanej furgonetki i pojechali do Indii, gdzie wyznaczyli nową trudną trasę na Ali Rattma Tibba, himalajskim szczycie mierzącym 5486 metrów.

Na początku lat siedemdziesiątych pracowali przez jakiś czas w rodzącej się dopiero branży edukacji na świeżym powietrzu i prowadzili kursy dla młodocianych przestępców.

– Mieliśmy pomagać w przemianie tych ludzi w przyzwoitych obywateli – wyjaśnia Adrian. – Tyle że my sami musielibyśmy najpierw przejść taką przemianę.

W połowie lat siedemdziesiątych Burgessowie przeprowadzili się do Kanady i znaleźli zatrudnienie na budowie w Calgary – podali się za wysoko wykwalifikowanych cieśli, choć wiedzieli o ciesielce tylko tyle, ile przeczytali w książce wypożyczonej z biblioteki na dzień przed rozmową o pracę. Alan otrzymał też kanadyjskie obywatelstwo, głównie dzięki temu, że przedstawiał się jako świetny mechanik samochodowy, specjalista od volkswagenów, których najwyraźniej brakowało wówczas w Calgary. Okazało się jednak, że praca, nawet na dworze, jest znacznie mniej zabawna niż wspinaczka, Burgessowie doszli więc do wniosku, że mogą się bez niej obejść. Bliźniacy mówią teraz z dumą, że poza kilkoma drobnymi wyjątkami od 1975 roku żaden z nich nie skalał się uczciwą pracą.

Właśnie wtedy zaczęli podróżować po całym świecie, pijąc, awanturując się i godnie podtrzymując tradycję, której początek dał Don Whillans. Byli aresztowani w czterech krajach, w wielu innych mieli zatargi z policją. W Limie, stolicy Peru, wszczęli awanturę w

miejscowym burdelu, oskarżając właścicieli o oszustwo. Mieszkańcy Talkeetna na Alasce wciąż wspominają z wściekłością, jak Burgessowie oraz ich sześciu brytyjskich kumpli zbiegli z baru Fairview z trzydziestoma skrzynkami piwa i cudem uniknęli potem odsiadki.

Podróżując po świecie, bliźniacy zaliczali też kolejne trudne trasy wspinaczkowe, od Fitzroy po McKinley, od Huascaran do Howser Tower, od Les Droites do Logan i Grandes Jorasses.

– Nasze życie zamieniło się w jedną długą wyprawę – wspomina z niedowierzaniem Al. – Było ich tyle, że teraz czasami trudno mi oddzielić jedną od drugiej.

Dokonania Burgessów nie uszły uwagi brytyjskiej społeczności wspinaczkowej. Już w 1975 roku Chris Bonington zastanawiał się, czy nie zaprosić ich na swoją historyczną wyprawę na południowo-zachodnią ścianę Everestu – trasę nazywaną szumnie „najtrudniejszą drogą na najwyższą górę świata". Ekspedycja wyniosła w końcu na szczyt Dougala Hastona i Doga Scotta, ale bliźniacy nie znaleźli się w zespole, prawdopodobnie dlatego, że jak spekuluje Alan „ludzie uważali nas za awanturników, a Boningtonowi zależało na opinii mediów, więc nie chciał brać ze sobą nikogo, kto mógłby mu narobić kłopotów".

Kiedy bliźniacy zrozumieli, że opinia awanturników może na zawsze wykluczyć ich z wypraw na wielkie himalajskie szczyty, postanowili wziąć sprawy w swoje ręce. W 1979 roku połączyli siły ze swoim przyjacielem, Paulem Mooresem, i pojechali do Nepalu, by dokonać zuchwałej próby wejścia w stylu alpejskim na mierzący 7937 metrów szczyt Annapurna II. Na wysokości 7160 metrów zatrzymały ich huraganowe wiatry, ale smak rozrzedzonego himalajskiego powietrza tylko zaostrzył im apetyty. Od tego czasu Burgessowie co roku wracają w Himalaje lub do Karakorum.

Minionej jesieni wybrali się na Lhotse – najbliższego sąsiada Mount Everest i czwartą co do wysokości górę świata. Okazało się jednak, że 1987 nie był najlepszym rokiem na wspinaczkę w Himalajach. Śnieżyce atakowały góry z taką częstotliwością i zawziętością, że ani jednemu wspinaczowi nie udało się dotrzeć na szczyt K2 i Everestu – na tej ostatniej górze sytuacja taka miała miejsce po raz pierwszy od

szesnastu lat. Nic więc dziwnego, że bliźniacy, uwięzieni w połowie drogi na szczyt Lhotse, odetchnęli z ulgą, gdy dwudziestego siódmego września nad nepalskim lodowcem Khumbu zaświtał pogodny jasny dzień.

Alan szedł w górę południowo-wschodniego filara Lhotse, prowadząc za sobą Adriana i znajomego z Kolorado, Dicka Jacksona. Olbrzymie ilości świeżego śniegu zalegające na zboczach stwarzały poważne zagrożenie lawinowe, ale pokrywa lodowa ukryta pod półmetrową warstwą puchu wydawała się wystarczająco solidna. Alan uważał, że dysponując doświadczeniem zebranym podczas kilkunastu wypraw w Himalaje, potrafi stwierdzić, kiedy góra jest bezpieczna, a kiedy nie. Ponadto wydawało mu się, że należy maksymalnie wykorzystać okres dobrej pogody w sezonie, w którym było jej tak mało.

Na wysokości siedmiu tysięcy metrów trasa wiła się zygzakami między szeregiem lodowych klifów. Alan, ubezpieczany z dołu przez brata, pokonywał właśnie łatwy odcinek drogi obok jednego z seraków, gdy usłyszał głęboki, przytłumiony huk. Spojrzał w górę i zobaczył jak na zboczu pojawia się wielka zygzakowata rysa, a dokładnie nad jego głową od podłoża odrywa się olbrzymi płat ubitego śniegu o grubości półtora metra i szerokości pięćdziesięciu metrów.

Przez moment śnieżna płyta przesuwała się zadziwiająco ociężale, jakby w zwolnionym tempie, kiedy jednak ruszyła w końcu ku dolinie, zaczęła przyspieszać w zastraszającym tempie. Jakieś dwanaście metrów niżej czoło płyty uderzyło Alana prosto w pierś.

– Próbowałem się na nią wspiąć – wspomina Alan – ale nie miałem szans. Wciągnęło mnie pod spód, zrobiło się nagle ciemno, a ja pomyślałem tylko „Cholera, więc tak wygląda śmierć". Ale parę sekund później wyskoczyłem nagle na powierzchnię, zwrócony twarzą w dół zbocza. Śnieg sięgał mi do pasa i ciągnął mnie w dół. Odruchowo odgiąłem się do tyłu, jakbym chciał zrobić mostek, a to cholerstwo wślizgnęło się pode mnie.

Okazało się jednak, że Alan trafił z deszczu pod rynnę: lawina pochłonęła również dwójkę jego towarzyszy i niosła ich w stronę sześćdziesięciometrowej lodowej przepaści. Ledwie Alan zdążył wbić

czekan i stopy w śnieg, lina łącząca go z Adrianem i Jacksonem napięła się jak struna i omal nie ściągnęła go ponownie w dół zbocza.

Choć musiał utrzymać ciężar ciał swoich towarzyszy, a sam ledwie trzymał się gruntu, zdołał zachować tę pozycję na tyle długo, by lina wyciągnęła Adriana i Jacksona na powierzchnię lawiny, która przesuwała się pod nimi. Gdy w końcu obaj się zatrzymali, od skraju przepaści dzieliły ich zaledwie trzy metry.

Tego samego popołudnia, gdy dochodzili do siebie w bazie, zauważyli orłosępy – tybetańskie ptaki padlinożerne o rozpiętości skrzydeł sięgającej trzech metrów – krążące nad górą. Zdziwiło ich to nieco, bo orłosępy pojawiają się tylko tam, gdzie leżą martwe jaki lub inna padlina, a w pobliżu z pewnością nie było żadnych jaków. Zagadka rozwiązała się następnego dnia, gdy bliźniacy zeszli wraz z lekarzem hiszpańskiej wyprawy do podnóży góry, by szukać jego czterech zaginionych towarzyszy, i znaleźli na pozostałościach lawiny rozrzucony sprzęt wspinaczkowy.

Hiszpanie próbowali się wspiąć na Lhotse drogą sąsiadującą z trasą Burgessów i podobnie jak oni zostali zaskoczeni przez lawinę. Hiszpańscy wspinacze mieli jednak mniej szczęścia; wszyscy czterej spadli wraz ze śniegiem z wysokości tysiąca ośmiuset metrów. Bliźniacy pomogli lekarzowi pogrzebać dwa zmasakrowane ciała, które udało im się odnaleźć w pozostałościach lawiny.

– Stary… – wzdryga się Adrian na to wspomnienie. – To była paskudna robota.

Nie była to jednak robota, z którą bliźniacy zetknęli się po raz pierwszy.

Każdy wspinacz wychodzący w wyższe partie Himalajów musi się liczyć z tym, że może być świadkiem czyjejś przedwczesnej śmierci. W przypadku wspinaczy, którzy wchodzą na ośmiotysięczniki tak często jak bracia Burgessowie, jest to praktycznie nieuniknione. Obaj byli w Himalajach w 1982 roku – Alan uczestniczył w dużej kanadyjskiej ekspedycji na Everest, Adrian zaś był członkiem małego zespołu z Nowej Zelandii, który próbował zdobyć Lhotse od zachodu – gdy najpierw lawina schodząca z osławionego lodowca Khumbu, a potem spadający serak zabiły pięć osób z ich grup. Bliźniacy byli

również na K2 tego paskudnego lata w 1982 roku, kiedy góra pozbawiła życia aż trzynaście osób, w tym szefa ich ekspedycji, świetnego angielskiego wspinacza Alana Rouse'a. Towarzysze Rouse'a (nie bliźniacy) zmuszeni byli zostawić go w namiocie na wysokości 7900 metrów – nieprzytomnego, ale wciąż żywego – by ratować własne życie.

Według obliczeń bliźniaków ponad połowa ich wspinaczkowych towarzyszy została „odstrzelona", jak ujmuje to Adrian, w większości w Himalajach. Ale jeśli nawet ta ponura statystyka niepokoi braci Burgessów, to nie okazują tego w żaden sposób. Podejmowanie ryzyka, stąpanie po cienkim lodzie, pokonywanie narastających trudności to nieodłączne elementy wspinaczki wysokogórskiej w najlepszym wydaniu. Ci, którzy decydują się na udział w tej niebezpiecznej zabawie, nie robią tego pomimo ogromnego ryzyka, ale właśnie ze względu na nie.

Choć tragiczny los hiszpańskich wspinaczy unaocznił bliźniakom, jak niewiele brakowało, by i oni pożegnali się z życiem, Burgessowie wcale nie mieli zamiaru zrezygnować z planów wspinaczki na południowo--wschodni filar Lhotse, przejścia po długim, poszarpanym grzbiecie tej góry, zejścia po jej zachodniej stronie i pokonania groźnego lodospadu Khumbu. Alan nawet zdołał sobie wmówić, że przygoda, która omal nie skończyła się dla nich śmiercią, jedynie zwiększyła ich szanse – od tej pory zamierzali być ostrożniejsi.

Tydzień po zejściu lawin bracia Burgessowie, Dick Jackson i jeszcze jeden mieszkaniec Kolorado, Joe Frank, wrócili na górę, jednak na wysokości 6600 metrów zatrzymały ich jeszcze gorsze warunki pogodowe. Bliźniacy nadal nie zamierzali dać za wygraną. Uznali, że trasa, która zabiła Hiszpanów, wygląda na bezpieczniejszą niż ich własna, więc Alan udał się do miejscowości Namche Bazar, by uzyskać pozwolenie na wspinaczkę inną drogą.

– Kiedy byłem w Namche – opowiada Adrian – nad Himalaje nadciągnęła ta olbrzymia burza śnieżna, najgorsza w całym roku. W ciągu trzydziestu sześciu godzin spadło ponad metr dwadzieścia śniegu.

Podczas nieobecności Alana, gdy śnieżyca szalała już drugą noc z rzędu, Adrian leżał w swoim namiocie w bazie, gdy nagle tył namiotu runął na ziemię przygnieciony śniegiem. Adrian nie mógł dostać się do wyjścia, przeciął więc płócienną ściankę, wyszedł na zewnątrz i zobaczył, że ze zbocza nad obozem zeszła niewielka lawina. Namiot jego brata, który stał kilka metrów dalej, zniknął pod dwumetrową warstwą twardego jak beton śniegu i rumoszu.

– Wiadomo, jak by się to skończyło, gdyby Alan był wtedy w swoim namiocie – mówi Adrian ponurym tonem.

Następnego ranka Adrian wyruszył do Namche. Aby tam dotrzeć, musiał przedzierać się przez półtorametrową warstwę śniegu. Potrzebował aż dwóch godzin, by przejść półtora kilometra, choć w normalnych warunkach pokonywał ten dystans w ciągu piętnastu minut. Kolejne półtora kilometra dalej, pod Island Peak, Adrian natknął się na bazę ekspedycji RAF-u (Królewskich Sił Powietrznych).

– Wyglądało to tak, jakby ktoś zrzucił na środek obozu bombę. Połowa namiotów była zgnieciona, obok leżały dwa ciała, kawałek trzeciego wystawał ze śniegu. Ci, którym udało się przeżyć, mówili, że gdzieś pod śniegiem jest jeszcze czwarty trup i miejscowy tragarz, Tamang, oszalał po zejściu lawiny, rozebrał się do naga i uciekł. Słuchałem tego i myślałem sobie: Cholera, czy to się dzieje naprawdę? – wspomina.

Wkrótce udało się odnaleźć nagiego tragarza, wyziębionego, lecz żywego. Adrian przywiązał go sobie do pleców i ruszył do Chhukhun, najbliższej osady, odległej o jedenaście kilometrów. W połowie drogi spotkał Alana, który szedł właśnie w górę trasy.

– Cześć, młody – przywitał go Adrian. – Dobrze, że jesteś. Ponieś przez chwilę tego dupka, zgoda?

Bracia razem zbiegli do Chhukhun, niosąc tragarza na zmianę. Zdążyli w sam czas, by uratować mu życie.

Burgessowie w końcu byli zmuszeni zrezygnować z wyprawy na Lhotse. Nim jednak wrócili do Katmandu, próbowali różnymi sposobami zdobyć fundusze na ekspedycję na K2; starali się między innymi przekonać tygodnik „The National Enquirer”, że po dwóch latach spędzonych w namiocie na wysokości 7900 metrów Alan Rouse może nadal żyć (nikt nie dotarł w wyższe partie K2 od sierpnia

1986 roku, gdy widziano go po raz ostatni). Bliźniacy zamierzali powrócić z opowieścią o tym, jak Rouse żywił się przez ten czas ciałami swoich towarzyszy, a w zamian oczekiwali od „Enquirera" skromnego honorarium, powiedzmy dziesięciu lub dwudziestu tysięcy dolarów.

Co prawda umowa z „Enquirerem" nie doszła do skutku, ale bliźniakom i tak udało się wyjechać do Karakorum. Pod koniec maja rozbili obóz u podnóży K2. Jeśli wszystko poszło z planem, to w chwili, gdy piszę te słowa, Burgessowie powinni właśnie docierać do szczytu.

* * *

A może jednak wcale ich tam nie ma. Analizując dotychczasową historię wspinaczkową braci Burgessów, trudno nie zauważyć, jak często ponosili klęskę w Himalajach: bezskutecznie próbowali zdobyć Annapurnę II, Nangę Parbat, Ama Dablam, Everest (Alan dwukrotnie, Adrian raz), Lhotse (Adrian trzy razy, Alan dwa), Cho Oyu (Alan dwukrotnie) i K2. Do tej pory udało im się wejść tylko na dwa duże himalajskie szczyty, Annapurnę IV (7525 m) i Dhaulagiri (8167 m). Gdyby wspinacze prowadzili coś w rodzaju rankingu najlepszych himalaistów, Adrian zajmowałby w nim 200. miejsce, a Alan 167.

Te niezbyt imponujące wyniki mogą, przynajmniej po części, wynikać z faktu, że bliźniacy mają w zwyczaju wspinać się na bardzo trudne trasy w bardzo małych zespołach i w wielu przypadkach dodatkowo utrudniają sobie życie, dokonując tych wejść w nieopisanym chłodzie i śnieżycach himalajskiej zimy. Co ciekawe, sami Burgessowie przypisują brak większych sukcesów w Himalajach swojej „ostrożnej naturze". Alan twierdzi, że „wśród naszych rówieśników w Anglii zawsze uchodziliśmy za ostrożnych wspinaczy, którzy nie nadstawiają bez potrzeby karku. Pewnie właśnie dlatego my wciąż żyjemy, a większość z nich nie".

Choć obaj zgadzają się co do tego, że często o kwestiach życia i śmierci w Himalajach decyduje czysty przypadek, zgodnie twierdzą też, że ogromnej większości wypadków na trasach wspinaczkowych można zapobiec.

– Większość tragedii zdarza się dlatego, że wspinacze popełniają błędy – mówi Adrian. – Jasne, każdy popełnia błędy, ale jeśli masz oczy szeroko otwarte i nie wspinasz się z niewłaściwych powodów, możesz uniknąć większości z nich.

Alan twierdzi, że śmierć dwóch spośród ich najlepszych przyjaciół, Ala Rouse'a i Rogera Marshalla (który w 1985 roku zginął podczas samotnego wejścia na północną ścianę Everestu), to najlepszy przykład na to, co może się zdarzyć, kiedy ludzie wspinają się z niewłaściwych powodów.

– Zarówno Roger, jak i Rouse – tłumaczy Alan – zginęli, bo wspinali się pod presją. Roger miał strasznie zagmatwaną sytuację życiową: kobieta, którą kochał, go zostawiła, a kobieta, której nie kochał, miała urodzić jego dziecko, i nie wyobrażał sobie, jak wróci do domu, jeśli nie zdobędzie szczytu. Roger, z kolei, chciał się wspiąć na Everest, bo miał ogromne kłopoty finansowe. Musiał wejść na górę, żeby napisać książkę i spłacić długi, które wisiały mu nad głową, bez tego nie mógł się uwolnić od żony i rodziny, z którą nie chciał mieć już nic wspólnego. Trudno podejmować właściwe decyzje na dużej wysokości, kiedy takie problemy zajmują ci głowę.

Być może nadmierna przezorność rzeczywiście przyczyniła się do wielu porażek Burgessów, ale krytycy bliźniaków – a tych nie brakuje – natychmiast podają inne, mniej życzliwe powody tych zastanawiająco licznych klęsk. Nawet najwięksi antagoniści Burgessów przyznają z niechęcią, że bliźniacy są niezwykle wytrzymali i silni na dużych wysokościach, że właściwie radzą sobie lepiej niż inni wspinacze w zimnym, rozrzedzonym powietrzu na dużych wysokościach, w tak zwanej strefie śmierci. Jednak Gordon Smith – niegdyś kumpel Burgessów z Calgary, który towarzyszył im w wyprawie na Annapurnę IV, Everest i Manaslu – utrzymuje, że luzacki modus operandi bliźniaków (Co się martwisz, stary…) po prostu nie sprawdza się na ośmiotysięcznikach.

– Wejście na dużą górę wymaga czegoś więcej niż umiejętności przestawiania stóp – stwierdza Smith rzeczowo – a bliźniacy nie mają pojęcia, jak się organizuje poważne ekspedycje. Jakoś tak się składa, że na każdej ich wyprawie coś musi pójść nie tak.

Jak podkreśla Smith, podczas wyprawy na Manaslu to właśnie przez upór Burgessów zabrakło ważnych elementów sprzętu, takich jak szable śnieżne. Podczas tej samej ekspedycji miała miejsce nieprzyjemna sytuacja, gdy grupie turystów, którzy zapłacili grube pieniądze za przywilej wejścia ze wspinaczami do pierwszego obozu, już u samych podnóży góry odmówiono tej przyjemności, bo Alan irytował się na nowicjuszy. Zdaniem Smitha te kłopoty z zarządzaniem ekspedycjami wynikają po części z faktu, że bliźniacy próbują zajmować się wieloma rzeczami naraz.

– Trudno przez cały dzień prowadzić grupę – tłumaczy – przecierać szlak, a wieczorem mieć jeszcze dość sił, żeby zajmować się logistyką.

Smith krytykuje jednak nie tylko umiejętności administracyjne bliźniaków.

– Potrafią być czarujący, kiedy im to odpowiada – kontynuuje z goryczą. – Ale w gruncie rzeczy to para kanciarzy. Nie obchodzi ich wcale, ilu wrogów sobie narobią: kiedy ktoś ich przyłapie na oszustwie, po prostu zmieniają przyjaciół.

Ten nieprzychylny stosunek Smitha do bliźniaków może mieć coś wspólnego z faktem, że ich ostatnia wspólna podróż – nieudane wejście na Manaslu w 1983 roku – zakończyła się sporem dotyczącym zarządzania finansami ekspedycji, zaś spór ten przerodził się w krwawą bójkę na ulicach Katmandu.

Wystarczy spędzić trochę czasu w Chamonix, Llanberis czy w okolicach Khumbu, by docenić bogactwo opowieści o Burgessach, ich twardych pięściach i bezczelnych przekrętach.

– Gdy tylko zatrzymasz się gdzieś w Nepalu – mówi amerykański lekarz i wspinacz Geoffrey Tabin – a miejscowi zobaczą, że jesteś z Zachodu, zaraz zaczną cię wypytywać: Znasz Burgessów? Znasz Burgessów?

Ci faceci to żywa legenda na czterech kontynentach: same podboje łóżkowe Alana mogłyby wypełnić kilka grubych tomów.

Akcja jednej z najnowszych opowieści, która dołączyła niedawno do bogatego zbioru anegdot z życia Burgessów, rozegrała się w blasku kolorowych świateł Las Vegas, podczas dorocznych targów artykułów turystycznych. Nie zabrakło tam również bliźniaków, którzy

próbowali namówić tuzów tego przemysłu na sfinansowanie ich wyprawy na Lhotse albo przynajmniej wyżebrać od nich trochę sprzętu. Po całym dniu wyczerpującej krzątaniny Alan i Adrian bawili się w miejscowych klubach, gdzie Alan poznał pewną sympatyczną damę, która zaprosiła go na drinka do swojego pokoju hotelowego.

Alan, Adrian i nowo poznana znajoma Alana jechali główną ulicą Las Vegas, do hotelu Adriana, kiedy na czerwonym świetle obok poobijanego pikapa Adriana zatrzymał się sportowy samochód z kilkoma miejscowymi kowbojami w środku. Adrian, chcąc nawiązać przyjazną rozmowę, podniósł butelkę, z której właśnie popijał, i wrzasnął przez okno:

– To amerykańskie piwo smakuje jak szczyny!

Na następnych czerwonych światłach sportowe auto znów zatrzymało się obok pikapa braci, a ze środka wyskoczyło dwóch kowbojów. Adrian również wyszedł z pikapa i jako gorący zwolennik zasady, że najlepszą obroną jest atak, natychmiast uderzył jednego z kowbojów. Ponieważ był już jednak mocno pijany, po zadaniu ciosu stracił równowagę i przewrócił się, nim kowboj zdążył mu oddać. Alan, widząc brata na ziemi i zakładając, że został znokautowany, natychmiast wysiadł z auta i rozkwasił nos nieszczęsnemu kowbojowi (jego towarzysz uciekł tymczasem do swojego samochodu). Alan pomógł się pozbierać Adrianowi, wsiadł do pikapa i pojechał dalej.

Kiedy zatrzymali się przed następnymi światłami, sportowy samochód zajechał braciom drogę, ale nikt z niego nie wysiadł. Rozwścieczyło to Adriana do tego stopnia, że wypadł z auta, wbiegł na auto kowbojów i skakał po dachu dopóty, dopóki nie zmieniły się światła i auto nie odjechało.

Jednakże układ świateł na głównej ulicy Las Vegas najwyraźniej nie sprzyjał tego wieczoru kowbojom: następne także były czerwone. Alan zatrzymał pikapa za sportowym samochodem, po czym wcisnął pedał gazu i wjechał mu prosto w tył. Potem cofnął kilka metrów i uderzył ponownie.

Do tego czasu kowboje zrozumieli już, że popełnili poważny błąd, zadzierając z Burgessami. Postanowili zignorować czerwone światło, ruszyli gwałtownie do przodu i wpakowali się prosto pod nadjeżdżający samochód. Alan, rozczarowany, że zabawa z

kowbojami dobiegła końca, ominął porozbijane auta i pojechał dalej, w stronę hotelu Adriana.

Chwilę potem pikapa otoczyło pięć radiowozów na sygnale, policjanci wyciągnęli Alana zza kierownicy i położyli go na masce. Powiedzieli, że chcą mu zadać kilka pytań dotyczących rzekomego napadu na kilku mieszkańców Las Vegas, który doprowadził do wypadku na skrzyżowaniu. Alan wyjaśnił uprzejmie, że wszystko im się poplątało, że zarówno on, jak i jego równie niewinny brat przyjechali do miasta w interesach i są ofiarami, a nie sprawcami napadu. A jeśli chodzi o wypadek, tłumaczył Alan, to bandyci, którzy ich zaatakowali, uderzyli w inny samochód podczas próby ucieczki z miejsca przestępstwa.

Gliniarze wysłuchali tej historii z uwagą i stwierdzili, że brzmi całkiem prawdopodobnie. Poza tym nabrali sympatii do Alana. Podobało im się jego pełne szacunku zachowanie i jego zabawny akcent, który wzięli omyłkowo za australijski. Alan przypominał im do złudzenia faceta z filmu „Krokodyl Dundee", który niedawno widzieli.

W tym momencie Alan panował już nad sytuacją. Świetny film, ten krokodyl Dundee, mówili mu gliniarze, powinien go obejrzeć. Mówili też, jak bardzo jest im przykro, że został zaatakowany w ich mieście, zwykle bardzo spokojnym, i że nie chcą, by osądzał wszystkich Amerykanów na podstawie zachowania tych kilku zakał. Na koniec pożegnali się uprzejmie, życząc mu dobrej nocy.

Spośród wszystkich dziwnych i zaskakujących meandrów historii braci Burgessów chyba najdziwniejszym jest małżeństwo Adriana i Lorny Rogers. Adrian, jak sam przyznaje, jest nędzarzem, niewykształconym trzydziestodziewięcioletnim dzieciakiem, podczas gdy Lorna to kobieta z wyższych sfer. Jej rodzina od czterech pokoleń należy do śmietanki towarzyskiej Denver, do świata rozgrywek polo, wystawnych przyjęć i ekskluzywnych klubów country, do świata, w którym dzieci uczęszczają do stosownych szkół i pobierają się z odpowiednimi ludźmi. Lorna – zasadnicza, uparta i bardzo atrakcyjna prawniczka po Williams College – funkcjonuje w tym świecie od lat, ma wuja kongresmena, a w wolnych chwilach poluje na lisy, dosiadając koni czystej krwi. Mimo to, w 1981 roku, jedenaście miesięcy po tym, jak poznała go w barze Jak i Yeti w

Katmandu, poślubiła Adriana Burgessa, nieznośnego bachora z Himalajów.

Kiedy spytałem Lornę, jak czuje się żona człowieka, którego nie ma w domu przez cztery do pięciu miesięcy w roku, przyznała, że „przez pierwszych kilka lat było mi z tym naprawdę niedobrze, ale później nawet to polubiłam. Lubię ten rytm wyjazdów i przyjazdów, dzięki któremu związek się nie wypala. Chcę mieć męża i dzielić z nim życie, ale chcę też mieć dużo wolności. Właściwie gorsze od nieobecności Adriana są te dni, kiedy zajmuje cały dom przygotowaniami do wyprawy".

Pod przemożnym wpływem Lorny Adrian wyraźnie się zmienił. Ten znany zabijaka i pijus zaczął ostatnio uczestniczyć w rodzinnych polowaniach na lisy, do których wkłada nawet specjalny uroczysty strój. Whillans[18] z pewnością przewraca się w grobie, ale Adrian twierdzi:

– Prawdę mówiąc zaczyna mnie to kręcić. Kiedy jeździsz na koniu, to tak jakbyś siedział na szybkim motocyklu, tylko że on jedzie tam, gdzie chce, a nie gdzie go skierujesz.

Drugi z bliźniaków na razie nawet nie myśli o polowaniu na lisy. Alan pozostaje niepoprawnym grzesznikiem, wielkim mistrzem sztuki przetrwania, żywym dowodem na twierdzenie Erica Becka: „Po obu stronach socjoekonomicznego spektrum znajduje się klasa próżniacza". Alan, jak mówi jego były przyjaciel Gordon Smith, „nie ma żadnych konkretnych źródeł utrzymania; wydaje się, że nigdy nie pracuje, a jednak zawsze jakoś sobie daje radę. Właściwie trudno zrozumieć, z czego żyje".

Jednym ze sposobów na przeżycie, jakie stosuje Alan, jest pomieszkiwanie u zaprzyjaźnionych Szerpów w Nepalu.

– Siedzę tam jakieś sześć, siedem miesięcy w roku – mówi Alan. – Znacznie taniej wychodzi mieszkać między wyprawami w Nepalu, za trzy dolary dziennie, niż wracać na Zachód. Oczywiście musisz wtedy jeść to samo, co Szerpowie, więc po pewnym czasie masz już dość ziemniaków i soczewicy. Poza tym nie stać cię na piwo, więc pijesz tylko raksi i chang. W gruncie rzeczy wcale mi to nie przeszkadza . Nawet polubiłem styl życia Trzeciego Świata. Kiedy wracam teraz na

Zachód, miesza mi się w głowie od tej mnogości wyborów. Naprawdę czujesz wtedy szok kulturowy, ogromną różnicę między kulturą, która ma pewną głębię, a kulturą, której się tylko wydaje, że ma jakąś głębię. Mój żołądek przyzwyczaił się do flory bakteryjnej z Nepalu, więc tam nigdy nie choruję, ale gdy tylko wrócę tutaj, na Zachód, zaraz rzygam i dostaję sraczki.

Mieszkając w wioskach Szerpów, Alan może też od czasu do czasu wymykać się w góry i nielegalnie wspinać, bez całej tej kłopotliwej zabawy z pozwoleniami, opłatami czy przewodnikami. Na przykład zimą 1986 roku wraz ze znajomym Szerpą i dwiema dziewczynami przedostali się do Tybetu i doszli niemal na szczyt jednego z ośmiotysięczników.

– Oczywiście robiliśmy to nielegalnie – kontynuuje. – Ale była to chyba największa przygoda, jaką przeżyłem w ciągu ostatnich ośmiu lat, coś fantastycznego. Zabraliśmy ze sobą bardzo mało rzeczy: tylko jeden namiot, dwie maty i dwa śpiwory na całą naszą czwórkę. W czasie podróży musieliśmy nasłuchiwać dzwonków jaków i chować się, gdy tylko na szlaku pojawiali się tybetańscy handlarze, którzy sprzedadzą cię nepalskim pogranicznikom nawet za marny grosz.

W czasie tych ośmiu lat, które spędził w Nepalu, Alan nawiązał bliskie stosunki z Szerpami. Ponieważ tylko nieliczni wspinacze z Zachodu dorównują Szerpom wytrzymałością i siłą, ci w skrytości ducha pogardzają sahibami.

– Uważają większość ludzi z Zachodu za durniów – stwierdza beznamiętnie Alan. Ponieważ on sam na dużych wysokościach jest zadziwiająco silny i ponieważ nauczył się, podobnie jak Szerpowie, nosić ciężkie bagaże za pomocą specjalnego pasa zakładanego na głowę, zyskał sobie szacunek rdzennych mieszkańców Nepalu.

– Pod pewnymi względami uważają mnie za swojego – chwali się Alan.

Z pewnością ma to sporo wspólnego z faktem, że w czerwcu 1987 roku, w wiosce Phortse położonej na wysokości czterech tysięcy metrów, Szerpijka Nima Diki urodziła na posłaniu z liści syna Alana.

– Kiedy dostałem od mojego przyjaciela Szerpy list, w którym pisał „Nima Diki zrobiła się gruba”, pomyślałem, cholera, co ja mam teraz

zrobić? Ale kiedy już się z tym oswoiłem i zobaczyłem malucha, przestałem się martwić.

Przekonamy się wkrótce, czy narodziny dziecka, chłopczyka imieniem Dawa, zakończą wreszcie okres młodzieńczej beztroski w życiu Alana – wkrótce przekroczy przecież czterdziestkę – i wprowadzą go w świat odpowiedzialnej dorosłości. Słyszano już, jak zastanawiał się nad całkiem poważnymi problemami, na przykład czy Dawa powinien chodzić do szkoły w Katmandu, czy w Khumbu.

Tymczasem Chris Bonington, któremu najwyraźniej nie przeszkadzała już nie najlepsza reputacja bliźniaków, zaprosił niedawno Alana i Adriana na dużą wyprawę, zaplanowaną na wiosnę 1989 roku. Jej celem ma być wejście na ostatnią znaczącą i niezdobytą jeszcze część Mount Everest, osławioną ścianę północno-wschodnią, na której w 1982 roku zniknęli dwaj najlepsi brytyjscy himalaiści, Joe Tasker i Peter Boardman. Ponieważ wyprawa w 1989 roku będzie – jak zawsze w przypadku Boningtona – przedsięwzięciem zakrojonym na szeroką skalę (szesnastu wspinaczy z Zachodu, trzydziestu Szerpów, telewizyjne relacje na żywo, butle z tlenem itp.), a zarówno Alan, jak i Adrian mają przykre doświadczenia związane z udziałem w wielkobudżetowych ekspedycjach w Himalaje, obaj grzecznie odmówili.

Po udziale w dużej i niefortunnej wyprawie Alana Rouse'a na K2 w 1986 roku, „postanowiliśmy nieodwołalnie – mówi Adrian – że od tej pory będziemy wspinać się tylko razem i nigdy w dużym zespole". Ze względu na skomplikowaną logistykę tamtej wyprawy Burgessowie prawie nigdy nie partnerowali sobie na K2 i byli z tego powodu głęboko nieszczęśliwi.

Szerpowie wierzą, że bliźnięta jednojajowe – nazywają je zongly – obdarzone są wyjątkowym szczęściem. Trudno powiedzieć, ile w tym prawdy, ale trudno też przecenić siłę więzi łączącej bliźnięta. Relacje te są niezwykle bliskie, a czasami graniczą wręcz z jasnowidzeniem.

– Zawsze wiesz, o czym właśnie myśli twój brat bliźniak i co zamierza zrobić – mówi Alan. – Masz do niego ogromne zaufanie: nie mógłbyś go okłamać, choćbyś nawet chciał; od razu by cię przejrzał. Tymczasem podczas dużej wyprawy tak naprawdę nigdy nie decydujesz o tym, co będziesz robił. Ktoś w bazie ustala za ciebie, z

kim się powinieneś wspinać, kiedy powinieneś iść w górę, kiedy powinieneś iść na dół. To zawsze stwarza duże zagrożenie.

Adrian uważa, że zbliżająca się wyprawa Boningtona na Everest będzie wyjątkowo niebezpieczna pod tym względem.

– Inwestują ogromne pieniądze, a do tego jeszcze zaprosili media, które będą to strasznie nakręcać – tłumaczy. – Oczywiście wspinacze też zaczną się nakręcać i będą chcieli wejść na szczyt za wszelką cenę. Moim zdaniem ktoś w czasie tej wyprawy zginie.

Tym kimś, zauważa Adrian, mógłby być jeden z Burgessów, gdyby zdecydowali się wziąć udział w ekspedycji.

– Nauczyłem się akceptować śmierć jako część życia w górach – rozmyśla głośno Adrian. – Nauczyłem się akceptować śmierć bliskich przyjaciół. Ale nie wiem, czy bym sobie poradził, gdyby zginął Al. Nie zniósł-bym tego.

Niewykluczone, że na odmownej decyzji bliźniaków zaważyła nie tylko ostrożność, ale także duma. Podczas wielkiej wyprawy w 1982 roku Alan Burgess przyczynił się do ostatecznego sukcesu bardziej niż którykolwiek inny wspinacz – przygotowywał trasę, prowadził, niósł wyjątkowo ciężkie bagaże – jednak ze względu na niefortunny harmonogram i awarię maski tlenowej nie miał okazji stanąć na szczycie. Pewnie nie przejmowałby się tym za bardzo, gdyby nie widział, jak po wyprawie cała chwała – i korzyści finansowe – przypada w udziale niemal wyłącznie zdobywcom szczytu.

Gordon Smith, który również napracował się ciężko podczas tej ekspedycji, lecz nie wszedł na wierzchołek, opowiadał potem:

– Kiedy schodziliśmy z bazy, wszyscy wspinacze byli dla siebie bardzo mili i przyjaźni. Potem dotarliśmy do Katmandu, a media zaczęły nas dzielić na wygranych i przegranych. Faceci, którzy weszli na szczyt, zwycięzcy, zdobyli uznanie i kupę forsy z kontraktów reklamowych i tak dalej. Wszyscy pozostali wrócili do domów bez pracy, bez pieniędzy, bez żadnej nagrody. W takich chwilach myślisz sobie, Jezu Chryste, harowałem na tej górze o wiele ciężej niż facet, który wszedł na szczyt; gdzie tu jest sprawiedliwość?

Odpowiedź na pytanie, czy bliźniacy wybiorą się w 1989 roku na Everest, wydawała się więc oczywista. Jednak kilka dni po tym, jak Alan wyjechał na K2, dostałem od niego pocztówkę. Pisał, że zmienił

w końcu zdanie i postanowił towarzyszyć Boningtonowi w wyprawie na Everest, mimo że Adrian nadal stanowczo się temu sprzeciwiał. Ponieważ niedawno słyszałem, jak obaj bracia rozprawiali przy stoliku w Bustop o wadach megaekspedycji w ogóle, a tej wyprawy na Everest w szczególności, zadzwoniłem do Adriana – który nie wyjechał jeszcze na K2 – by dowiedzieć się czegoś więcej.

– Al zawsze potrafił wszystko zracjonalizować – tłumaczył Adrian. – Teraz wmawia sobie, że trasa jest znacznie trudniejsza, niż myślał na początku, że na pewno będą używać butli tlenowych i lin, że będą pracować w dużym zespole i takie tam bzdury. Tak naprawdę zdecydował się pojechać na Everest, bo dzięki temu przez trzy miesiące będzie miał gdzie mieszkać i co jeść. – Adrian zamilkł na moment, po czym dodał: – Cały mój brat, prawda?

[18] Brytyjski wspinacz (1933–1985), jak przystało na niezwykle barwną postać, był znany z ciętych ripost. Dwie z nich zapisały się w kartach alpinizmu. Widząc źle przygotowaną grupę Japończyków w drodze na Nordwand, zapytał: „Idziecie w górę". „Tak, tak" – odpowiedział mu gromki chór wspinaczy. „Możecie zajść wyżej niż wam się zdaje" – zauważył sarkastycznie Whillans. Druga z anegdot wiąże się z wygraną Niemców nad Brytyjczykami w piłkę nożną, o czym Brytyjczyk dowiedział się, schodząc do obozowiska. Fetujący zwycięstwo Niemcy zakrzyknęli do Whillansa – „Właśnie ograliśmy Angoli w ich narodowym sporcie" na co niespeszony wspinacz odpowiedział „A my Niemców w ich, już dwukrotnie".

ROZDZIAŁ 11

Feralne lato na K2

W najdalej wysuniętym na północ zakątku Pakistanu, w sercu łańcucha górskiego Karakorum, leży sześćdziesięciokilometrowy jęzor lodu zwany lodowcem Baltoro, nad którym wznosi się sześć spośród siedemnastu najwyższych gór świata. W czerwcu 1986 roku w górnej części lodowca stało sto pięćdziesiąt namiotów należących do ekspedycji z dziesięciu różnych krajów. Większość kobiet i mężczyzn mieszkających w tym obozie, wśród których znajdowało się wielu spośród najambitniejszych i najlepszych alpinistów świata, zamierzała wspiąć się na ten sam szczyt: K2.

K2 mierzy 8611 metrów wysokości, prawie dwieście czterdzieści mniej niż Everest, jest jednak górą smuklejszą i bardziej stromą oraz znacznie trudniejszą do zdobycia. Spośród czternastu gór świata mierzących ponad osiem tysięcy metrów to właśnie na K2 najwięcej wypraw wspinaczkowych skończyło się fiaskiem. Do 1985 roku tylko dziewięć spośród trzydziestu sześciu ekspedycji atakujących górę rzeczywiście osiągnęło ten cel, a na szczycie stanęło w sumie trzydzieści dziewięć osób – kosztem życia dwunastu innych. W 1986 roku rząd Pakistanu wydał niespotykanie dużą liczbę pozwoleń na wejście na K2, a do końca tego lata na szczyt wspięło się kolejnych dwadzieścia siedem osób. Lecz na każdą dwójkę zdobywców K2 przypadała jedna ofiara śmiertelna – w sumie zginęło wówczas trzynastu ludzi, więcej niż w ciągu poprzednich osiemdziesięciu czterech lat. Ta ponura liczba budzi wiele drażliwych pytań dotyczących kierunku rozwoju himalaizmu, który zdaniem wielu ludzi naznaczony jest niczym nieusprawiedliwioną lekkomyślnością. Ten nowy modus operandi zostawia tak mało miejsca na błędy, że wspinacze coraz częściej rozpoczynają wejście z przekonaniem, że jeśli coś pójdzie źle, będą mogli pozbyć się liny łączącej ich z partnerem – liny do niedawna uważanej za świętość – i działać w myśl zasady, że każdy odpowiada tylko za siebie.

Uważa się powszechnie, że obecny kierunek rozwoju wspinaczki wysokogórskiej wyznaczony został latem 1975 roku, kiedy Reinhold Messner i Peter Habeler weszli nową trasą na sąsiadującą z K2 górą Gaszerbrum I (8068 metrów), nie korzystając przy tym z butli tlenowych, pomocy zespołu wsparcia, lin poręczowych, obozów

pośrednich czy wielu innych elementów taktyki wspinaczkowej, które do tej pory uważano w Himalajach za niezbędne. Messner nazwał to śmiałe nowe podejście wspinaniem „by fair means" (uczciwym, uczciwymi środkami), dając w ten sposób do zrozumienia, że każdy inny sposób zdobycia góry jest oszustwem.

Tym jednym ruchem Messner i Habeler znacząco podwyższyli stawkę w grze, w której i tak była już ona bardzo wysoka, a szanse na wygraną niewielkie. Kiedy Messner ogłosił po raz pierwszy, że wejdzie na himalajski ośmiotysięcznik w taki sam sposób, w jaki wspinacze zdobywali dotąd góry Teton i Alpy, większość najlepszych alpinistów świata uznała ten plan za niewykonalny i samobójczy. Po sukcesie Messnera i Habelera każdy, kto chciał zdetronizować Messnera – a wielu spośród ludzi obozujących latem 1986 roku pod K2 miało taki właśnie zamiar – nie miał innego wyboru, jak tylko atakować najwyższe góry świata w równie „uczciwy" i nierozważny sposób.

Najbardziej pożądanym trofeum na K2 był południowy filar, olbrzymi i niezdobyty, „ostatni wielki problem", któremu Messner nadał nazwę Magic Line, Magiczna Linia. Pokonanie pionowej, ponadtrzykilometrowej ściany, sięgającej od lodowca po sam szczyt, wymagało bardzo trudnej, technicznej wspinaczki, jakiej nikt nie uprawiał do tej pory w Himalajach, na tak dużych wysokościach.

W 1986 roku na Magiczną Linię zamierzały wejść cztery zespoły wspinaczkowe, w tym amerykańska grupa prowadzona przez trzydziestopięcioletniego Johna Smolicha z Oregonu. Rankiem dwudziestego pierwszego czerwca, przy pięknej bezwietrznej pogodzie, Smolich i jego partner Alan Pennington wspinali się po łatwym żlebie na początku trasy, gdy wysoko ponad nimi od lodowego podłoża oderwał się fragment skały wielkości pnia drzewa, który runął w dół zbocza. Gdy tylko głaz uderzył w górną część żlebu, na polu śniegowym pojawiło się pęknięcie o głębokości pięciu metrów, dając początek potężnej lawinie, która porwała Smolicha i Penningtona. Wspinacze, którzy przyglądali się temu z dołu, szybko odszukali i wykopali Penningtona, nie dość jednak szybko, by uratować mu życie. Ciała Smolicha, pogrzebanego pod tysiącami ton lodu i skał, nigdy nie odnaleziono.

Pozostali członkowie amerykańskiej ekipy zrezygnowali z dalszej wspinaczki i wrócili do domu, jednak inne ekspedycje uznały, że był to jedynie odosobniony wypadek – pech, który sprawił, że Smolich i Pennington znaleźli się w niewłaściwym miejscu i czasie – i kontynuowały wchodzenie.

W rzeczy samej, dwudziestego trzeciego czerwca dwóch Basków – Mari Abrego i Josema Casimaro – oraz czworo członków ekspedycji polsko-francuskiej – Maurice i Liliane Barrard, Wanda Rutkiewicz oraz Michel Parmentier – dotarli na szczyt K2 najłatwiejszą drogą, przez żebro Abruzzi. Liliane Barrard i Rutkiewicz zostały tym samym pierwszymi kobietami, które zdobyły K2, co zasługuje na tym większe uznanie, że wchodziły tam bez butli tlenowych.

Cała szóstka była jednak zmuszona zatrzymać się na noc na wysokim, odsłoniętym zboczu pod szczytem. Do rana niebo zaciągnęło się chmurami, a nad górą rozszalała się śnieżyca. Podczas zejścia Barrardowie – oboje byli bardzo doświadczonymi himalaistami, którzy mieli już na swoim koncie inne ośmiotysięczniki – zostali z tyłu i przepadli bez śladu. Parmentier przypuszczał, że spadli albo zostali porwani przez lawinę, na wszelki wypadek postanowił jednak poczekać na nich w najwyższym obozie. Tymczasem Rutkiewicz i Baskowie, którym groziły poważne odmrożenia, szli dalej w dół.

Nocą dwudziestego czwartego czerwca śnieżyca przybrała na sile. Gdy Parmentier wyszedł rankiem na zewnątrz, wiał okropny wiatr, a widoczność ograniczona była do zera. Za pomocą walkie-talkie Parmentier poinformował bazę, że schodzi, ponieważ jednak świeży śnieg przysypał wszystkie liny poręczowe oraz ślady jego towarzyszy, wkrótce zgubił się na szerokim południowym zboczu K2. Błąkał się na oślep na wysokości 7900 metrów i mruczał pod nosem „grande vide, grande vide” (olbrzymia pustka), podczas gdy wspinacze w bazie próbowali przypomnieć sobie przebieg trasy i prowadzić go przez radio.

– Słyszałem rozpacz i zmęczenie w jego głosie, gdy chodził w tę i we w tę w szalejącej śnieżycy i szukał jakiegoś śladu – wspomina Alan Burgess, członek brytyjskiej ekspedycji. – W końcu znalazł lodową kopułę, na której były ślady moczu, a my skojarzyliśmy to

miejsce. Dzięki temu mogliśmy sprowadzić go bezpiecznie na dół. Miał naprawdę ogromne szczęście.

Piątego czerwca dwaj Włosi, Czech, dwóch Szwajcarów oraz Francuz, Benoit Chamoux, dotarli na szczyt przez żebro Abruzzi. Chamoux dokonał tego w ciągu dwudziestu czterech godzin od wyjścia z bazy, co było wyczynem naprawdę niezwykłym, tym bardziej że zaledwie dwa tygodnie wcześniej Francuz wspiął się na szczyt sąsiedniego Broad Peak (8061) w siedemnaście godzin.

Jednak jeszcze bardziej niezwykłe rzeczy działy się na południowej ścianie K2; ponadtrzykilometrowym skalnym urwisku, oblepionym śniegiem i lodem, które w każdej chwili mogły zamienić się w śmiercionośne lawiny. Z jednej strony ścianę ogranicza żebro Abruzzi, z drugiej zaś Magiczna Linia. Czwartego lipca dwaj Polacy, trzydziestoośmioletni Jerzy Kukuczka i czterdziestosześcioletni Tadeusz Piotrowski, zaczęli wchodzić na tę niezdobytą dotąd górę w lekkim, nienagannie czystym stylu, gotowi wynieść himalaizm na zupełnie nowy poziom.

Kukuczka był drugim po Messnerze kandydatem do nieoficjalnego tytułu największego na świecie himalaisty. Kiedy przybył pod K2, deptał Messnerowi po piętach w wyścigu o miano pierwszego zdobywcy wszystkich ośmiotysięczników; miał już na koncie dziesięć, co było osiągnięciem niezwykle imponującym również ze względu na koszty wypraw w Himalaje i żałosny kurs wymiany polskich złotych. Aby zdobyć fundusze na swoje wyprawy, Kukuczka i jego polscy towarzysze byli zmuszeni do szmuglowania wódki, koców, butów sportowych i innych towarów, które można było wymienić na twardą walutę.

Ósmego lipca, tuż przed zachodem słońca, po długiej, bardzo wymagającej technicznie wspinaczce i czterech niewygodnych biwakach (dwa ostatnie bez namiotu, śpiworów, jedzenia i wody) Kukuczka i Piotrowski weszli na szczyt K2 w szalejącej śnieżycy. Natychmiast zaczęli schodzić po żebrze Abruzzi. Dwa dni później, ogromnie zmęczeni, wciąż schodzili w nieustającej burzy śnieżnej, bez żadnych zabezpieczeń. Piotrowski, który miał już tak zdrętwiałe z zimna palce, że rankiem nie potrafił dobrze przypiąć raków, stanął na twardym jak skała lodzie i zgubił rak. Potknął się, wyprostował

gwałtownie i zgubił drugi rak. Kiedy próbował się ratować czekanem, trzonek wyślizgnął mu się z dłoni, a on sam runął w dół zbocza. Kukuczka mógł jedynie bezradnie obserwować, jak jego partner odbija się od skał i znika we mgle.

Śmiertelne żniwo, jakie zbierała w tym sezonie góra, skłoniło wielu wspinaczy do odwrotu, dla wielu innych jednak pokusa okazała się zbyt silna. Sam Kukuczka natychmiast wyjechał do Nepalu, by zaatakować dwunasty ośmiotysięcznik i dogonić Messnera (w końcu jednak musiał pogodzić się z przegraną, gdy następnej jesieni Messner zdobył szczyty Makalu i Lhotse, sięgając tym samym po tytuł pierwszego zdobywcy wszystkich ośmiotysięczników).

Wkrótce po tym, jak Kukuczka wrócił do bazy i opowiedział smutną historię, trzydziestoośmioletni włoski wspinacz Renatto Casarotto po raz trzeci tego lata spróbował samotnie wspiąć się na Magiczną Linię. Obiecał swojej żonie, Goretcie, że będzie to ostatnia próba. Dzięki samotnym wejściom na Fitzroy, Mt. Kinley oraz kilka innych dużych gór w Ameryce Południowej i w Alpach, Casarotto zyskał sobie opinię nieustraszonego bohatera, w rzeczywistości jednak Włoch był bardzo ostrożnym wspinaczem. Szesnastego lipca, trzysta metrów pod szczytem uznał, że pogoda jest zbyt niepewna, przerwał więc wspinaczkę i zszedł po Południowym Filarze na lodowiec.

Kiedy pokonywał ostatni fragment lodowca dzielący go od bazy, natknął się na wąską szczelinę lodową. Wspinacze w bazie obserwowali przez lornetki, jak bierze rozbieg i próbuje ją przeskoczyć. Ku ich przerażeniu miękki śnieg na skraju szczeliny załamał się, a Casarotto runął w głąb czterdziestometrowej przepaści. Wylądował w lodowatej wodzie na dnie szczeliny, żywy, ale ciężko ranny. Wyjął z plecaka walkie-talkie, zadzwonił do Goretty, która czekała na niego w bazie, i wyszeptał:

– Goretto, spadłem. Umieram. Proszę, przyślij pomoc. Szybko!

Z obozu natychmiast wyruszyła międzynarodowa ekipa ratunkowa, która dotarła do szczeliny tuż przed zachodem słońca. Przy użyciu krążka linowego udało się wyciągnąć Casarotta na powierzchnię. Włoch, wciąż przytomny, wstał, zrobił kilka kroków, po czym położył się na swoim plecaku i umarł.

Jedyną ekipą na K2, która nawet nie próbowała podporządkować się nowej etyce Messnera, była olbrzymia, sponsorowana przez państwo grupa z Korei Południowej. Koreańczyków nie obchodziło to, w jaki sposób dostaną się na szczyt K2, zależało im jedynie na tym, by ktoś z nich tam dotarł i wrócił w jednym kawałku. Wynajęli czterystu pięćdziesięciu tragarzy, którzy wynieśli do bazy górę jedzenia i sprzętu, a potem metodycznie zakładali na żebrze Abruzza kilometry poręczówek i cały łańcuch dobrze zaopatrzonych obozów.

Późnym popołudniem trzeciego sierpnia, w doskonałej pogodzie, trzech Koreańczyków wyposażonych w butle tlenowe stanęło na szczycie K2. Kiedy wracali, wyprzedziło ich dwóch zmęczonych Polaków i Czech[19], którzy za pomocą konwencjonalnych środków, ale bez butli tlenowych, dokonali właśnie pierwszego wejścia na trasę, na której zginęli dwaj Amerykanie i Casarotto – słynną Magiczną Linię Messnera. Kiedy obie grupy kontynuowały zejście, już po ciemku, słynny polski alpinista Wojciech Wróż, otępiały z zimna i zmęczenia, zsunął się z końca liny poręczowej i runął w przepaść – był siódmą ofiarą tego tragicznego sezonu. Następnego ranka zginęła ofiara numer osiem – pakistański tragarz Muhammad Ali, na którego spadł skalny odłamek.

Większość Europejczyków i Amerykanów obecnych tamtego lata na Baltoro początkowo wzgardziła tradycyjnymi, mozolnymi metodami, za pomocą których Koreańczycy wspięli się na żebro Abruzzi. Jednak w miarę, jak upływały kolejne tygodnie, a góra pochłaniała kolejne ofiary, wielu spośród tych wspinaczy porzuciło cichcem szczytne ideały i zaczęło korzystać z poręczówek i namiotów pozostawionych przez Koreańczyków.

Siedmioro himalaistów z Polski, Austrii i Wielkiej Brytanii uległo tej pokusie, gdy ich ekspedycje zrezygnowały oficjalnie z dalszej wspinaczki, i postanowiło razem wejść na żebro Abruzzi. Podczas gdy Koreańczycy przygotowywali się do ostatniego etapu ataku, ta zebrana naprędce grupa wspinała się na niższe partie góry. Choć poszczególni członkowie międzynarodowego „zespołu” szli w różnym tempie i byli rozproszeni na sporej przestrzeni, wszyscy siedmioro

dotarli do najwyższego obozu IV, położonego na wysokości 8000 metrów, w wieczór poprzedzający ostateczny sukces Koreańczyków.

Podczas gdy koreańscy wspinacze zbliżali się do szczytu w piękny, pogodny dzień trzeciego sierpnia, austriacko-angielsko-polski zespół pozostał w namiotach w obozie IV, zostawiając sobie zdobycie szczytu na następny ranek. Nie wiadomo, dlaczego podjęli taką decyzję, jednak nim w końcu ruszyli w drogę następnego dnia, pogoda zaczęła się zmieniać.

– Wiatr gnał wielkie chmury z południa, znad Chogolisa – opowiada Jim Curran, brytyjski wspinacz i filmowiec, który w był w tym czasie w bazie. – Gołym okiem było widać, że wkrótce dojdzie do załamania pogody. Wszyscy na pewno zdawali sobie sprawę, że kontynuując wspinaczkę, podejmują wielkie ryzyko, ale kiedy stoisz tuż pod szczytem K2, gotów jesteś podjąć większe ryzyko niż w normalnych okolicznościach. Jak się okazuje, może to być poważny błąd.

Trzydziestoczteroletni Alan Rouse, jeden z najwybitniejszych angielskich wspinaczy, oraz Dobrosława Miodowicz-Wolf, trzydziestoletnia Polka, jako pierwsi ruszyli na szczyt, jednak Wolf wkrótce opadła z sił i została. Rouse szedł dalej, niemal przez cały dzień samotnie torując sobie drogę, aż o trzeciej trzydzieści po południu, tuż pod szczytem, dogonili go Austriacy, czterdziestoczteroletni Willi Bauer i czterdziestoletni Alfred Imitzer. Około czwartej po południu wszyscy trzej weszli na szczyt, a Rouse, pierwszy Anglik na wierzchołku K2, upamiętnił tę chwilę, zawieszając brytyjską flagę na dwóch butlach tlenowych pozostawionych przez Koreańczyków. Podczas zejścia, sto pięćdziesiąt metrów pod szczytem natknęli się na Wolf śpiącą w śniegu. Po burzliwej dyskusji Rouse przekonał ją, że powinna zawrócić i zejść z nim.

Wkrótce potem Rouse spotkał również dwoje innych członków zespołu, Austriaka Kurta Diembergera oraz Angielkę Julie Tullis. Pięćdziesięcioczteroletni Diemberger był w zachodniej Europie prawdziwą znakomitością, legendarnym Bergsteiger, którego kariera obejmowała już dwa pokolenia. Przez jakiś czas był partnerem słynnego Hermana Buhla i miał już na koncie pięć innych ośmiotysięczników. Czterdziestosiedmioletnia Tullis była zarówno protegowaną, jak i bardzo bliską przyjaciółką Diembergera. Choć nie

miała zbyt dużego doświadczenia we wspinaczce na najwyższe góry świata, była bardzo zdeterminowana i bardzo silna, a w 1984 roku stanęła wraz z Diembergerem na szczycie Broad Peak. Wspólne wejście na K2 było marzeniem, które od lat nie dawało im obojgu spokoju.

Ze względu na późną porę i pogarszającą się pogodę Rouse, Bauer i Imitzer próbowali namówić Diembergera i Tullis, by zrezygnowali ze zdobycia szczytu i poszli z nimi na dół. Oboje zastanawiali się nad tym przez chwilę, ale jak powiedział później Diemberger angielskiej gazecie: „Byłem pewien, że powinienem w końcu spróbować po wszystkich tych latach. Julie też powiedziała: Tak, myślę, że powinniśmy iść dalej. Podejmowaliśmy ryzyko, ale wspinaczka polega właśnie na podejmowaniu uzasadnionego ryzyka".

O siódmej wieczorem, gdy Diemberger i Tullis stanęli na szczycie, wydawało się, że rzeczywiście warto było zaryzykować. Uściskali się serdecznie, a Tullis wyrzuciła z siebie: „Kurt, nasze marzenie w końcu się spełniło: zdobyliśmy K2!". Zostali na wierzchołku góry jeszcze przez jakieś dziesięć minut, zrobili kilka zdjęć, a potem, gdy zmierzch przeszedł w zimną, ciemną noc, ruszyli w dół połączeni piętnastometrową liną.

Niemal natychmiast po zejściu ze szczytu Tullis, która szła za Diembergerem, pośliznęła się.

– Przez ułamek sekundy – wspomina Diemberger – wydawało mi się, że zdołam nas utrzymać, ale kiedy oboje zaczęliśmy się zsuwać po stromym zboczu, które prowadziło do wielkiego lodowego urwiska, pomyślałem: mój Boże, już po nas. To koniec.

Kiedy zaczynali wspinaczkę na K2, u podnóża góry znaleźli ciało Liliane Barrard, która trzy tygodnie wcześniej spadła z wysokości ponad trzech tysięcy metrów. Obraz zmasakrowanego ciała kobiety stanął Diembergerowi przed oczami. „To samo dzieje się z nami" – pomyślał z rozpaczą.

Jednak jakimś cudem udało im się zatrzymać, nim zsunęli się z krawędzi lodowego urwiska. Potem, obawiając się kolejnego upadku w ciemności, po prostu przysiedli w śniegu na wysokości 8200 metrów i spędzili tam resztę nocy, trzęsąc się razem z zimna. Rankiem śnieżyca uderzyła z pełną siłą. Tullis odmroziła sobie nos i

palce u rąk, miała też kłopoty ze wzrokiem – prawdopodobnie pierwsze objawy obrzęku mózgu – ale oboje przetrwali noc. W południe, gdy dotarli do obozu IV i pozostałych pięciu członków zespołu, byli przekonani, że najgorsze mają już za sobą.

Burza wciąż przybierała na sile, wiatr o prędkości przekraczającej sto sześćdziesiąt kilometrów na godzinę niósł ogromne ilości śniegu, temperatura sięgała kilkudziesięciu stopni mrozu. Namiot Diembergera i Tullis zawalił się pod naporem wiatru, więc Diemberger przeniósł się do Rouse'a i Miodowicz-Wolf, a Tullis do Bauera, Imitzera i Hannesa Wiesera, Austriaka, który nie poszedł na szczyt.

W nocy szóstego sierpnia, gdy na zewnątrz szalała śnieżyca, wyczerpana, poobijana i wychłodzona Tullis zmarła. Gdy Diemberger dowiedział się rankiem o jej śmierci, był zdruzgotany. Tego samego dnia pozostała przy życiu szóstka zużyła resztki jedzenia i – co gorsza – resztki paliwa, bez którego nie mogli przetopić śniegu na wodę.

W ciągu następnych trzech dni, gdy opuszczały ich siły, a krew gęstniała, dotarli do etapu, w którym, jak mówi Diemberger, „trudno odróżnić sny od rzeczywistości". Diemberger, balansując na krawędzi jawy i snu, obserwował, jak stan Rouse'a pogarsza się znacznie szybciej niż wszystkich pozostałych. Anglik zapadł w końcu w nieustające delirium wywołane zapewne utratą energii i płynów, które zużył podczas samotnej wędrówki na szczyt. Rouse, jak wspomina, Diemberger, „mówił tylko o wodzie. Ale nie mieliśmy wody, ani kropli. Śnieg, który próbowaliśmy jeść, był tak zimny i suchy, że z trudem topił się w ustach".

Rankiem dziesiątego sierpnia, po pięciu dniach nieprzerwanych opadów, temperatura spadła do minus trzydziestu stopni Celsjusza, wiatr wiał z niesłabnącą siłą, ale przestał padać śnieg, a niebo się wypogodziło. Ci, którzy byli jeszcze w stanie trzeźwo myśleć, zrozumieli, że jeśli nie wyruszą wkrótce w drogę powrotną, potem nie będą już mieli na to sił.

Diemberger, Wolf, Imitzer, Bauer i Wieser natychmiast zaczęli schodzić. Uważali, że nie mają najmniejszych szans, by znieść na dół nieprzytomnego Rouse'a, ułożyli go więc jak najwygodniej i zostawili

w namiocie. Nikt się nie łudził, że jeszcze kiedykolwiek go zobaczy. Wszyscy pozostali przy życiu członkowie zespołu sami byli w tak kiepskiej formie, że wkrótce każdy z nich schodził na własną rękę.

Kilkaset metrów od obozu Wieser i Imitzer opadli z sił, zmęczeni wędrówką w sięgającym pasa śniegu.

– Próbowaliśmy ich jakoś zmobilizować, ale na próżno – mówi Diemberger. – Tylko Alfred w ogóle reagował na nasze starania, ale słabo. Mamrotał, że nic nie widzi.

Wieser i Imitzer zostali tam, gdzie padli, zaś pozostała trójka szła dalej, prowadzona przez Bauera. Kilka godzin później Miodowicz-Wolf została z tyłu i już się więcej nie pokazała, zespół zmniejszył się więc tylko do dwóch osób.

Bauer i Diemberger dotarli do obozu III na wysokości 7300 metrów, okazało się jednak, że obóz ten został zniszczony przez lawinę. Szli więc dalej, a wieczorem dotarli w końcu do obozu II na 6400 metrach, gdzie znaleźli żywność, paliwo i schronienie.

Jak mówi Jim Curran, do tej pory wszyscy w bazie „stracili już całkiem nadzieję, że ktokolwiek ze wspinaczy przebywających na górze jeszcze żyje". Nie mogli więc uwierzyć własnym oczom, kiedy następnego wieczoru, tuż przed zmierzchem zobaczyli „jakąś postać wlokącą się powoli po morenie w stronę obozu. Z daleka wyglądała jak zjawa".

Tą zjawą był Bauer – ledwie żywy, zbyt wyczerpany i odwodniony, by nawet mówić. Po jakimś czasie zdołał jednak przekazać, że gdzieś w górze jest jeszcze Diemberger, wciąż żywy. Curran i dwaj polscy wspinacze natychmiast wyruszyli na poszukiwania. Znaleźli Diembergera o północy, gdy schodził w ślimaczym tempie po poręczówkach rozpiętych między obozem II a I. Przez cały następny dzień ściągali go do obozu, skąd wraz z Bauerem został szesnastego sierpnia przetransportowany helikopterem do szpitala. Obu wspinaczy czekało kilkumiesięczne leczenie i liczne amputacje palców u rąk i nóg.

Kiedy przeinaczone relacje o tej katastrofie dotarły do Europy, natychmiast trafiły na czołówki gazet. Początkowo, szczególnie w Anglii, uwielbiany niegdyś Diemberger został oszkalowany przez media za to, że zostawił Rouse'a na pewną śmierć w obozie IV, tym

bardziej że Rouse, zamiast zejść z obozu w sprzyjających warunkach piątego sierpnia, czekał aż Diemberger i Tullis wrócą ze szczytu.

Curran twierdzi, że takie zarzuty są nieuzasadnione. Uważa, że Rouse i pozostali zatrzymali się piątego sierpnia w obozie IV nie po to, by czekać na Diembergera i Tullis, lecz dlatego, że „musieli być ogromnie zmęczeni całodzienną wspinaczką, a śnieżyca bardzo utrudniłaby im odszukanie trasy z obozu IV do obozu III. Okolice obozu IV są niemal całkowicie pozbawione punktów orientacyjnych, a wszyscy pamiętali dobrze, że Michel Parmentier omal nie zabłądził, szukając drogi powrotnej w podobnych warunkach".

Gdy w końcu zaczęli schodzić z obozu IV, mówi Curran, „ani Diemberger, ani Willi Bauer w żaden sposób nie zdołaliby znieść Rouse'a z góry. Obaj sami ledwie żyli. To była niewyobrażalnie trudna i koszmarna sytuacja. Nie sądzę, by ktokolwiek miał prawo ich osądzać".

Trudno jednak oprzeć się pokusie i nie porównać wydarzeń z 1986 roku do uderzająco podobnej sytuacji, w jakiej ośmiu wspinaczy zdobywających K2 znalazło się trzydzieści trzy lata wcześniej, niemal w dokładnie tym samym miejscu na górze. Wspinacze, część amerykańskiej ekspedycji prowadzonej przez doktora Charlesa Houstona, obozowali na wysokości 7600 metrów, na niezdobytej wówczas jeszcze trasie wzdłuż żebra Abruzzi, gdzie przygotowywali się do wejścia na szczyt. Nim jednak rozpoczęli atak, rozszalała się niezwykle sroga śnieżyca, która więziła ich w namiotach przez dziewięć dni. Pod koniec tego okresu jeden ze wspinaczy, młody Amerykanin Art Gilkey, zapadł na śmiertelnie groźną przypadłość zwaną zapaleniem zakrzepowym żył, wywołaną odwodnieniem i pobytem na dużej wysokości.

Towarzysze Gilkeya, również wyczerpani i osłabieni – choć z pewnością w lepszej formie niż Diemberger i jego kompani – wiedzieli, że Gilkey nie ma prawie żadnych szans na przeżycie i, próbując go ratować, narażą samych siebie. Niemniej jak mówi Houston: „Łączące ich więzi stały się tak silne, że nikomu nawet nie przyszło do głowy, by zostawić go samego i ratować siebie – to było nie do pomyślenia, choć Gilkey i tak zapewne by umarł". Podczas transportu w dół trasy Gilkey poniósł śmierć w śnieżnej lawinie,

trudno jednak nie podziwiać postawy jego towarzyszy, którzy trwali przy nim do samego końca, choć sami omal przez to nie zginęli.

Można utrzymywać, że decyzja o ratowaniu Gilkeya była szczytem bohaterstwa – albo że był to akt głupiego sentymentalizmu i gdyby lawina przypadkiem nie wyrwała go z rąk towarzyszy, w wyniku tego rycerskiego gestu zginęłoby osiem osób, a nie jedna. Oceniając sytuację z drugiej perspektywy, należy stwierdzić, że decyzja o pozostawieniu śmiertelnie wyczerpanych towarzyszy na K2 w 1986 roku nie była przejawem okrucieństwa czy tchórzostwa, lecz zdrowego rozsądku.

Jednak jeśli nawet poczynania Diembergera i Bauera wydają się usprawiedliwione, to nadal bez odpowiedzi pozostają inne, trudniejsze pytania. To naturalne, że w każdej dyscyplinie sportu poszukuje się coraz większych wyzwań; co jednak powiedzieć o sporcie, w którym podejmowanie tych wyzwań oznacza również podejmowanie coraz większego ryzyka? Czy cywilizowane społeczeństwo powinno aprobować – nie mówiąc już o wychwalaniu – działalność, która tak często kończy się śmiercią jej uczestników?

Odkąd ludzie wspinają się w Himalajach, dochodzi do śmiertelnych wypadków, jednak masakra na K2 w 1986 roku była czymś innym. Ostatnie, bardzo drobiazgowe analizy pokazują, że od początku himalaizmu aż do roku 1985, spośród każdych trzydziestu wspinaczy atakujących ośmiotysięczniki jeden nie wracał do domu żywy; w 1986 roku na K2 ten stosunek wynosił niemal jeden do pięciu.

Trudno nie wiązać tej niepokojącej statystyki, przynajmniej po części, z serią niezwykłych dokonań Reinholda Messnera, które miały miejsce w ciągu ostatnich piętnastu lat. Być może to właśnie za sprawą tych sukcesów niektórzy spośród niedoszłych rywali Messnera za bardzo uwierzyli we własne umiejętności i nabrali nieuzasadnionej pewności siebie, choć brakowało im tego osobliwego „górskiego zmysłu", który przez wszystkie te lata utrzymywał Messnera przy życiu. Garstka wspinaczy z Francji i Polski posiada być może atuty niezbędne do udziału w tej niebezpiecznej grze, którą rozpoczął Messner, ale wielu innych zapomniało chyba, że przegrani tracą w tym przypadku naprawdę wiele.

Curran przestrzega, że nie należy generalizować i szukać jednej przyczyny wszystkich śmiertelnych wypadków, które miały miejsce w zeszłym roku w Karakorum. Zauważa, że „ginęli ludzie przypięci linami i ludzie bez lin; ginęli ludzie na szczycie góry i u jej podnóży; ginęli ludzie starzy i młodzi".

Później jednak Curran dodaje, że „jeśli cokolwiek łączyło wszystkie te zgony, to fakt, że wielu ludzi traktowało tę sprawę bardzo ambicjonalnie i mogło wiele zyskać dzięki zdobyciu K2 – a także wiele stracić. Casarotto, Austriacy, Al Rouse, Barrardowie – o wszystkich można powiedzieć, że byli zbyt ambitni. Myślę, że jeśli podejmujesz próbę wejścia na ośmiotysięcznik w stylu alpejskim, to musisz też liczyć się z przegraną".

Wydaje się, że tego lata na K2 zbyt wielu ludzi o tym zapomniało.

[19] Przemysław Piasecki, Wojciech Wróż i Peter Božik.

ROZDZIAŁ 12

Devils Thumb

Nim jeszcze dojechałem do autostrady międzystanowej, oczy już same mi się zamykały. Dawałem sobie jakoś radę na krętej jednopasmówce między Fort Collins a Laramie, ale kiedy mój pontiac wjechał na gładką szeroką powierzchnię I-80, usypiający szum opon na asfalcie zaczął obgryzać moją czujność niczym mrówki martwe drzewo.

Minionego popołudnia, po dziewięciu godzinach dźwigania ciężkich belek i wbijania opornych gwoździ, powiedziałem szefowi, że odchodzę.

– Nie, nie za kilka tygodni, Steve, teraz, w tej chwili.

Przez kolejne trzy godziny zbierałem narzędzia i moje rzeczy osobiste ze starego zardzewiałego barakowozu, który był moim domem na placu budowy w Boulder. Wpakowałem wszystko do samochodu, pojechałem na Pearl Street, do Tawerny Toma, i wypiłem uroczyste pożegnalne piwo. Potem ruszyłem w drogę.

O pierwszej w nocy, pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Rawlins, dopadło mnie w końcu zmęczenie. Euforia, która ogarnęła mnie po tej szybkiej ucieczce, ustąpiła wszechogarniającemu znużeniu: nagle poczułem się całkiem wyczerpany. Pusta, prosta autostrada ciągnęła się po sam horyzont i jeszcze dalej. Noc była chłodna, surowe równiny Wyoming lśniły w blasku księżyca jak na obrazie śpiącego Cygana pędzla Rousseau. W tym momencie bardzo chciałem być tym Cyganem i wylegiwać się pod gwiazdami. Zamknąłem oczy – tylko na sekundę, ale to była rozkoszna sekunda. Wydawało się, że przywróciła mnie na moment do życia. Pontiac, ciężki kolos z epoki Eisenhowera, sunął po autostradzie jak łódź po falach oceanu. W oddali migotały światła szybu naftowego. Zamknąłem oczy po raz drugi i nie otwierałem ich przez kilka chwil. To było słodsze niż seks.

Jakiś czas później ponownie uniosłem powieki. Nie wiem, na jak długo przysnąłem tym razem – może na pięć sekund, a może na trzydzieści – ale obudziły mnie gwałtowne wstrząsy, które miały zapewne jakiś związek z faktem, że pontiac pędził z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę po nierównym gruntowym poboczu. Właściwie dawno już powinien był polecieć prosto w krzaki i dachować. Auto zarzuciło jeszcze kilka razy, w końcu jednak zdołałem wyprowadzić je na jezdnię i się zatrzymać. Rozluźniłem

dłonie zaciśnięte kurczowo na kierownicy, wziąłem kilka głębokich oddechów, żeby uspokoić rozszalałe serce, po czym wrzuciłem bieg i ruszyłem ponownie w drogę.

Rozsądek nakazywał, bym przystanął gdzieś na poboczu i zdrzemnął się, ale jechałem właśnie na Alaskę, by odmienić swoje życie, a cierpliwość była pojęciem, którego mój dwudziestotrzyletni umysł po prostu nie obejmował.

Szesnaście miesięcy wcześniej skończyłem studia, z których nie wyniosłem ani dobrych ocen, ani umiejętności, które miałyby jakąś wartość na rynku pracy. W tym czasie związek, który ciągnął się z przerwami przez cztery lata – pierwsza prawdziwa miłość w moim życiu – dobiegł wreszcie końca; niemal rok później moje życie nadal było wielką niewiadomą. Aby zdobyć jakieś środki do życia, pracowałem w ekipie budowlanej wznoszącej domy z drewna, dźwigałem ciężkie arkusze sklejki, liczyłem minuty do następnej przerwy na kawę, bezskutecznie próbowałem zdrapać trociny, które przyklejały się do mojego wiecznie spoconego karku, a to wszystko za trzy pięćdziesiąt za godzinę. Z pewnością oszpecanie krajobrazu Kolorado nijakimi domkami nie było pracą, o jakiej marzyłem w dzieciństwie.

Pewnego dnia, późnym wieczorem, rozmyślałem o tym wszystkim, siedząc przy barze u Toma. Rozdzierałem w ponurym milczeniu egzystencjalne rany, gdy nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł, plan naprawienia tego, co mi się w życiu nie udało. Pomysł był cudownie prosty i im dłużej się nad nim zastanawiałem, tym bardziej mi się podobał. Nim dotarłem do dna kufla, jego zalety wydawały mi się niepodważalne. Plan ów polegał na zdobyciu alaskijskiej góry zwanej Devils Thumb.

Devils Thumb to skalna iglica z rozwarstwionego diorytu, która prezentuje się imponująco z każdej strony świata, ale szczególnie z północy: wielka północna ściana, na którą nikt jeszcze nie wszedł, wyrasta z lodowca na wysokość ponad tysiąca ośmiuset metrów. Ta ogromna pionowa płaszczyzna, dwukrotnie wyższa od El Capitan w parku narodowym Yosemite, jest jedną z największych granitowych ścian w Ameryce Północnej, a może i na całym świecie. Zamierzałem pojechać na Alaskę, przejechać na nartach przez pole lodowe zwane

Stikine Icecap i dokonać pierwszego wejścia na osławioną Nordwand szczytu Devils Thumb. W połowie drugiego kufla uznałem, że najlepiej będzie, jeśli dokonam tego wejścia samotnie.

W chwili, gdy piszę te słowa, dwanaście lat później, sam nie całkiem rozumiem, jak właściwie samotne wejście na Thumb miało odmienić moje życie. Być może miało to coś wspólnego z faktem, że wspinanie było pierwszą i jedyną rzeczą, jaką robiłem naprawdę dobrze. Przypuszczam też, że moje ówczesne rozumowanie opierało się w dużej mierze na młodzieńczych pasjach i literackiej diecie nazbyt bogatej w dzieła Nietzschego, Kerouaca i Johna Menlove'a Edwardsa. Ten ostatni był zestresowanym pisarzem i psychiatrą, który w swoim czasie należał do czołówki brytyjskich wspinaczy; zmarł w 1958 roku po zażyciu cyjanku.

Doktor Edwards uważał, że wspinanie to raczej „psychoneurotyczna skłonność" niż sport. Nie wspinał się dla przyjemności, lecz by uciec przed męczarniami duszy, które charakteryzowały jego egzystencję. Pamiętam, że wiosną 1977 roku ogromne wrażenie wywarł na mnie fragment z opowiadania autorstwa Edwardsa, zatytułowanego „List od człowieka".

> „Więc, jak sam rozumiesz, dorastałem w rozdwojeniu; moje ciało było silne i wybujałe, a umysł nerwowy i wiecznie złakniony. Chciał czegoś więcej, czegoś namacalnego. Intensywnie poszukiwał rzeczywistości, jakby nigdy jej tu nie było…
>
> Ale widzisz od razu, czym się zajmuję. Wspinam się".

Dla kogoś, kto zachwycał się tego rodzaju prozą, Thumb był pokusą nie do odparcia. Wierzyłem niezachwianie w powodzenie mojego planu. Zdawałem sobie niejasno sprawę z tego, że mogę się przeliczyć i stracić kontrolę nad własnym życiem, byłem jednak święcie przekonany, że jeśli wejdę na szczyt Thumb, wszystko się ułoży. Wcisnąłem więc mocniej pedał gazu i rozbudzony niedawną przygodą, która omal nie zakończyła się rozbiciem pontiaca, pomknąłem w noc.

Nie da się dojechać samochodem w pobliże Devils Thumb. Szczyt ten znajduje się w łańcuchu górskim Boundary Ranges na granicy między Alaską a Kolumbią Brytyjską, niedaleko osady rybackiej Petersburg, do której można dotrzeć tylko łodzią lub samolotem.

Petersburg ma regularne połączenie lotnicze, ale cały mój majątek składał się wówczas z pontiaca i dwustu dolarów w gotówce, które nie wystarczyłyby nawet na podróż w jedną stronę, dojechałem więc samochodem do Gig Harbor w stanie Waszyngton, a potem zaciągnąłem się na kuter rybacki płynący na północ. Pięć dni później, gdy „Królowa Oceanu" przybiła do portu w Petersburgu, by uzupełnić zapasy paliwa i wody, zszedłem na brzeg, zarzuciłem plecak na ramiona i ruszyłem prosto w rzęsisty alaskijski deszcz.

Wszyscy znajomi z Boulder, którym opowiadałem o moich planach zdobycia Thumb, mówili krótko i szczerze: palisz za dużo trawy, to bardzo kiepski pomysł; zdecydowanie przeceniasz swoje umiejętności wspinaczkowe, nie poradzisz sobie sam przez cały miesiąc, wpadniesz do szczeliny i zginiesz.

Mieszkańcy Petersburga reagowali inaczej. Jako Alaskanie przyzwyczaili się już do ludzi z dziwnymi pomysłami; w końcu spora część populacji tego stanu sama próbowała realizować niewydarzone projekty, takie jak wydobywanie uranu w Górach Brooksa, wciskanie Japończykom gór lodowych czy sprzedaż wysyłkowa odchodów łosi. Większość mieszkańców Alaski, którym mówiłem o moim pomyśle, nie reagowała na to w żaden sposób lub pytała, ile można zarobić na wejściu na Devils Thumb.

Tak czy inaczej, jednym z najbardziej pociągających aspektów wejścia na Thumb – i wspinaczki wysokogórskiej w ogóle – był fakt, że opinie innych ludzi nie miały tu najmniejszego znaczenia. Realizacja tego projektu nie zależała od aprobaty jakiegoś dyrektora, nie wymagała zdobywania licencji i pozwoleń, nie zmuszała mnie do wystąpień przed zespołem sędziów o srogich twarzach. Jeśli miałem ochotę wejść na jakąś niezdobytą ścianę, musiałem jedynie dostać się do niej i zacząć machać czekanami.

Petersburg znajduje się na wyspie, a Devils Thumb na kontynencie. Aby dotrzeć do podnóży Thumb, musiałem najpierw pokonać czterdzieści kilometrów słonej wody. Niemal przez cały dzień chodziłem po nabrzeżu, bezskutecznie próbując wynająć łódź, która przewiozłaby mnie przez cieśninę. Potem spotkałem Barta i Benjamina.

Bart i Benjamin byli długowłosymi członkami pokolenia Woodstock i pracowali w spółdzielni zajmującej się sadzeniem drzew. Nawiązaliśmy rozmowę. Wspomniałem, że kiedyś też sadziłem drzewa. Bart i Benjamin przyznali, że wynajęli hydroplan, który następnego ranka miał ich zawieźć na ląd.

– To twój szczęśliwy dzień, dzieciaku – powiedział Bart. – Za dwadzieścia dolarów możesz polecieć z nami. Zajedziesz z szykiem pod tę swoją pieprzoną górę.

Trzeciego maja, półtora dnia po przybyciu do Petersburga, zszedłem z pokładu cessny w cieśninie Thomas Bay, stanąłem na stałym lądzie i rozpocząłem długą wędrówkę w głąb kontynentu.

Devils Thumb wyrasta ze Stikine Icecap, olbrzymiej, labiryntowej sieci lodowców, która obejmuje góry niczym olbrzymia ośmiornica. Jej niezliczone, długie macki ciągną się wzdłuż granicy z Kanadą, sięgają z poszarpanych wyżyn aż do samego morza. Kiedy znalazłem się na brzegu cieśniny Thomas Bay, liczyłem na to, że jedno z tych zamarzniętych ramion, lodowiec Baird, doprowadzi mnie bezpiecznie do podnóży Thumb, pięćdziesiąt kilometrów dalej.

Po godzinnej wędrówce przez żwirową plażę dotarłem do poszarpanego błękitnego jęzora Baird. Pewien drwal, którego poznałem w Petersburgu, ostrzegał mnie, że w okolicach wybrzeża mogę się natknąć na niedźwiedzie grizzly.

– O tej porze roku właśnie się budzą – mówił z uśmiechem. – Są trochę zdenerwowane i głodne po całej zimie. Ale jak będziesz trzymał spluwę w pogotowiu, jakoś sobie poradzisz.

Problem polegał na tym, że nie miałem spluwy. Okazało się jednak, że jedynymi przedstawicielami dzikiej przyrody, jakich spotkałem na trasie, były mewy, które zaatakowały mnie z iście hitchcockowską furią. Dręczony atakami rozwścieczonych ptaków i strachem przed wygłodniałymi niedźwiedziami odetchnąłem z ulgą, gdy dotarłem wreszcie na skraj plaży, założyłem raki i wspiąłem się na krawędź lodowca.

Pięć lub sześć kilometrów dalej doszedłem do linii śniegu, gdzie zamieniłem raki na narty. Dzięki temu pozbyłem się kilku kilogramów ciężkiego bagażu, który niosłem na plecach, a w dodatku mogłem przemieszczać się znacznie szybciej i łatwiej niż do tej pory. Jednak

śnieg zakrył liczne szczeliny przecinające lodowiec, co czyniło samotną wędrówkę bardzo niebezpieczną.

Przewidując to zagrożenie, wstąpiłem w Seattle do sklepu żelaznego i kupiłem dwa solidne karnisze z aluminium, każdy o długości trzech metrów. Dotarłszy do linii śniegu, ułożyłem z karniszy wielki krzyż, związałem je mocno, a całość przymocowałem do pasa biodrowego plecaka tak, by aluminiowe profile wisiały równolegle do ziemi. Gramoląc się powoli w górę lodowca, obarczony ciężkim plecakiem i dziwacznym metalowym krzyżem, czułem się jak członek jakiegoś dziwnego bractwa religijnego. Miałem jednak nadzieję, że gdyby warstwa śniegu zakrywająca jakąś szczelinę załamała się pod moim ciężarem, karnisze utrzymałyby mnie na powierzchni i uchroniły przed upadkiem w lodowe wnętrzności Baird.

Pierwszymi wspinaczami, którzy weszli na Stikine Icecap, byli Bestor Robinson i Fritz Wiessner, legendarny niemiecko-amerykański wspinacz, który spędził burzliwy miesiąc w Boundary Ranges w 1937 roku, ale nie zdołał dotrzeć do żadnego z większych szczytów. Wiessner powrócił w 1946 z Donaldem Brownem i Fredem Beckeyem, by podjąć próbę wejścia na Devils Thumb. Podczas tej wyprawy miał nieprzyjemny wypadek, pogruchotał sobie kolano i zdegustowany wrócił do domu. Beckey powrócił jednak tego samego lata z Bobem Craigem i Cliffem Schmidtke. Dwudziestego piątego sierpnia, po kilku nieudanych próbach i kilku niezwykle niebezpiecznych etapach wspinaczki na wschodni grzbiet szczytu, Beckey i jego towarzysze usiedli na cienkim jak wafel wierzchołku góry, ledwie żywi ze zmęczenia. Było to z pewnością najbardziej techniczne wejście, jakie kiedykolwiek wykonano na Alasce, kamień milowy w historii amerykańskiej wspinaczki wysokogórskiej.

W następnych dziesięcioleciach na szczyt Thumb weszły kolejne trzy zespoły, wszystkie jednak trzymały się z dala od wielkiej północnej ściany. Czytając relacje z tych wypraw, zastanawiałem się, dlaczego żaden z zespołów nie podchodził do Thumb drogą – jak wynikało z mapy – najłatwiejszą i najbardziej oczywistą, czyli od strony lodowca Baird. Dziwiłem się temu już nieco mniej, gdy przeczytałem artykuł Beckeya, w którym ten wybitny alpinista ostrzegał, że „długie, strome lodospady blokują trasę z lodowca

Baird do czapy lodowej w pobliżu Devils Thumb". Jednak po obejrzeniu kilku zdjęć lotniczych tego rejonu stwierdziłem, że Beckey się pomylił i lodospady nie są wcale ani takie wysokie, ani takie niebezpieczne, jak mu się wydawało. Uważałem, że lodowiec Baird to z całą pewnością najlepsza i najprostsza droga prowadząca pod górę.

Przez dwa dni wspinałem się w równym tempie na lodowiec i gratulowałem sobie w duchu, że znalazłem taką dogodną drogę do Thumb. Trzeciego dnia dotarłem do samego pola lodowego Stikine Icecap, miejsca, gdzie długie lodowe ramię łączy się z główną masą Baird. Lodowiec spływa tu raptownie z krawędzi wysokiego płaskowyżu, opada ku morzu przez przełęcz między dwiema górami fantasmagorią spękanego lodu. Widziany z bliska lodospad robił zupełnie inne wrażenie niż ten przedstawiony na zdjęciach. Przypatrując mu się z odległości półtora kilometra, po raz pierwszy od wyjazdu z Kolorado pozwoliłem sobie na myśl, że może jednak ten wyjazd na Devils Thumb nie był najlepszym pomysłem.

Lodospad był w istocie labiryntem szczelin i chwiejnych seraków. Z daleka wyglądał jak wrak pociągu po jakiejś okropnej katastrofie, jakby dziesiątki upiornych białych wagonów wykoleiły się na krawędzi czapy lodowej i potoczyły w dół zbocza. Im bliżej podchodziłem do lodospadu, tym gorzej się prezentował. Moje trzymetrowe karnisze wydawały się dość kiepskim zabezpieczeniem w konfrontacji ze szczelinami o szerokości dwunastu metrów i osiemdziesięciu metrach głębokości. Nim zdołałem ustalić w myślach trasę przeprawy przez lodospad, podniósł się wiatr i zaczął padać śnieg, który siekł mnie po twarzy i ograniczał widzialność niemal do zera.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi postanowiłem iść dalej. Przez większość dnia błąkałem się w labiryncie seraków i szczelin, wycofywałem się z kolejnych ślepych zaułków. Wiele razy wydawało mi się już, że znalazłem drogę wyjścia, lecz po chwili znów natrafiałem na ścianę lodu lub wchodziłem na szczyt jakiegoś samotnego lodowego filara. Nie ustawałem jednak w wysiłkach, dopingowany odgłosami dochodzącymi spod moich stóp. Głośne skrzypienie i trzaski – dźwięki podobne do tych, jakie wydaje konar

jodły, który ma się lada moment złamać pod zbyt dużym ciężarem – przypominały mi nieustannie, że lodowce mają w zwyczaju się poruszać, a seraki przewracać.

Choć bałem się, że zostanę przygnieciony przez upadającą ścianę lodu, jeszcze większy niepokój budziła we mnie perspektywa upadku do lodowej szczeliny. Niepokój ten przybrał na sile, gdy przebiłem stopą śnieżną pokrywę nad szczeliną tak głęboką, że nie widziałem nawet jej dna. Chwilę później przebiłem kolejny śnieżny mostek i zapadłem się w nim aż po pas; karnisze uchroniły mnie przed upadkiem w trzydziestometrową przepaść, a gdy wydobyłem się w końcu na powierzchnię, zwymiotowałem na myśl o tym, że mógłbym już leżeć połamany na dnie szczeliny, czekając na śmierć, i nikt nie wiedziałby nawet, gdzie i jak zakończyłem życie.

Było już niemal ciemno, gdy w końcu wyszedłem na szczyt pokrytego serakami zbocza i znalazłem się na pustej, smaganej wiatrem połaci lodowego płaskowyżu. Zszokowany i przemarznięty do szpiku kości, odjechałem od wodospadu na tyle daleko, by nie słyszeć ciągłych jęków, skrzypień i trzasków, po czym rozbiłem namiot, wpełzłem do śpiwora i, trzęsąc się z zimna, zapadłem w niespokojny sen.

Choć plan wejścia na Devils Thumb nabrał konkretnych kształtów dopiero wiosną 1977 roku, góra ta czaiła się w zakamarkach mojego umysłu już od piętnastu lat – od dwunastego kwietnia 1962 roku, dokładnie rzecz biorąc. Był to dzień moich ósmych urodzin. Gdy przyszło do otwierania prezentów urodzinowych, rodzice oznajmili, że dają mi dwa prezenty do wyboru: albo pojadę z nimi na wystawę światową do Seattle, gdzie będę mógł pojeździć nowoczesną koleją jednoszynową i obejrzeć futurystyczny budynek Space Needle, albo dadzą mi przedsmak tego, czym jest wspinaczka górska, i zabiorą mnie na trzecią co do wysokości górę w Oregonie, uśpiony wulkan zwany South Sister, który w pogodne dni widać było z okien mojej sypialni. Wybór nie był łatwy. Długo się nad nim zastanawiałem i w końcu postawiłem na wspinaczkę.

Aby przygotować mnie odpowiednio do ciężkich górskich warunków, ojciec dał mi do przeczytania książkę „Mountaineering:

The Freedom of the Hills”[20], najpopularniejszy wówczas podręcznik alpinizmu, opasłe tomisko, które ważyło niemal tyle, co kula do kręgli. Od tamtej pory większość wolnego czasu spędzałem nad stronami tej księgi, ucząc się na pamięć zawiłości sztuki wpinania karabinków, wbijania haków i trawersów na napiętej linie. Żadna z tych umiejętności nie przydała mi się podczas mojej pierwszej wspinaczki, okazało się bowiem, że wejście na South Sister wymaga jedynie długiego i energicznego marszu i co roku dokonują tego setki farmerów, zwierząt domowych i dzieci.

Nie oznacza to jednak, że zdobyłem wraz z rodzicami ten potężny wulkan. Na podstawie opisów przeróżnych groźnych sytuacji zamieszczonych w „Mountaineering: The Freedom of the Hills”, doszedłem do wniosku, że wspinaczka zawsze jest sprawą życia i śmierci. Przypomniałem sobie o tym nagle w połowie drogi na South Sister. Pośrodku pokrytego śniegiem zbocza o nachyleniu dwudziestu stopni, z którego nawet przy najlepszych chęciach nie dałoby się spaść, uznałem, że jestem w śmiertelnym niebezpieczeństwie i wybuchłem płaczem, kładąc kres wspinaczce.

Co ciekawe, po porażce na South Sister jeszcze bardziej zacząłem się interesować wspinaczką. Powróciłem do obsesyjnego studiowania „Mountaineering” – w przerażających opisach przedstawionych na stronach książki było coś, co nie dawało mi spokoju. Oprócz masy rysunków – większość z nich przedstawiała małego człowieczka w zawadiackim tyrolskim kapelusiku – ilustrujących arkany sztuki wspinaczkowej, książka zawierała szesnaście czarno-białych zdjęć najważniejszych szczytów Wybrzeża Północno-Zachodniego i Alaski. Wszystkie fotografie były niesamowite, ale ta ze strony sto czterdziestej siódmej wybijała się zdecydowanie ponad inne i przyprawiała mnie o gęsią skórkę. Zdjęcie lotnicze wykonane przez glacjologa Maynarda Millera przedstawiało złowrogą wieżę z czarnej skały oblepionej lodem. Na całej górze nie było ani jednego miejsca, które wydawałoby się bezpieczne; nie wyobrażałem sobie, by ktokolwiek mógł na nią wejść. Napis na dole strony głosił, że góra ta nazywa się Devils Thumb.

Odkąd ujrzałem go po raz pierwszy, fotograficzny portret północnej ściany Thumb budził we mnie niemal pornograficzną fascynację. Setki – nie, tysiące – razy w ciągu tych piętnastu lat zdejmowałem z półki mój egzemplarz „Mountaineering", otwierałem go na stronie sto czterdziestej siódmej i wpatrywałem się w zdjęcie. Tyle samo razy zastanawiałem się, co czułbym, siedząc na tym cienkim jak paznokieć kciuka wierzchołku, niepokojąc się burzowymi chmurami na horyzoncie, kuląc się w chłodzie i lodowatym wietrze, spoglądając w ogromną przepaść po obu stronach szczytu. Jak ktokolwiek mógł pozostać w takiej sytuacji przy zdrowych zmysłach? Czy gdybym ja sam znalazł się na północnej ścianie, wtulony w czarną skałę, w ogóle próbowałbym walczyć, czy też od razu poddałbym się nieuniknionemu i skoczył?

Zamierzałem spędzić na Stikine Icecap od trzech tygodni do miesiąca. Ponieważ nie miałem ochoty wynosić na własnych plecach zapasów jedzenia na cztery tygodnie i całej sterty ciężkiego sprzętu wspinaczkowego, przed wylotem z Petersburga wynająłem za 150 dolarów – resztę mojej gotówki – pilota, który miał zrzucić sześć pudeł z zapasami i sprzętem, gdy dotrę już do podnóży Thumb. Pokazałem pilotowi na mapie, gdzie zamierzam na niego czekać, i poprosiłem, by dał mi trzy dni na dojście do tego miejsca. Obiecał, że przyleci tam i wykona zrzut, gdy tylko pozwoli mu na to pogoda.

Szóstego maja założyłem obóz na Icecap, na północny wschód od Thumb, i czekałem na zrzut. Przez następne cztery dni padał śnieg, który skutecznie uniemożliwiał latanie. Nie oddalałem się zbytnio od obozu w obawie przed lodowymi szczelinami, a dla zabicia czasu jeździłem trochę na nartach powyżej obozu, głównie jednak leżałem w namiocie – był zbyt niski, by dało się w nim usiąść prosto – sam na sam ze swoimi myślami i narastającymi wątpliwościami.

W miarę upływu czasu robiłem się coraz bardziej niespokojny. Nie miałem radia ani żadnych środków komunikacji ze światem zewnętrznym. Minęło już wiele lat, odkąd ktokolwiek odwiedzał tę część Stikine Icecap, i zapewne równie wiele miało upłynąć do momentu, gdy ktoś znów zdecyduje się tu przyjść. Został mi już tylko niewielki zapas paliwa do maszynki, odrobina sera, ostatnia

paczka makaronu do ramenu[21] i pół pudełka płatków śniadaniowych. Zakładałem, że w razie potrzeby wystarczy mi to na trzy do czterech dni, ale co zrobiłbym potem? Potrzebowałem jedynie dwóch dni, by zjechać na nartach do cieśniny Thomas Bay, ale potem mogłem czekać nawet tydzień lub dłużej na przybycie jakiegoś rybaka, który podwiózłby mnie do Petersburga (grupa Barta i Benjamina, którzy mnie tutaj przywieźli, obozowała dwadzieścia pięć kilometrów dalej, w miejscu dostępnym tylko drogą powietrzną lub morską).

Kiedy wieczorem dziesiątego maja kładłem się spać, nadal wiał silny wiatr i padał śnieg. Zastanawiałem się właśnie, czy rankiem ruszyć w drogę powrotną na wybrzeże, czy też czekać na lodowcu w nadziei, że pilot pokaże się tutaj, nim umrę z pragnieniu lub głodu, gdy usłyszałem przez moment jakieś ciche bzyczenie. Wypadłem na zewnątrz. Większość chmur się podniosła, ale nie widziałem żadnego samolotu. Potem ponownie usłyszałem odległy warkot, choć tym razem głośniejszy. W końcu go zobaczyłem: maleńką, biało-czerwoną kropeczkę na zachodnim niebie, zmierzającą powoli w moją stronę.

Kilka minut później samolot przeleciał dokładnie nad moją głową. Pilot nie był jednak przyzwyczajony do latania nad lodowcami i źle ocenił skalę tego terenu. Obawiając się jakiejś turbulencji, która mogła przycisnąć go nagle do ziemi, leciał trzysta metrów nade mną – przekonany jednocześnie, że niemal dotyka gruntu – i nie widział w bladym przedwieczornym świetle mojego namiotu. Wymachiwałem i wrzeszczałem do niego jak opętany, choć wiedziałem, że i tak nie przyniesie to żadnego skutku – z tej odległości nie różniłem się niczym od otaczających mnie stert skał. Przez następną godzinę pilot krążył nad czapą lodową, bezskutecznie wypatrując mnie pośród lodu i kamieni. Trzeba mu przyznać, że doceniał powagę mojej sytuacji i się nie poddawał. Zdesperowany przywiązałem śpiwór do jednego z karniszy i wymachiwałem nim ze wszystkich sił. Kiedy samolot zakręcił gwałtownie i zaczął lecieć prosto na mnie, do oczu napłynęły mi łzy wzruszenia.

Pilot przeleciał nad moim namiotem trzykrotnie, za każdym razem zrzucając po dwa pudła. Chwilę później samolot zniknął za górami, a

ja zostałem sam. Gdy nad lodowcem znów zapadła cisza, poczułem się porzucony, bezradny, zagubiony. Uświadomiłem sobie nagle, że płaczę. Zawstydzony natychmiast przestałem się mazać i wykrzykiwałem przeróżne przekleństwa, aż całkiem ochrypłem.

Kiedy obudziłem się rankiem jedenastego maja, nad górami niebieściło się bezchmurne niebo, a temperatura sięgała stosunkowo wysokiej wartości siedmiu stopni mrozu. Zaskoczony tą dobrą pogodą i nieprzygotowany mentalnie do rozpoczęcia wspinaczki, mimo wszystko spakowałem szybko plecak, przypiąłem narty i pojechałem w stronę Thumb. Dwie poprzednie wyprawy na Alaskę nauczyły mnie, że jeśli chcę cokolwiek osiągnąć, to bez względu na to, czy jestem gotowy, czy nie, po prostu nie mogę pozwolić sobie na zmarnowanie dnia dobrej pogody.

Z krawędzi czapy lodowej wyrastał mały wiszący lodowiec, który prowadził w górę, prosto ku północnej ścianie Thumb, niczym pomost. Zamierzałem wejść na ten pomost i dotrzeć do skalnego występu na środku ściany, a tym samym ominąć nieprzyjemną, omiataną lawinami dolną część ściany.

Okazało się, że lodowy pomost to seria nachylonych pod kątem pięćdziesięciu stopni lodowych pól, przykrytych półmetrową warstwą śniegu, pod którą kryły się głębokie szczeliny. Gruba warstwa śniegu sprawiała, że wędrówka była mozolna i męcząca; nim dotarłem do przewieszonej ściany bergschrund (szczeliny brzeżnej), jakieś trzy lub cztery godziny po opuszczeniu obozu, byłem już bardzo zmęczony. A przecież nawet jeszcze nie posmakowałem „prawdziwej” wspinaczki, która miała się zacząć już za moment, w miejscu, gdzie przewieszony lodowiec ustępował miejsca pionowej ścianie.

Skała, niemal pozbawiona przyzwoitych punktów zaczepienia i pokryta piętnastocentymetrową warstwą kruchego szronu, nie wyglądała zbyt obiecująco, ale na lewo od skalnego występu znajdował się lodowy jęzor powstały z wody, która spływała po ścianie w cieplejsze dni. Ta lodowa wstęga ciągnęła się prosto w górę, na długości siedemdziesięciu, może osiemdziesięciu metrów. Gdyby lód okazał się dość silny, by utrzymać dzioby moich czekanów, mógłbym się po nim wspiąć. Wyrąbałem sobie małą półkę w śnieżnym zboczu, świadom, że jest to ostatni fragment płaskiego

gruntu, jaki będę czuł w ciągu kilku następnych godzin, po czym przycupnąłem, by zjeść baton i zebrać myśli. Piętnaście minut później założyłem plecak i przeszedłem na skraj lodowej wstęgi. Ostrożnie wbiłem prawy czekan w pięciocentymetrową warstwę lodu. Był solidny, twardy – może nieco za cienki, ale poza tym idealny. Ruszyłem w górę.

Trasa była stroma i spektakularna, oferowała widoki, od których aż kręciło mi się w głowie. Pod moimi stopami otwierała się dziewięćsetmetrowa przepaść, pionowa ściana sięgająca ku brudnemu, pociętemu bliznami lawin lodowcowi Witches Cauldron. Nade mną wznosił się kolejny fragment ściany, ciągnący się niemal po sam wierzchołek i mierzący ponad osiemset metrów. Za każdym razem, gdy wbijałem w lód czekan, odległość ta zmniejszała się o kolejne pół metra.

Im wyżej wchodziłem, tym swobodniej się czułem. Choć ze ścianą i całym światem łączyło mnie jedynie sześć chromo-molibdenowych kolców, wbitych na głębokość półtora centymetra w warstwę zamarzniętej wody, czułem się niezwyciężony, lekki jak piórko, niczym jaszczurki, które chodzą po sufitach w tanich meksykańskich hotelach. Na początku trudnej wspinaczki, szczególnie samotnej wspinaczki, jesteś aż nazbyt świadom otchłani, która otwiera się pod twoimi stopami. Wciąż czujesz, jak przyzywa cię do siebie, jak pragnie cię pożreć. Trzeba ogromnego wysiłku woli i umysłu, by oprzeć się temu wołaniu; nie możesz pozwolić, by choć na moment zmyliło twoją czujność. Syreni śpiew przepaści budzi niepokój i zdenerwowanie, sprawia, że twoje ruchy są niepewne, niezdarne, spazmatyczne. Jednak z czasem przyzwyczajasz się do tego, nie przeraża cię bliskość przeznaczenia, zaczynasz wierzyć w sprawność własnych rąk, stóp i głowy. Uczysz się ufać swojej samokontroli.

Po jakimś czasie jesteś już tak skupiony, że nie zwracasz uwagi na zdartą skórę, na skurcze w udach, na napięcie, jakiego wymaga stała koncentracja. Ten podobny do transu stan ogarnia wszystkie twoje wysiłki, wspinaczka zamienia się w sen na jawie. Godziny mijają jak minuty. Śmieci i brudy codziennej egzystencji – wyrzuty sumienia, niezapłacone rachunki, zmarnowane okazje, kurz pod sofą, zastarzałe rodzinne urazy, więzienie własnych genów – wszystko to

zostaje na chwilę zapomniane, wypchnięte z twojego umysłu przez dominującą jasność celu, wagę zadania, którym się właśnie zajmujesz.

W takich chwilach w twojej piersi rodzi się coś na kształt prawdziwego szczęścia, nie jest to jednak taki rodzaj emocji, na jakiej chciałbyś budować coś naprawdę solidnego. Podczas samotnej wspinaczki wszystko trzyma się razem głównie dzięki zuchwałości, która nie jest godnym zaufania spoiwem. Po południu tamtego dnia, na północnej ścianie Thumb, czułem, jak to spoiwo zaczyna nagle słabnąć po jednym tylko uderzeniu czekana.

Po zejściu z lodowca wspiąłem się jakieś dwieście metrów w górę, korzystając jedynie z przednich zębów raków i czekanów. Wstęga lodu skończyła się już po dziewięćdziesięciu metrach, a jej miejsce zajęła warstwa kruchego szronu. Choć nie dawała zbyt solidnego oparcia, miała ponad pół metra grubości i utrzymywała ciężar mojego ciała, szedłem więc dalej. Ściana stawała się jednak coraz bardziej stroma, a tym samym warstwa szronu coraz cieńsza. Wpadłem w powolny hipnotyczny rytm – zamach, zamach; kopnięcie, kopnięcie; zamach, zamach; kopnięcie, kopnięcie – gdy nagle mój lewy czekan uderzył w skałę ukrytą pod szronem.

Spróbowałem po lewej, potem po prawej, ale czekan wciąż uderzał w skałę. Szron utrzymujący me ciało miał teraz co najwyżej dziesięć, może dwanaście centymetrów grubości i strukturę czerstwego chleba. Pod moimi stopami rozciągała się ponadkilometrowa otchłań, a ja stałem na szczycie domku z kart. Ogarnęła mnie nagle fala paniki. Świat rozmazał mi się przed oczami, z trudem łapałem oddech, łydki zaczęły drżeć ze zmęczenia i strachu. Przesunąłem się kilka kroków na prawo w nadziei, że znajdę tam grubszą warstwę szronu, ale udało mi się tylko wygiąć czekan na skale.

Zesztywniały ze strachu, niezdarnie i powoli ruszyłem w dół. Szron robił się coraz grubszy i twardszy, aż jakieś dwadzieścia pięć metrów niżej dotarłem ponownie do stosunkowo solidnego podłoża. Zatrzymałem się tam na dłuższy czas, by uspokoić nerwy. Potem odchyliłem się do tyłu najdalej, jak mogłem, i spojrzałem na górną część ściany, szukając jakichś obszarów solidnego lodu, zmian w strukturze skały, czegokolwiek, co pozwalałoby na wspinaczkę.

Patrzyłem, aż rozbolała mnie szyja, ale niczego nie wypatrzyłem. Wspinaczka dobiegła końca. Mogłem jedynie iść w dół.

Obfite opady śniegu i nieustający wiatr więziły mnie w namiocie niemal przez trzy dni. Czas mijał bardzo powoli. Próbując go czymś wypełnić, paliłem jednego papierosa za drugim, aż do wyczerpania zapasów, i czytałem. Nie da się ukryć, że podjąłem podczas tej wyprawy kilka kiepskich decyzji, a jedna z nich dotyczyła wyboru lektur, jakie ze sobą zabrałem: były to trzy stare numery czasopisma muzycznego „The Village Voice" i najnowsza powieść Joan Didion „Modlitewnik"[22] („A Book of Common Prayer"). „The Village Voice" był nawet zabawny – na lodowym pustkowiu podejmowane w nim tematy nabrały dosyć absurdalnego wymiaru, na czym magazyn tylko skorzystał – ale w tych samych okolicznościach, w małym, ciasnym namiocie, nekrotyczne spojrzenie na świat prezentowane przez Didion wydało mi się nieco zbyt bliskie rzeczywistości.

Pod koniec „Modlitewnika" jedna z postaci stworzonych przez Didion mówi do innej: „Nie zyskasz niczego wartościowego, zostając w tym miejscu, Charlotte". Charlotte odpowiada: „Nie mam pojęcia, na czym mogę zyskać coś wartościowego, więc chyba zostanę tu jeszcze przez jakiś czas".

Kiedy już przeczytałem wszystko, co dało się przeczytać, zająłem się studiowaniem układu włókien w dachu namiotu. Robiłem to przez kilka godzin, leżąc na plecach i prowadząc jednocześnie w myślach gorącą dyskusję z samym sobą: Czy powinienem ruszyć w stronę wybrzeża, gdy tylko poprawi się pogoda, czy zostać na tyle długo, by raz jeszcze zaatakować szczyt? Prawdę mówiąc, nie doszedłem jeszcze do siebie po ostatniej eskapadzie i wcale nie miałem ochoty wracać na Thumb. Z drugiej jednak strony perspektywa powrotu do Boulder – widziałem już oczami wyobraźni, jak parkuję pontiaca za barakowozem, zakładam pas z narzędziami i wracam do tej samej odmóżdżającej harówki, którą tak triumfalnie zostawiłem zaledwie miesiąc wcześniej – również nie była zbyt pociągająca. Przede wszystkim nie mógłbym znieść fałszywego współczucia i triumfalnych uśmieszków wszystkich matołków i przemądrzalców, którzy od samego początku byli pewni, że mi się nie uda.

Kiedy mijał trzeci dzień śnieżycy, nie mogłem już dłużej znieść brył śniegu gniotących mnie w plecy, lepkich nylonowych ścian namiotu ocierających o moją twarz i nieprawdopodobnego smrodu, który wydobywał się głębi mojego śpiwora. Zacząłem grzebać w stercie gratów zalegającej u moich stóp, aż znalazłem mały zielony woreczek, w którym znajdował się mały pojemnik po błonie fotograficznej. W pojemniku znajdował się materiał potrzebny do sporządzenia czegoś, co jak miałem nadzieję, będzie nagrodą za zwycięskie wejście na szczyt. Zamierzałem zachować to właśnie na tę uroczystą chwilę po zejściu z góry, ale co tam, i tak nie wyglądało na to, żebym w najbliższym czasie rzeczywiście miał dotrzeć na wierzchołek Thumb. Wysypałem większość zawartości pojemnika na bibułkę papierosową, przygotowałem żałośnie krzywego jointa i wypaliłem go łapczywie.

Oczywiście potem namiot wydawał mi się jeszcze ciaśniejszy, jeszcze bardziej przytłaczający i trudny do zniesienia. Poza tym sprawił, że okropnie zgłodniałem. Uznałem, że owsianka odmieni ten stan rzeczy. Przygotowanie tejże owsianki było jednak długim, absurdalnie skomplikowanym procesem: musiałem wyjść na zewnątrz, by nabrać śniegu do menażki, potem złożyć i rozpalić maszynkę, odszukać płatki owsiane i cukier, a także oskrobać miskę z resztek wczorajszej kolacji. Uruchomiłem już maszynkę i topiłem właśnie śnieg, gdy poczułem zapach spalenizny. Dokładne oględziny maszynki i jej otoczenia nie ujawniły jednak źródła zapachu. Skonsternowany gotów byłem już przypisać to doznanie mojej chemicznie pobudzonej wyobraźni, kiedy usłyszałem za plecami jakiś trzask.

Błyskawicznie odwróciłem się w miejscu i zobaczyłem, jak torba ze śmieciami, do której włożyłem zapałkę zużytą do rozpalenia maszynki, zajmuje się ogniem. Gołymi rękami zdusiłem płomienie w ciągu kilku sekund, nim to jednak zrobiłem, spora część wewnętrznej części namiotu wyparowała na moich oczach. Tropik ocalał z tego miniaturowego pożaru, więc namiot nadal chronił mnie przed śniegiem i wiatrem, ale temperatura w jego wnętrzu spadła co najmniej o piętnaście stopni. Zaczęła mnie też piec lewa dłoń. Przyjrzałem się jej i zobaczyłem różowy obrzęk powstały po

oparzeniu. Najbardziej jednak martwił mnie fakt, że namiot nie należał do mnie – pożyczyłem go od ojca. Gdy zabierałem go ze sobą na Alaskę był całkiem nowy – miał jeszcze metki – a ojciec udostępniał mi go z wielkim oporami. Przez kilka minut siedziałem osłupiały, wpatrując się w okaleczony namiot wypełniony gryzącym zapachem palonych włosów i nylonu. Pomyślałem, że mam niezwykły talent do spełniania najgorszych przypuszczeń mojego ojca.

Ten incydent wprawił mnie w przygnębienie, którego nie mógłby zrównoważyć nawet najmocniejszy narkotyk świata. Nim skończyłem gotować owsiankę, podjąłem już decyzję: gdy tylko śnieżyca ustanie, zwijam obóz i ruszam do cieśniny Thomas Bay.

Dwadzieścia cztery godziny później kuliłem się w płachcie biwakowej pod krawędzią berschrund na północnej ścianie Thumb. Pogoda była równie fatalna jak poprzedniego dnia. Sypał gęsty śnieg, warstwa białego puchu rosła co najmniej o dwa centymetry na godzinę. Raz po raz ze ściany nad moją głową zsuwały się miniaturowe lawiny śnieżne, które co dwadzieścia minut całkowicie przysypywały moją płachtę.

Dzień zaczął się całkiem nieźle. Kiedy wyszedłem z namiotu, nad grzbietami gór wciąż wisiały chmury, ale wiatr przycichł, a od czasu do czasu zza zasłony obłoków wynurzało się słońce. Smuga oślepiającego, słonecznego blasku przesuwała się powoli przez obóz. Rozłożyłem karimatę i ułożyłem się w słońcu, ubrany w same kalesony, by pławić się w miłym ciepełku. Czułem się niczym więzień, któremu właśnie złagodzono wyrok.

Kiedy się tak wylegiwałem, zauważyłem wąski komin ciągnący w górę wschodniej połowy północnej ściany, w sporej odległości od trasy, którą próbowałem się wspinać przed śnieżycą. Założyłem teleobiektyw do aparatu i przyjrzałem się temu uważniej. Widziałem teraz warstwę lśniącego szarego lodu – solidnego, twardego, budzącego zaufanie lodu – pokrywającego tylną ścianę szczeliny. Ze względu na ułożenie komina nie byłem w stanie stwierdzić, czy lód ciągnie się nieprzerwanie od samego dołu aż po szczyt. Gdyby tak było, mógłbym obejść tą drogą oszronione skały, które pokrzyżowały mi plany podczas pierwszego ataku. Leżąc w słońcu, zacząłem

rozmyślać o tym, jak bardzo nienawidziłbym samego siebie za kilka tygodni, gdybym rzucił ręcznik już po jednej nieudanej próbie, gdybym się wycofał tylko ze względu na kilka dni gorszej pogody. W ciągu godziny zgromadziłem potrzebny sprzęt, przypiąłem narty i pojechałem pod ścianę.

Okazało się, że lód w kominie ciągnie się na całej jego długości, ale jest bardzo cienki – w istocie była to jedynie błonkowata warstwa gołoledzi. Ponadto komin tworzył coś w rodzaju naturalnego zsypu na wszelkie skalne i lodowe śmieci, które spadały z górnej części ściany: gdy wspinałem się w górę, bez ustanku bombardowały mnie kawałki lodu, śnieżny pył i drobne kamyki. Gdy znalazłem się na wysokości czterdziestu metrów ponad krawędzią lodowca, opuściły mnie resztki odwagi i ruszyłem w drogę powrotną.

Postanowiłem jednak, że zamiast wracać do obozu, spędzę noc na śniegu pod kominem. Miałem nadzieję, że następnego ranka mój umysł nieco się rozjaśni i znajdę jakąś drogę wyjścia z tej sytuacji. Okazało się, że piękna pogoda, która skłoniła mnie rano do podjęcia wspinaczki, to tylko chwilowa przerwa w pięciodniowej śnieżycy. Po południu burza uderzyła ze zdwojoną siłą, a mój biwak zamienił się w miejsce mniej niż niezbyt przyjemne. Półkę, na której się schroniłem, raz po raz zasypywały małe śnieżne lawiny. Pięciokrotnie śnieg przykrywał moją płachtę biwakową – cienki nylonowy worek, przypominający kształtem papierową torbę na pieczywo – po samą głowę. Gdy odkopałem się po raz piąty, stwierdziłem, że mam dość. Wrzuciłem cały sprzęt do plecaka i ruszyłem w stronę obozu.

Zejście było przerażające. W nikłym przedwieczornym blasku, pośród chmur i tumanów śniegu podnoszonych wiatrem nie byłem w stanie odróżnić nieba od śniegu, nie widziałem też, czy zbocze opada, czy też się podnosi. Obawiałem się – i miałem ku temu istotne powody – że mogę zejść z krawędzi seraka i skończyć na dnie Witches Cauldron, osiemset metrów niżej. Gdy w końcu dotarłem na powierzchnię lodowej czapy, przekonałem się, że śnieg dawno już zasypał moje ślady. Nie miałem pojęcia, w którą stronę powinienem iść, by dotrzeć do namiotu. Przez godzinę chodziłem w kółko w nadziei, że w końcu natknę się przypadkiem na obóz, aż zapadłem się jedną nogą w małą lodową szczelinę i zrozumiałem, że postępuję

jak idiota – powinienem przysiąść w jednym miejscu i przeczekać śnieżycę.

Wykopałem sobie płytki dołek, otuliłem się płachtą i usiadłem na plecaku wśród wirujących płatków. Powoli obrastałem śniegiem, zamieniając się w zaspę. Stopy zdrętwiały mi z zimna. Ziąb sięgał w dół pleców,
w miejsce, gdzie wcześniej wpadła mi za kołnierz odrobina śniegu. Gdybym tylko miał papierosa, pomyślałem, jednego papierosa, może udałoby mi się zebrać dość sił, żeby robić dobrą minę do złej gry, żeby z godnością znieść tę cholerną sytuację i całą tę popieprzoną wyprawę. „Gdybyśmy mieli szynkę, moglibyśmy zjeść jajka na szynce, gdybyśmy mieli jajka". Przypomniałem sobie, jak mój przyjaciel Nate wypowiedział to zdanie podczas podobnej śnieżycy, dwa lata wcześniej, wysoko na grzbiecie innej alaskijskiej góry, Mooses Tooth (Ząb Łosia). Wtedy uznałem je za komiczne: roześmiałem się głośno. Jednak teraz wcale nie wydawało mi się zabawne. Otuliłem się szczelniej płachtą. Wiatr smagał mnie po plecach. Schowałem głowę w ramionach i zacząłem się nad sobą bezwstydnie użalać.

Wiedziałem, że czasami ludzie giną podczas wypraw w góry. Jednak gdy miałem dwadzieścia trzy lata, pojęcie własnej śmiertelności – myśli o mojej śmierci – pozostawało jeszcze poza granicami mojego pojmowania; było równie abstrakcyjne jak geometria nieeuklidesowa albo małżeństwo. Kiedy w kwietniu 1977 roku wyjeżdżałem z Boulder, z głową pełną wizji chwały i odkupienia na Devils Thumb, nie pomyślałem nawet przez moment, że mogą mnie dotyczyć te same zasady przyczynowo-skutkowe, które rządzą działaniami innych ludzi. Nigdy nie słyszałem o pysze. Ponieważ tak bardzo chciałem wejść na Thumb i myślałem o tej górze od tylu lat, nie wyobrażałem sobie nawet, że takie drobne przeszkody jak zła pogoda, lodowe szczeliny czy skała pokryta szronem mogą udaremnić moje plany.

O wschodzie słońca wiatr ucichł, a chmury podniosły się pięćdziesiąt metrów nad lodowiec, dzięki czemu mogłem zlokalizować obóz. Wróciłem do namiotu w jednym kawałku, ale nie mogłem już dłużej ignorować faktu, że Thumb pokrzyżował mi szyki.

Zmuszony byłem przyznać, że dzięki samej sile woli, choćby najpotężniejszej, nie zdołam wyjść na północną ścianę. W końcu zrozumiałem też, że nie dokonam tego żadnym sposobem.

Wciąż jednak mogłem uratować tę ekspedycję i zachować twarz. Tydzień wcześniej pojechałem na nartach pod południowo-wschodnią ścianę góry, żeby przyjrzeć się trasie, którą wyznaczył w 1946 roku Fred Beckey – trasie, którą zamierzałem zejść z Thumb po zdobyciu północnej ściany. Podczas tego rekonesansu zauważyłem dość oczywistą, a nie wykorzystaną jeszcze drogę na lewo od trasy Beckeya – niejednolitą szachownicę lodu pokrywającą południowo-wschodnią ścianę – która mogła stosunkowo łatwo zaprowadzić mnie na szczyt. Wtedy uważałem ją za niegodną uwagi. Teraz, gdy w konfrontacji z północną ścianą poniosłem druzgoczącą klęskę, gotów byłem spojrzeć na nią łaskawszym okiem.

Piętnastego maja po południu, gdy śnieżyca w końcu przycichła, wróciłem pod południowo-wschodnią ścianę i wspiąłem się na szczyt wąskiego grzbietu, który przylegał do góry niczym łuk przyporowy do ściany gotyckiej katedry. Postanowiłem spędzić noc na tej wietrznej ostrej grani, pięćset metrów pod wierzchołkiem. Wieczorne niebo było zimne i bezchmurne. Widziałem całą połać lądu rozciągającą się między górą a morzem. O zmierzchu obserwowałem z fascynacją, jak na zachodzie zapalają się światła w budynkach Petersburga. Te odległe migotliwe iskierki, najbliższy kontakt z cywilizacją, jaki miałem od czasu zrzutu lotniczego, wzbudziły we mnie fale emocji, które kompletnie mnie zaskoczyły. Wyobrażałem sobie, jak ludzie oglądają telewizję, jedzą pieczonego kurczaka w jasno oświetlonych kuchniach, piją piwo, kochają się. Kiedy kładłem się spać, ogarnęło mnie dojmujące, bolesne poczucie samotności. Nigdy nie czułem się tak samotny, jak wtedy.

Tej nocy miałem nieprzyjemny męczący sen o gliniarzach, wampirach i egzekucji w gangsterskim stylu. Słyszałem, jak ktoś szepcze: Jest tutaj. Sprzątnijcie go, gdy tylko wyjdzie.

Usiadłem prosto i otworzyłem oczy. Zbliżał się właśnie wschód słońca. Całe niebo było szkarłatne. Zapowiadała się dobra pogoda, choć z południowego wschodu napływały pierwsze wstęgi cirrusów, a tuż nad horyzontem rysowała cię ciemniejsza linia. Włożyłem buty i

w pośpiechu przypiąłem raki. Pięć minut po przebudzeniu wspinałem się już na ścianę.

Nie miałem ze sobą liny, namiotu ani sprzętu do biwakowania, żadnych narzędzi prócz czekanów. Zamierzałem wejść bez żadnego obciążenia, jak najszybciej, by zdobyć szczyt i wrócić, nim zepsuje się pogoda. Nie pozwalając sobie ani na chwilę wytchnienia, przesuwałem się w górę i na lewo, po małych polach lodowych, przeplatanych pasami nagiej skały i oszronionymi kominami. Wspinaczka była niemal przyjemna – na skale nie brakowało szczelin i otworów zapewniających oparcie dla rąk i stóp, a lód, choć cienki, nigdzie nie opadał tak stromo, bym czuł się zagrożony – niepokoiły mnie jednak chmury napływające znad Pacyfiku i zakrywające coraz większą połać nieba.

Po jakimś czasie (nie zabrałem na tę wyprawę zegarka, więc nie miałem pojęcia, czy były to minuty, czy godziny) dotarłem do charakterystycznego ostatniego pola lodowego. Wydawało się, że łatwiej będzie nadal przesuwać się w lewo, ale znacznie szybciej wyjść prosto na szczyt. Przerażony myślą, że śnieżyca dopadnie mnie na samym wierzchołku, gdzie nie mogłem liczyć na żadne schronienie, postanowiłem iść prosto w górę. Zbocze w tym miejscu robiło się coraz bardziej strome, a warstwa lodu coraz cieńsza. Zamachnąłem się lewym czekanem i uderzyłem w skałę. Uderzyłem w innym miejscu i znów metalowy dziób odbił się od diorytu z głuchym brzękiem. Jeszcze jedna próba, potem kolejna; była to powtórka mojego pierwszego ataku na północnej ścianie. Zerknąłem mimowolnie w dół, na lodowiec położony ponad sześćset metrów niżej. Strach ścisnął mi żołądek. Czułem, jak moja pewność siebie rozpływa się jak dym na wietrze.

Piętnaście metrów wyżej ściana ponownie zamieniała się w łagodną grań, prowadzącą do samego szczytu. Piętnaście metrów, tyle co czteropiętrowa kamienica, a góra będzie moja. Trzymałem się kurczowo czekanów, sparaliżowany strachem i niezdecydowaniem. Spojrzałem ponownie w dół, na oszałamiającą przepaść, potem w górę, na szczyt. Zeskrobałem warstwę lodu nad moją głową. Zaczepiłem dziób lewego czekana o wąską skalną półkę i pociągnąłem za trzonek. Trzymał się. Wyjąłem prawy czekan z lodu,

sięgnąłem w górę i wcisnąłem dziób w dwucentymetrową szczelinę skalną. Wstrzymując oddech, poruszyłem stopami, przesuwając kolce raków po cienkiej warstwie lodu. Sięgnąłem lewą ręką najwyżej, jak mogłem, i uderzyłem w lśniącą matową powierzchnię. Dziób zagłębił się w lodzie z charakterystycznym krzepiącym odgłosem. Kilka minut później stałem na szerokiej, zaokrąglonej półce. Sam wierzchołek, kilka smukłych żeber pokrytych białymi czapami atmosferycznego lodu, znajdował się dokładnie sześć metrów nade mną.

Za sprawą kruchego niepewnego szronu wspinaczka na ten ostatni odcinek trasy również była trudna, przerażająca i mozolna. Nagle jednak znalazłem się w punkcie, z którego dało się już iść tylko w dół. To było niemożliwe, nie mogłem w to uwierzyć. Czułem, jak moje usta rozciągają się w szerokim, bolesnym uśmiechu. Byłem na szczycie Devils Thumb.

Sam wierzchołek rzeczywiście wyglądał jak obraz ze snu; surrealistyczny i złowrogi, nieprawdopodobnie cienki wachlarz oszronionych skał szerokości komody. Nie zachęcał do dłuższego pobytu. Kiedy usiadłem na nim okrakiem, po lewej stronie miałem pionową północną ścianę i przepaść liczącą tysiąc osiemset metrów wysokości; po prawej otwierała się siedemsetpięćdziesięciometrowa otchłań. Zrobiłem kilka zdjęć, by mieć dowód, że rzeczywiście dotarłem na szczyt, po czym przez kilka minut próbowałem wyprostować zgięty dziób czekana. Potem wstałem, ostrożnie odwróciłem się w miejscu i ruszyłem w drogę powrotną.

Pięć dni później siedziałem w namiocie nad brzegiem morza, zachwycając się widokiem mchu, wierzb i komarów. Kolejne dwa dni później do zatoki wpłynęła mała łódź motorowa, która przybiła do brzegu niedaleko mojego namiotu. Człowiek kierujący łodzią przedstawił się jako Jim Freeman, drwal z Petersburga. Mówił, że ma właśnie wolny dzień i przypłynął tutaj, by pokazać rodzinie lodowiec i poszukać niedźwiedzi. Spytał, czy „polowałem, czy co”?

– Nie – odparłem nieśmiało. – Wspiąłem się niedawno na Devils Thumb. Jestem tu od ponad trzech tygodni.

Freeman przez chwilę grzebał w milczeniu przy knadze. W końcu obdarzył mnie srogim spojrzeniem i splunął.

– Nie kłamałbyś mi w żywe oczy, co przyjacielu?

Zdumiony próbowałem słabo protestować. Freeman najwyraźniej nie wierzył w ani jedno moje słowo. Na pewno nie przypadły mu też do gustu moje długie włosy i mój zapach. Kiedy jednak spytałem, czy mógłby zawieźć mnie do miasta, odburknął:

– Czemu nie…

Morze było lekko wzburzone, a pokonanie cieśniny Frederick Sound zajęło około dwóch godzin. Im dłużej rozmawialiśmy, tym bardziej Freeman przekonywał się do mnie. Nadal nie wierzył, że wszedłem na Thumb, ale nim wpłynęliśmy do przesmyku Wrangell, przynajmniej udawał, że wierzy. Gdy wysiedliśmy z łodzi, koniecznie chciał mi kupić cheeseburgera. Pozwolił mi nawet spędzić tę noc w starej furgonetce zaparkowanej na podwórku za jego domem.

Leżałem przez jakiś czas z tyłu furgonetki, nie mogłem jednak zasnąć, więc wstałem i poszedłem do baru zwanego Kito's Kave. Euforia i przemożne poczucie ulgi, które początkowo towarzyszyły powrotowi do Petersburga, osłabły i ustąpiły miejsca nieoczekiwanej melancholii. Ludzie, z którymi rozmawiałem w barze, wcale nie wątpili, że byłem na szczycie Thumb, ale niespecjalnie ich to obchodziło. Po jakimś czasie bar opustoszał, zostałem tylko ja i jakiś stary Indianin przy stoliku na tyłach sali. Piłem sam, wrzucałem ćwierćdolarówki do szafy grającej i słuchałem bez przerwy tej samej piosenki, aż barmanka wrzasnęła ze złością:

– Hej, dzieciaku, zostaw to w spokoju, do cholery! Jeśli jeszcze raz usłyszę „Pięćdziesiąt sposobów na to, jak stracić kochankę", zaraz sama stracę cierpliwość!

Wymamrotałem jakieś przeprosiny, wyszedłem szybko z baru i wróciłem chwiejnym krokiem do furgonetki Freemana. Otulony słodkim zapachem oleju silnikowego położyłem się na podłodze, obok wybebeszonej skrzyni biegów, i zasnąłem.

Kiedy człowiek jest młody, łatwo mu uwierzyć, że zasługuje właśnie na to, czego pragnie, że jeśli bardzo czegoś chce, ma nadane mu od Boga prawo, by to mieć. Niecały miesiąc po zdobyciu Thumb wróciłem do Boulder i przybijałem siding do domów przy ulicy Świerkowej, tych samych, które budowałem przed wyjazdem na Alaskę. Dostałem podwyżkę do czterech dolarów za godzinę, a pod

koniec lata przeprowadziłem się z zardzewiałej przyczepy do kawalerki przy West Pearl, poza tym jednak niewiele w moim życiu się zmieniło. To wszystko jakoś nie pasowało do cudownej przemiany, którą wyobrażałem sobie w kwietniu.

Jednak wejście na Devils Thumb odsunęło mnie nieco dalej od ślepej niewinności dzieciństwa. Nauczyło mnie czegoś o granicach marzeń, o tym, co góry mogą zrobić, a czego nie. Oczywiście wtedy tego nie rozumiałem, ale teraz jestem za to wdzięczny.

[20] „Góry – wolność i przygoda", Graydon Don i Hanson Kurt, przeł. Tomasz Kliś.
[21] Japońska zupa z makaronem.
[22] Warszawa, 1986, przeł. Mira Michałowska.

ISBN 978-83-929483-7-7

Dwanaście górskich historii zebranych w debiut wydawniczy Jona Krakauera obejmuje tytułowy „Eiger", „K2", „Denali" i szereg amerykańskich ścianek, z których jedna – na Diabelskim Kciuku – ma wyryte znamię pierwszego przejścia i jest to przejście autora „Eigeru wyśnionego". Każda z noweli daje przedsmak przejścia po raz pierwszy niedostępną granią – Krakauer odtwarza wyprawę z 1936 r. północną ścianą Eigeru, poznaje nas z Johnem Gillem, twórcą współczesnego boulderingu, wprowadza w arkana wspinaczki lodowej w Valdez, na Alasce i odtwarza tragedię na K2 latem 1986 r. Jeśli potraktować Eiger jako wstęp do wspinaczki, to w 4 lata później wiadomo było, którą z dróg zdecydował się pójść sam Krakauer, pisząc „Wszystko za Everest", światowy bestseller o największej tragedii na Evereście. Jedną z historii opowiadamy ustami innej z legend alpinizmu Joego Simpsona, który, idąc śladami Ediego Rainera, Willy'ego Angerera, Andreasa Hinterstoissera i Toniego Kurza, relacjonuje godzina po godzinie tragedię z 1936 r. w nagrodzonym Emmy filmie „Zew ciszy".

„Jak on to robi? Realizuje marzenia, zdobywa świat i jeszcze potrafi tak się tym podzielić, że stawia mnie w całkowitej bezradności. Po lekturze Krakauera mogę tylko z podziwem milczeć i kontemplować".
MARCIN KOWALSKI
Gazeta Wyborcza

„Jeśli wspinaczka, nie tylko wysokogórska, wyszła z niszy i stała się współcześnie szczególnym stylem życia, zawdzięcza to w dużej mierze Krakauerowi, który zjadł zęby na lodowych zboczach Alp czy gór Alaski".
PIOTR KOFTA
Dziennik Gazeta Prawna

„Tylko dziennikarz może tak fotograficznie, dokumentalnie i jednocześnie z pasją opisać, czym jest wspinaczka wysokogórska. Po lekturze jego książki łatwiej zrozumieć, dlaczego ten sport jest jak uzależnienie".
MONIKA JANUSZ
Rzeczpospolita

„Eiger wyśniony" to nie opowieść o historii zdobywania Eigeru, to luźno powiązane ciekawe historie z życia ludzi, dla których pasją byty i są góry oraz wspinanie.
KRZYSZTOF WIELICKI
himalaista, zdobywca Korony Himalajów